

AT-2

DMITRY GLUKHOVSKY

№ 8/2022 от 18/XII-19



878/3952
19/17

POWIESCI O OJCZYŹNIE

Wydawnictwo "Ciebież" - Warszawa
ul. Chałubińskiego 14/16
00-620 Warszawa
t. 22 628 58 58

DMITRY GLUKHOVSKY

POWIEŚCI
O OJCZYŹNIE

przekład

PAWEŁ PODMIOTKO

 insignis

Tytuł oryginału

Рассказы о Родине II

Copyright © Dmitry Glukhovsky, 2009–2023

through Nibbe Literary Agency

nibbe-literary-agency.com

All rights reserved

Przekład

Paweł Podmiotko

Redakcja i korekta

Piotr Mocniak, Tomasz Brzozowski,
Magdalena Pazura, Marek Stankiewicz

Projekt i grafika okładki

Ilja Jackiewicz

Skład

Tomasz Brzozowski

Konwersja do wersji elektronicznej

Aleksandra Pieńkosz

Copyright © for this edition

Insignis Media, Kraków 2023

Wszelkie prawa zastrzeżone

ISBN pełnej wersji

978-83-67323-89-5



Insignis Media

ul. Lubicz 17D/21–22, 31-503 Kraków

tel. +48 (12) 636 01 90

biuro@insignis.pl, www.insignis.pl

facebook.com/Wydawnictwo.Insignis

twitter.com/insignis_media (@insignis_media)

instagram.com/insignis_media (@insignis_media)

tiktok.com/insignis_media (@insignis_media)

Wszystkie nazwiska bohaterów oraz nazwy organizacji, firm i państw, które występują w tej książce, zostały wymyślone. Jakakolwiek ich zbieżność z nazwiskami i nazwami rzeczywiście istniejących osób, organizacji i państw jest najzupełniej przypadkowa.

OPPENHEIMER

– Zdejmuj spodnie, szczeniaku. – Said rozprostował zapaśnicze ramiona, wymownie się podrapał i chwycił za sprzączkę od paska.

– Co ty? – Sierioga cofnął się przed nim. – Co ty?...

– Będiesz moją córeczką – powiedział niemal czule Said. – W końcu będzie ci tu potrzebny tata, tak? Jak sobie dasz radę bez taty w tajdze? Niedźwiedzie cię pożrą.

– No co ty, Said... – Sierioga ochryplł z nerwów, z przerażenia. – Ja chłopakom... Pułkownikowi...

– Tylko spróbuj, szczeniaku! – Said wyszczerzył się, obnażając białe wilcze kły. – Pojutrze mamy razem służbę w szybie. Przez tydzień. Ty, ja i Daud. A twoje chłopaki zostaną tutaj. I towarzysz pułkownik też. A my we trójkę pojedziemy świętować Nowy Rok.

– Co ty, Said... – powtórzył rozpaczliwie Sierioga.

– Chciałem się z tobą zawczasu zaprzyjaźnić, szczeniaku. – Said powoli splunął lepka brunatną śliną na betonową posadzkę. – Lepiej żebyśmy pojechali tam już zaprzyjaźnieni. – Rozpiął sprzączkę.

Sierioga pokręcił głową i z krótkiego zamachu trafił potężnego Dagestańczyka pięścią w siny, pokryty szczecina policzek: jego właściciel rano się golił, a już przed południem zarost znów się pojawiał.

Uderzył go niezręcznie, nieudolnie: w Petersburgu mieszkał w samym centrum, ojciec był nauczycielem historii, matka biologką. To nie dzieciństwo, lecz inkubator. Gdyby mieli pieniądze, na pewno wykupiliby go z wojska. Ale nie mieli.

Said nawet się nie zachwiał. Jednym ruchem wyciągnął pasek ze spodni, niedbałym ciosem powalił wątlęgo Sierioę, zarzucił mu na cienką szyję z wystającą grdyką czarną przesyta skórę. I zaczął nawijać pasek na pięść.

– Magomiedow! – Przez cuchnącą haszyszem zasłoną dymną dobiegł od strony drzwi groźny głos. – Jesteś tu?

– Tutaj, towarzyszu majorze – odpowiedział leniwie Said. – Tak jest.

– Chodź no, mamy do pogadania! – Major pozostał na progu i nie zamierzał wchodzić do środka.

Said uwolnił przyduszonego Sierioę z pętli, kopnął go w brzuch i szepnął:

– Siedź cicho, rozumiesz? Powiesz mu coś, to w nocy cię z chłopakami powiesimy. Siedź cicho.



Cała jednostka była pomalowana farbą olejną na zielono do pasa i na białą wyżej, aż do sufitu – w zasadzie tak samo jak cała reszta kraju. Tylko w klubie oficerskim ściany były obszyte zawszoną wykładziną tu i tam posmarowaną trutką na owady. Niby nic, a już przytulnie. W rogu, na niepasującej tu szafce z babskimi zawijaszami – widocznie gwizdniętej przez kogoś z domu – stał biedatelewizor kupiony u Chińczyków na targu, czy nawet wymieniony za pańszczyźnianą pracę żołnierzy w ich chińskich ogrodach warzywnych.

Telewizor – okno na daleką Moskwę – pokazywał, śnieżąc, Główny Kanał. Skończyły się wszystkie ważne wiadomości, na koniec ostatniego programu nadawali coś z Ameryki. Do Ameryki było z tego miejsca znacznie bliżej niż do Moskwy. Dlatego jednostka została zlokalizowana właśnie tutaj: lot do San Francisco trwał stąd siedem minut.

Barack Obama przemawiał do żołnierzy w amerykańskiej bazie w Kandaharze. Żołnierzy dobrano jak w korcu maku – we wszystkich kolorach tęczy, po równo bab i chłopów, utuczeni jak na ubój i każdy ze szczęką jak u psa rasy moskiewski stróżujący.

Gęby się świecą, mundury jak spod igły. Sukinsyny.

– Co on im mówi, Aleksandrze Iwanowiczu? – spytał podejrzliwie Suren, zapalając marlboro i sękatą dłonią rozwiewając przysłaniający Obamę siwy dym.

– W tym tygodniu mieli swoje amerykańskie Boże Narodzenie, Gazarian. – Pułkownik wciągnął smarki. – Przyjechał podtrzymać morale. Ojczyzna o was pamięta, takie tam.

– A do nas by kto przyjechał, towarzyszu pułkowniku? – Gazarian wypuścił z ust siwy obłoczek.

– A po chuj? – zaproponował tamten.

– Nie, serio! Dlaczego u nich w wojsku ludzie służą jak ludzie, dostają porządną kasę, i jeszcze prezydent do nich przylatuje przed świętami? Pewnie przywiózł racje żywnościowe... – westchnął z zazdrością Suren.

Rozległo się pukanie do drzwi.

Pułkownik ani drgnął: brązowoskóry prezydent i on świdrowali się nawzajem spojrzeniami i żaden z nich nie chciał odwrócić wzroku jako pierwszy. Suren wstał, poprawił koszulę, chwycił za kłamkę.

W progu stał sierżant Kołosow, dopiero co przeniesiony z innej jednostki. Z wyglądu zdechłak, mało towarzyski i nikomu tu specjalnie niepotrzebny: pół jednostki Dagestańców, drugie pół – z Syberii. A ten z Leningradu. Uparty był: widać, że często go bili, ale wszystkich fanaberii mu nie wybili. Pułkownik lubił pryncypialnych – nie da się z nimi przyjaźnić, więc można dać im popalić. Dopiero co go przysłali, a my go od razu na tygodniową służbę w kopalni. Na święta. Dobrze, niech się żali.

– O co chodzi, sierżancie? – spytał Suren, patrząc obok Kołosowa.

– Towarzyszu majorze... Mam sprawę do towarzysza pułkownika...

– Melduj mnie – naburmuszył się Gazarian.

– Proszę... Mogę jechać na inną zmianę na dyżur? Ja... Nie mogę teraz jechać. Do kopalni. Proszę.

– Miiiiilczeć! – ryknął Suren tak, że aż zakłócenia na ekranie się nasiliły. – Jest rozpiska, jest rozkaz. Wykonać!

– Ja... Będę miał przewalone, jeśli pojedę, towarzyszu majorze. Już stamtąd nie wrócę... Ja mam z Dagestańcami...

Gazarian spurpurowiał i nabrzmiał jakby nie swoją krwią.

– Nie ma żadnych Dagestańców, sierżancie! Wszyscy jesteśmy żołnierzami rosyjskiej armii! Pojedziecie i zgracie się w tydzień!

Wypchnął przygaszonego Kołosowa na korytarz i gniewnie trzasnął drzwiami. Wrócił do swojego kąta, pokręcił kwadratową kędzierzawą głową i na nowo przypalił zgasłego papierosa. Nie były to oczywiście żadne marlboro, tylko chińska podróbka. Faszerają je pewnie herbatą, skośnoocy oszuści.

– Wytrzyma – powiedział chłodno pułkownik. – Ja też witałem mój pierwszy Nowy Rok w jednostce w szybie. I też z Kaukazczykami. I nic. Żyję.

Na ekranie Barack Obama wręczał już prezenty szczęśliwym i dumnym amerykańskim żołnierzom. A potem tak po prostu poszedł sobie do ich żołnierskiej kantyny, żeby zjeść hamburgery.

– Brudas jebany – podsumował Aleksander Pietrowicz i charknął do popielniczki. – To nie do ciebie, Gazarian.



Terenówka kołysała się, płynąc po warstwie szreni przez świeży sypki śnieg, oddalając się od jednostki do samych niemal granic terytorium pułku niewidoczną na Google Maps przesieką, przez magiczną białą tajgę – do ukrytej w rezerwacie chatki. Kierowca, ponury i małomówny, całkowicie skupiał się na jeździe: padał śnieg i bardzo łatwo było zboczyć z drogi.

W kabinie oprócz niego siedzieli Sierioga ściskający swoją regulaminową broń, aż zbielały mu palce, oraz Said i Daud po pańsku rozwaleni na tylnym siedzeniu. Z przedniej szyby na ten niepokojący obrazek patrzyli z umiarkowanym zainteresowaniem Narodowy Przywódca w hełmie pilota myśliwca i jakaś bezwstydną baba o nienaturalnie różowych i odstających cyckach, wycięta z ulotki o AIDS.

Sierioga jechał do szybu jak na ostatni bój; dobrze znał Dagestańców jeszcze z poprzedniej jednostki, dlatego nie liczył na przebaczenie. Przy świadkach niczego

nie zrobią, ale jak tylko znajdą się z nim sam na sam w zamurowanej trzydziści metrów pod ziemią blaszanej puszcze, to koniec.

Są rzeczy, z którymi nie da się dalej żyć. Jeśli pobiją go tak, że prawie umrze – to nic, wylize się. Jeśli zrobią z niego inwalidę – życie będzie ciężkie, ale możliwe. Jeśli go przecwela – to o czymś takim już nigdy nie zapomni. Lepiej już zostać inwalidą. A jeszcze lepiej zdechnąć.

Ale to już kwestia szczęścia... Jeśli dopadnie ich pierwszy, będzie musiał od razu uciekać do lasu. Ale i tak później go znajdą i albo zastrzelą przy zatrzymaniu jako stawiającego opór dezertera, albo aresztują, a w celi dosadzą mu Dagestańca. Tak bywa.

Jeśli się nie uda, to polecą do mamy w cynkowej trumnie, tej, której nie wolno otwierać. Powiedzą, że się przeziębili, obustronne zapalenie płuc, nie odratowali na czas. Albo postawią jeszcze jakąś inną diagnozę. Najważniejsze, żeby nie pozwolili mamie otworzyć trumny. To po niej Sierioga jest taki pryncypialny. Jeśli mama uprze się, żeby odlutowali wieko, to koniec, nigdy już nie zazna spokoju. A niczego przecież nie zdołała, tylko się zmęczy.

Sierioga wyobraził sobie, jak dzwonią do matki do ich M2 w dzielnicy Kupczino, na szóstym piętrze, po lewej od zsypu na śmieci, żeby powiedzieć, że doszło do nieszczęśliwego wypadku...

Wcześniej, zanim rodzice się rozwiedli, mieszkali przy Ligowskim Prospekcie, w przestronnym starym mieszkaniu z sufitami na wysokości prawie czterech metrów. Z jednego porządnego mieszkania wyszły dwa okaleczone, z jednego wspólnego życia – trzy rozdarte. Dla jego matki zerwanie przebiegło prosto, wzdłuż pęknięć ojcowskich zdrad, a dla pięcioletniego Sieriogi był to grom z jasnego nieba, chłopiec odklejał się od ojca boleśnie, zrywając skórę.

I Nowy Rok po przeprowadzce do Kupczina już nigdy nie był taki sam jak wcześniej przy Ligowskim. Nagle przestał być cudownym świętem, a stał się najbardziej gorzkim, pustym dniem w roku. I Dziadka Mroza ostatni raz widział Sierioga właśnie wtedy, przed rozwodem.

Zawsze przychodził do Sierioży pół godziny przed biciem Kurantów o północy. Dzwonił do drzwi i Sieriożka biegł je otworzyć. Najpierw przysuwał taboret do tapicerki, spoglądał przez wizjer, potem wydawał triumfalny okrzyk i zaczynał odmykać zasuwę. Do środka wchodził siwobrody staruszek, czasem przysypany śniegiem, kiedy indziej całkiem ciepły, domowy, sięgał do worka i wyciągał z niego to, o czym Sierioża marzył najbardziej na świecie. Potem nakazywał słuchać się rodziców, a kiedy pójdzie do szkoły – uczyć się historii pilniej niż biologii, żegnał się jak z dorosłym, uściskiem dłoni, i znikał. Później ojciec wracał z pracy albo z gości. Ostatnim razem Dziadek Mróz przyniósł Sierioży wóz strażacki.

Rok później, gdy Sierioża wspominał o tym, że czeka na noworocznego czarodzieja, usłyszał ogłoszone belferskim tonem oświadczenie, że żadnego Dziadka Mroza nie ma, że dzieciństwo się skończyło i pora, żeby on, stary koń, wreszcie wydorósł. Następnie matka zamknęła się w łazience i odkręciła wodę. Potem oczywiście go przeprosiła, pogodzili się i przytulili, ale jego dzieciństwo naprawdę skończyło się właśnie wtedy.

Wóz strażacki przeżył wszystkie pozostałe zabawki i kiedy Sierioża wyjeżdżał do wojska, zabawka wciąż jeszcze stała na szafonierze w jego pokoju. Matka, sprzątajac, zawsze wchodziła na taboret, zdejmowała go, przecierała z kurzu i starannie odstawiała z powrotem.

Ojca już nigdy więcej nie zobaczył.

– Jesteśmy na miejscu! – powiedział kierowca, odwracając się. – Nie wysiadajcie jeszcze, trzeba połączyć się z naszymi, żeby wyłączyli alarmy.

Wokół skrytej wśród rozłożystych świerków chatki rozciągało się pole minowe, a za nim do połowy zakopane w śniegu ogrodzenie z drutem kolczastym. Żeby wjechać za płot, trzeba było skontaktować się z dyżurną zmianą – albo ręcznie wprowadzić tajny kod na niepozornej bramie. Sama chatka była zbudowana z silikatowych pustaków i przypominałaby raczej samodzielnie sklecony garaż, gdyby nie wieńcząca ją okrągła wieżyczka – obsługiwany z dołu wielkokalibrowy karabin maszynowy.

Radio zasepleniło w odpowiedzi, skrzydła bramy drgnęły, ale ugrzęzły w głębokim śniegu. Klnąc pod nosem, kierowca oderwał przymarzniałe drzwi i zeskoczył w zaspę. Niedbale odgarnął zwały śniegu, uwolnił skrzydła bramy i podjechał samochodem pod chatkę.

To wszystko. Byli na miejscu.

W domku z białych pustaków była piwnica. W piwnicy – sto pięćdziesiąt schodów prowadzących w dół do grobowca stanowiska dowodzenia. Ogromne puste cygario, przypominające okręt podwodny postawiony na sztorc i pogrzebane w tutejszej zamarznętej ziemi, i całkiem jak prawdziwy okręt podwodny podzielone na segmenty. Ostatni, jedenasty, był zamieszkały. Stała w nim przedpotopowa elektroniczna maszyna licząca, wygnieciony fotel z przetartą, szarą skórzaną tapicerką, wszystko to wśród żelaznych ścian, na żelaznej podłodze, pod żelaznym sufitem. W tym przedziale Sierioğa będzie musiał spędzić tydzień z Saidem i Daudem.

Pięćset metrów na północ był jeszcze jeden taki szyb, a kilometr na zachód – trzeci. Drzemały w nich, podwieszane na platformach, dwie międzykontynentalne rakiety balistyczne Topol. Jedna spokojnie wystarczy, żeby obrócić w proch i popiół Zachodnie Wybrzeże Stanów Zjednoczonych.

Zadudniły i wypęły ośmusetkilogramowe wrota, a z wnętrza szybu wyłonili się bladzi mieszkańcy podziemi. Kto wie, co tam się wydarzyło przez ostatni tydzień...

Pryszczaty porucznik zasalutował Sieriodze szyderczo.

– Szczęśliwego Nowego Roku!



Coś go podkusiło.

Właśnie w okolicy Nowego Roku pułkownik pokłócił się z pułkownikową. Zaczęło się od tego, kto ma obrać ziemniaki, a skończyło na zmarnowanej młodości i nędznej wegetacji w zapomnianej przez Boga dziurze, którą trudno było nazwać

nawet ułusem[1]. Chociaż nie, wcale się na tym nie skończyło: potem była jeszcze mowa o koleżankach, które wyszły za inżynierów i mieszkały teraz w Nowosybirsku jak u Pana Boga za piecem, i o żołdzie, i o mieszkaniu, i ogólnie o wojsku, w tym o Głównodowodzącym, ale przede wszystkim o Aleksandrze Pietrowiczu. Przy Głównodowodzącym pułkownik przestał słuchać: pojawił się pretekst, żeby stracić cierpliwość. Wrzucił mokre kartofle do miednicy i wyrwał się z ciasnego mieszkania.

Zły dotarł do klubu oficerskiego, gdzie nieżonaty kapitan, porucznicy i z jakichś sobie tylko znanych powodów siedzący z nimi Gazarian już na całego otwierali szproty. Niech będzie. Z mężczyznami serdeczniej.

Co prawda, wódka okazała się tylko mętną chińszczyzną, niby na ryżu, choć mógł to również być akt sabotażu. Jak nie spróbujesz, to się nie dowiesz. Cóż, polali.

Zaczęli pić pod zagrychę z wędzonego sera od patriotycznych dwóch krótkich i jednego przeciągłego ura-ura-uraaaa!

Wkrótce w swój ostatni rejs po ognistej rzece wyruszyły szproty, niebieski ekran rozświetliły umalowane mordy moskiewskich pederastów, już za parę godzin miał przenikliwym wzrokiem wejrzeć w dusze swoich poddanych Prezydent – nasz, upragniony, nie ten ichni uszatek.

Świąteczna atmosfera stawała się coraz gorętsza. Ból duszy był jak olej słonecznikowy: wódka od potencjalnego przeciwnika kładła się na nim niezauważenie i pozornie bez śladu. Jednak ta zaporą była z góry skazana na pęknięcie, a wtedy wdzierająca się fala całego tego ryżowego trunku groziła straszliwą katastrofą. Jak wylew Huang He. Pieprzone żółtki.

Tamę przerwało, jeszcze zanim Głównodowodzący zdążył zabrać głos. I stało się to bardzo niespodziewanie.

– Bombę atomową wynalazł Oppenheimer. Robert. Był szefem programu jądrowego u Amerykanów – w nagle zapadłej ciszy, jakby wiatr ucichł przed burzą, niezbyt pewnie i drżącym głosem oznajmił Suren. – Czytałem o tym. A kiedy zdetonował pierwszą atomówkę, to wiesz, co powiedział? „Teraz stałem się Śmiercią, niszczycielem światów...” Czujesz?

– W dupie mam twojego Op... penheimera – powiedział miarowo Aleksander Pietrowicz, patrząc ciężko spod swoich niemal neandertalskich łuków brwiowych. – Tu u nas każdy sierżant jest i Śmiercią, i niszczycielem światów. I nic.

– Nawiasem mówiąc, kiedy Oppenheimer zobaczył Hiroszimę i Nagasaki, to resztę życia poświęcił na walkę z bronią atomową – dodał całkiem nie na miejscu Suren.

– Co było do udowodnienia! – Pułkownik opróżnił kieliszek i dziarsko chrząknął. – Lepiej niech do nas nie startują, za ciency są!

– Jestem pewien – poparł dowództwo kapitan Simonow – że jakiś Magomiedow raz-dwa zetrze Los Angeles z powierzchni ziemi i będzie się tylko martwić, żeby w nagrodę za męstwo wypuścili go na przepustkę do miasta na bara-bara.

– No i co to takiego? – Aleksander Pietrowicz przeniósł swoje ciężkie jak głąz spojrzenie na kapitana. – Ja też bym rozpirzył to ich Los Angeles, gdyby Ojczyzna rozkazała. Tak samo bym zrobił. A co, kurwa!

Oficerowie przez chwilę milczeli. W sumie nie można było poprzec nieusankcjonowanego unicestwienia Los Angeles, ale naruszenie hierarchii służbowej też było niepożądane. Głównodowodzący jeszcze nie przemówił.

– Gazarian! Idziemy się odlać! – rozkazał pułkownik.

Stojąc pod ciężkim głuchym niebem, Aleksander Pietrowicz lał żółtą strugą na zaśnieżony plac, parę razy zahaczając łobuzersko o owczarka, który przybiegł się łąsić. Gazarian stał obok, jakby osobno. Sikał bardziej z szacunku do dowódcy niż z potrzeby.

Sikał i przeczuwał nieuchronne wyznanie. Nie mylił się.

– Patrzyłem sobie dziś na tą ich Obamę – westchnął pułkownik po zapięciu rozporka. – I tak mi się żal zrobiło naszej Ojczyzny... Siedzimy tu, Suren, gdzie diabeł mówi dobranoc... Warta bojowa, ku... Naszych „topoli” starczy, żeby i z Europy, i z Azji zrobić marmoladę... I nikomu nie jesteśmy potrzebni. Nikomu, Suren... – wyszeptał gorzko.

Gazarianowi drgnęły mięśnie policzków, ale w półmroku placu skąpo oświetlonego przez żółte kwadraciki okien nie było tego widać. Całkiem niedaleko

wyły wilki, a biegające wokół jednostki owczarki wtórowały im nieodróżnialnym echem.

– Nikt nikogo nie potrzebuje, Suren... Kraj nie potrzebuje armii, armia nie potrzebuje ciebie i mnie, my nie potrzebujemy naszych żołnierzyków... Kiedy spędzałem w szybie tamten pierwszy Nowy Rok... To była taka tęsknota. Z brudasami tam siedziałem... Ja tak nie o tobie, Suren... I tylko myślałem: nie kwękaj. Wytrzymaj dla dobra sprawy. Ojczyzna pamięta. Ojczyzna wie... Chuja tam! – Aleksander Pietrowicz trzasnął pięścią o pokrytą lodem framugę drzwi. – I tak siedzę, gdzie siedziałem, i będę tu siedzieć do usranej śmierci. I my niczego nie bronimy, Gazarian. Po prostu skracamy sobie życie. Czekamy, aż zdechniemy. A Ojczyzny to w ogóle nie ma. Dawno ją przesraliśmy...

– Jeszcze wódki, towarzyszu pułkowniku? – zapytał ze współczuciem Suren.

– Tak jest. – Aleksandrowi Pietrowiczowi odbiło się siwuchą.

Major skoczył, wyniósł opróżnioną do połowy butelkę, zaproponował pułkownikowi, żeby napił się pierwszy, a potem sam pociągnął.

– Mówiłeś wcześniej o Oppenheimerze... To był przecież dorosły facet, tak? A nasi? Dzieciaki, taka ich mać! Powyciągali ich, białych ludzi z domów, dzikusy z jurt... to nie do ciebie, Suren... i wysłali ich tu do nas, na koniec świata... Gołowąsy... Dzieci! I proszę – Nowy Rok, a oni tam siedzą w tym szybie... Żeby chociaż ktoś im złożył życzenia... Albo nam... Nikt nikomu...

W tym momencie tama zaczęła już na serio trzeszczeć w szwach. Nie, to nie była dobra wódka... Zdrada! Zdrada!

– No tak... My to tylko umiemy gadać... – ukłął Gazarian, słuchając sam siebie jakby z boku i czując, jak od tego, co sam powiedział, mróz mu idzie po kościach. – Ale żeby coś zrobić... Na przykład pojechać do nich teraz... Do szybu pojechać i...

– Boga się nie boisz? – czknął surowo pułkownik. – Słowo oficera, świński ryju, podajesz w wątpliwość?! Przecież ja choćby teraz! Ja, pieprzyć to, choćby w stroju Dziadka Mroza! Założymy się?! – Nakręcał się coraz bardziej.

– Ho... Ho... – Suren najpierw pokiwał, a potem pokręcił głową. – Towarzyszu pułkowniku... Tu jest... Został z imprezy świątecznej... No, zrobiliśmy dla dzieci

z miasteczka wojskowego... Generalnie... Jest tam czerwona kapota, broda...

– Przynieś to tu! – Pułkownik wytrzeszczył oszalałe oczy. – Złożymy chłopakom życzenia! Nowy... Ech... Nowy Rok. Przejedziemy się. Przeprowadzimy w szybie... ins... inspek... ek...



Zasunęły się i znieruchomiały ośmiusetkilogramowe wrota, szczęknęły zasuwę. Gdzieś na górze zaterkotała odjeżdżająca terenówka, przecinając reflektorami śnieżycę i zabierając ze sobą kończących dyżur żołnierzy. Brama się zamknęła.

– Szczęśliwego Nowego Roku, szczeniaku – uśmiechnął się Said i popchnął Sieriołę w dół. Dziś będziemy świętować. Byłeś pod prysznicem?

– Wal się!

Sierioła zerwał z ramienia automat, ale Dagestańczyk z łatwością wyrwał mu broń z palców i kopniakiem zepchnął chłopaka ze schodów. Niespiesznie zszedł na półpiętro, chwycił Sieriołę za kołnierz, potrząsnął nim w powietrzu jak kukłą i zrzucił go jeszcze niżej. Krew pociekła z rozciętej brwi, od bólu pociemniało w oczach. Daud schodził jako ostatni; nie uczestniczył, ale też nie przeszkadzał.

– Tu jest sto pięćdziesiąt schodów – Said dogonił próbującego odpełznąć Sieriołę. – Policzysz je wszystkie swoją mordą, szczeniaku. A potem cię posunę... Potem się wściekniesz i rzucisz się na nas na służbie. A potem już sam rozumiesz... No co, jesteśmy na służbie.

Sierioła zyskał sekundę, zdołał wstać i ze wszystkich sił, jakie mu pozostały, wbił podeszwę buta w wybrzuszone już krocze Saida. Ten jęknął, przykucnął, ale natychmiast podbiegł Daud, złapał Sieriołę za włosy i o ścianę, o beton.

– A potem znajdziemy twoją mamę i ją posuniemy... – wychrypiał smrodliwie Sieriodze w samą duszę.

Kołosow zręcznie się wykręcił i wgryzł zębami w podbródek Dauda, złapał za kurtkę – coś zostało mu w ręku, potem szarpnął go palcami za ucho i najszybciej jak

potrafił rzucił się w dół po schodach. Gotowało mu się w gardle, krew wrzała w sercu, bębny biły w głowie. Nienawiść! Zwierzęcy strach i zwierzęca nienawiść!

Głębiej, głębiej! Z tyłu szczęknął zamek karabinu, ale nie zdecydowali się strzelać. Przeklinając Sieriogę, rzucili się za nim, ale on już miał przewagę. Pierwszy dobiegł do segmentu jedenastego i zatrzasnął stalowe drzwi tuż przed wykrzywioną gębą Saida.

Otworzył dłoń, był w niej klucz. Drugi. Pierwszy przekazał mu pryszczaty porucznik. Szczęśliwego Nowego Roku.

A wszystko, czego potrzeba do wystrzelenia rakiety, to dwa klucze i kod. Tylko żeby przekręcić oba klucze jednocześnie... Ale i na to jest sposób, wystarczy drut i kij od szczotki.

Sierioga kliknął przełącznikiem.

– Lepiej otwórz od razu – zadudnił głucho Said zza grubej warstwy stali. – Nie wyjdiesz stąd żywy, rozumiesz?

– Wal się. – Sierioga przygryzł wargę.

– My cię jak barana... Gardło ci... Potem pojedziemy do tego twojego Petersburga... – nie odpuszczał Said.

Kołosow milczał. Próbował się uspokoić i studiował aparaturę.

– I tak wcześniej czy później stąd wyleziesz! Zachce ci się zjeść i wyleziesz! A my poczekamy! Mamy jak sobie umilić czas!

Sieriodze zdało się, że poczuł słaby, niemal nieuchwytny zapach haszyszu. Said na chwilę umilkł, widocznie się zaciągał. Potem przez stalowe drzwi dobiegły stłumione, zdziwione słowa:

– Co tak przycichłeś, szczeniaku? Poddaj się!

– Z jakiego jesteś miasta, Said? – zapytał nagle Sierioga, przyciskając czoło do drzwi.

– Co za różnica? Spod Machaczkały!

– Nie ma różnicy, Said! – prawie wykrzyczał Sierioga; czuł, jak rozsadzając klatkę piersiową, wzbiera w nim złośliwy triumf. – Zaraz rozwalę cały Dagestan!

– Kłamiesz, gnoju! Skąd weźmiesz kod?! Skąd weźmiesz drugi klucz?!

Po co ma się trudzić, opowiadać o alarmie bojowym w poprzedniej jednostce, gdzie służył, zanim przeniósł się do tej, przeklętej? Powiedzieli później, że to była awaria komputera. Dobrze, że zdążyli wszystko odwołać – w ostatniej chwili, po tym, jak on i drugi dyżurny otrzymali już kod odpalenia rakiet. Jednostkę rozwiązano, oficerów i żołnierzy upchnięto, gdzie się dało.

Ale Sierioga zapamiętał kod na zawsze. Takie momenty wrzynają się w pamięć. Może ten kod już nie działał. A może był aktualny.

Sierioga wciąż jeszcze się trząsał.

Chciał tylko jednego: żeby te dranie zdechły. Żeby ich kraj zniknął. Spalić wszystkich, aż do siódmego pokolenia. Na proch i popiół... Na proch i popiół! Obrócić w popiół Saida, Dauda, pułkownika i całą ich bazę, obrócić w popiół samego Sieriogę, całe jego wypaczone życie. Lepiej zdechnąć, niż żyć jako pokraka.

Ekran ożył i Sierioga przejechał palcami po przyciskach. Tylko z grubsza wiedział, gdzie leży Dagestan. To nic, tu nie trzeba precyzji...

Jest przecież ręczne sterowanie. Na wypadek, gdyby przestał istnieć główny punkt dowodzenia w podmoskiewskim Odincowie. Na wypadek, gdyby przestała istnieć Moskwa. Gdyby nie miał kto dowodzić i oficer dyżurny sam musiał zdecydować, czy stanie się niszczycielem światów.

On zdecydował. Wybacz, mamó.

Włączył się system powiadomień, rozległ się sygnał. Dwa klucze – włożyć i obrócić jednocześnie... Rozbieżność nie powinna być większa niż półtorej sekundy... Teraz kod...

W żyłach huczała mu wrząca krew. Przed oczami, w purpurowej mgle, majaczył mu pysk Saida, jego ospałe, pozbawione życia oczy zasłone odurzenia, bezczelny biały uśmiech... Zabiję cię, ścierwo... Sam zdechnę, ale ty też, i cała twoja rodzina, i miasto... Wszyscy.

– Co ty robisz?! – W głosie zza drzwi było już słyhać strach. – Co ty wyprawiasz?!

Kod zadziałał.

To nie Windows. Żadnego generowania liczb losowych... Technologia z lat sześćdziesiątych. Prawie steampunk. I zapomnieli go nawet zmienić po tamtym alarmie, debile.

Teraz pozostało tylko nacisnąć ostatni przycisk. Sierioża położył palec na plastikowej wypukłości: była bardzo gładka, niemal delikatna, i zimna. Jak policzek jakiejś Nataszy Rostowej.

– Nie odważysz się! My potem do Petersburga... My wszystkich twoich... I mamę, i tatę, i babcię, i córkę... – wrzeszczał Said.

– Niczego nie zrobisz! – Sierioża przypadł do drzwi. – Tu są dwie rakiety! Dwie, Said! Jedna dla twojej wiochy, a druga dla nas obu!

– Otwórz drzwi, kurwaaa! – ryknął straszonym głosem Dagestańczyk. – Otwieraj!!!

I nagle zamilkł.

Po drugiej stronie drzwi zapanowała całkowita, martwa, niemożliwa cisza. Jakby rakietka już spadła.

Sierioża zaniepokoił się.

– Co to takiego? – Głos Saida był ledwo słyszalny i kompletnie osłupiały.

Nie zwracał się do Sierioży. Mówił do Dauda. Albo do siebie. Albo do Boga.

– Widzisz to, Daud? – Głos tego człowieka z kamienia brzmiał, jakby właśnie zobaczył swoją mamę. Albo ducha.

– Widzę... – odparł tamten równie zduszonym tonem.

– Przecież to ten... no... Dziadek Mróz... Patrz, tuż przed wejściem...

Czy oni chcą go wywabić? A może haszysz złał już dla nich wszystkie wymiary w jeden, połączył nasz świat ze światem równoległym? W segmencie, w którym utknęli Dagestańczycy, znajduje się pulpit ochrony. Są do niego doprowadzone wszystkie sygnały z perymetru, przedpotopowe monitory pokazują niewyraźny szary obraz z przedpotopowych kamer zewnętrznego monitoringu. Kamery są oczywiście nieme... Co one tam, do cholery, pokazują?! Sierioża przycisnął ucho do zimnego metalu.

– Jak on przeszedł przez bramę? – pytał tępo Daud.

– Co to w ogóle za lichy? – wtórował mu Saud.

– Bierz go na muszkę, sukinkota!

Mają tam wielkokalibrowy karabin maszynowy... Zaraz wycelują w dziwaka, naciśną spust i natychmiast rozerwie go na strzępy. Wystarczy, że kula z takiej maszynki trafi w rękę, żeby oderwać ją od ciała.

– Słuchaj, bracie... – powiedział niepewnie Daud. – Może zaczekajmy? Przecież to... No... Dziadek Mróz...

– Jaki Dziadek Mróz, bracie?! To intruz na obiekcie!

– Skąd by tu się wziął intruz, bracie? To tajga! Bracie, do jednostki dziesięć kilometrów! Do miasta dwieście... Pole minowe! Alarm! A jest przecież Nowy Rok...

Sierioga odruchowo zerknął na zegarek. Była za kwadrans dwunasta. Poczuł straszną ochotę, żeby otworzyć drzwi i samemu spojrzeć na mętny ekranik... A nuż... A nuż naprawdę... Naprawdę?

– Daj mi to! – zawołał Said. – Mężczyzną jesteś czy masz mleko pod nosem? Jak ty nie potrafisz, to ja go stuknę!

Nie da się powiedzieć, co się stało z Sieriogą. To było tak, jakby to żelazne pomieszczenie rozpląnęło się przed nim, pękło na pół, jakby on sam stał się trzy razy mniejszy, a świat nagle urósł, i czas zamarł, i powietrze się skryształizowało. Serce, które przed chwilą osłabło, znów zaczęło bić...

– Nie waż się, Said! – wyrwał mu się z gardła rozpaczliwy pisk. – Nie strzelaj!

I wbrew wszystkiemu otworzył drzwi.

W przedziale trudno było oddychać przez gęsty konopny dym. Dwaj potężni Dagestańczycy chwycili się nawzajem za gardła i zamarli tak, jakby Sierioga trafił nagle na finał mistrzostw świata w zapasach w stylu wolnym.

Na ekranie było dość wyraźnie widać chatkę z silikatowych bloczków, a tuż przed wejściem, dokładnie na celowniku karabinu maszynowego, stała rosła ludzka postać. Długi kozuch, obszyta białą wełną czapka, kij i worek na plecach. Nieznajomy pukał do drzwi. Potem obrócił się i spojrzał w kamerę... Nie dało się

dojrzeć twarzy, widoczne były tylko krzaczaste białe brwi i długa śnieżnobiała broda.

– Pomóż mi z nim... – wyrzęził Daud do Kołosowa.

Sierioga, nie mogąc oderwać wzroku od ekranu, machinalnie podniósł leżącego na podłodze kałacha i z zamachu przyłożył kolbą w fałdzistą potylicę Saida. Said nieprzyjemnie charknął i sflaczał.

– Wybacz, bracie – westchnął Daud. – On nie miał racji. Za dużo pali. Całkiem stracił rozum. Powiem chłopakom... generalnie... żeby cię nie ruszali.

Sierioga skinął z roztargnieniem.

Piekły go oczy.

Na cyferblacie było pięć po pierwszej.

– Szczęśliwego Nowego Roku – szepnął bezgłośnie.

Dziadek Mróz potupał trochę, aż w końcu odszedł i zniknął w gęstwinie.

– Dobrze zrobiliśmy, prawda? – spytał Daud jakimś bezbronnym tonem. – Tylko nikomu nie mów. Dobra?



– Nie zdążyliśmy? Jasny gwint! – beknął smutno pułkownik, ściągając niżej wiszącą na gumce brodę z waty. – Dobra... My... Ten... Jak to tak? Nieważne, idziemy składać życzenia! Dałem słowo oficera!

ATV, zjechawszy jedną gąsienicą do rowu, sapał i dymił. Do bramy zabrakło im jakieś trzydzieści metrów. Pułkownik wpadł w śnieg, podciągnął walonki i zaczął brnąć w stronę wejścia. Suren wywoływał przez radio stanowisko dowodzenia, ale nikt nie odpowiadał.

Aleksander Pietrowicz dotarł do bramy, postukał nieposłusznymi palcami w zamek kodowy, ale niczego nie wskórał. Całkowicie wyczerpany pacnął tyłkiem na miękką zaspę i cicho załkał.

Przez metalową siatkę widział nieosiągalną chatkę, przykryte szronem świerki i jasną plamę światła przed wejściem... i korpulentną postać w ośnieżonym kozuchu,

kaczym chodem oddalającą się w las, w nicość. Chyba dostrzegł nawet kij i worek na plecach.

Było, minęło.

– Op... penheimer... – czknął pułkownik.

[1] Ułus – osada, obóz ludów turecko-mongolskich na Uralu i Syberii (wszystkie przypisy pochodzą od tłumacza lub redakcji).

WEZWANIE

– No, mały – przemówiła groźnie fioletowowłosa baryłkowata kobieta. – Biegnij do swoich nowych kolegów!

Wania patrzył spode łba na swoich nowych kolegów. Robili przygnębiające wrażenie: jeden młócił drugiego po plecach drewnianą łopatką, a trzeci, nie zwracając na nich uwagi, w skupieniu zjadał szary drogowy piach, zbierając go szczypta po szczypcie z chodnika.

– Mamo... – powiedział cichutko Wania, mając nadzieję, że zwisająca nad nim fioletowa jędra niczego nie usłyszy. – Mamo, nie zostawiaj mnie tutaj.

– No co ty... – Matka uśmiechnęła się do niego jednocześnie zachęcająco i żałośnie. – Jesteś już dorosły, synku. Masz trzy latka! Czas, żebyś i ty chodził do pracy, tak jak ja i tata. Twoja praca to chodzenie do przedszkola.

– Mamo... – szepnął rozpaczliwie Wania, chwytając się matczynej sukienki. – A mogę pójść na emeryturę jak babcia? Czy mogę mieć urlop? Czy mogę mieć dziś niedzielę? Może przyjdziemy tu jutro? Tylko nie dziś...

– No, no... – Opiekunka potrząsnęła swoją fioletową grzywą z dezaprobatą. – Nie zachowuj się jak dziecko! Może pani iść, Anno Pietrowna. Niech pani będzie spokojna. W końcu to placówka resortowa. Wanieczce się u nas spodoba.

Wtedy chłopczyk, który do tej pory flegmatycznie jadł piach, nagle wydał z siebie mrozący krew w żyłach krzyk i wystrzelił z miejsca, zataczając szalony łuk wokół werandy.

– A... – zaczęła mama Wani.

– Wesoło tu u nas – ucięła wychowawczyni tonem kategorycznym jak komunikat Sowinformbiura. – Proszę iść.

– Nie bój się – powiedziała niepewnie mama do Wani. – A wiesz, co będzie wieczorem? Placek z konfiturami!

I jednak odeszła, a Wania został przy furtce, przyłoczony ciężarem lat i przybity tym, jak gwałtownie rozpoczęło się dorosłe życie. Po raz pierwszy nie miał ochoty na placek z konfiturami – chciał tylko, by jak najszybciej go stąd zabrali.

Ale zabrano go za rękę, odciągnięto od płotu i wrzucono na główkę w nowe życie.

Przedszkole w niczym nie przypominało domu: pościel była tu szorstka, jedzenie rozwodnione, a dorośli oziębli.

Najbardziej niezwykle były jednak tutejsze zapachy. Przedszkole pachniało tak, jak nic innego w jego dotychczasowym życiu. Od samego progu przywitało Wanę zdumiewającymi, wyrazistymi i wielowarstwowymi woniami. Oszło nimi chłopca i mocno go wciągnęło. I nie dało się stwierdzić, czy zapachy te były przyjemne, czy nieprzyjemne – po prostu tak pachniało przedszkole i już.

Wreszcie po upływie niekończącego się straszego dnia, mama jednak po niego wróciła, a w domu czekał placek z konfiturami. Ale nazajutrz znów poszedł do przedszkola, a placek już nie było: inicjacja się dokonała, a po niej nastąpiła pracownicza rutyna.

Nieśmiały, wychowany w domu Wania pomału dostosował się do swoich nieuniknionych i niepoczytalnych kolegów z grupy, nauczył się okłamywać dorosłych, zadawać i znosić ciosy drewnianą łopatką, spać na szorstkich prześcieradłach i widzieć w niewyszukanych wzorach na zasłonach wspólnej sypialni czarodziejską dżunglę, zadowalać się wodnistym i pozbawionym smaku omletem w niezwykłym kubicznym kształcie oraz niemającymi nigdy nic wspólnego z niczym żywym klopsikami z ryżem, a także zakładać się, kto zje więcej przydrożnego piachu.

Ale za to na podwieczorek dawali herbatniki z mlekiem. I był jeszcze doskonały zestaw ołowianych marynarzy „Obrońcy Kronsztadu”, ale potem gdzieś zaginął.

To było zwyczajne przedszkole.

I pół wieku już minęło, a Wania wciąż je pamiętał.



– Tu administracja Prezydenta, Departament Polityki Wewnętrznej – zamruczał aksamitny bas w głośniku telefonu komórkowego.

Iwan aż przywarł do deski klozetowej, chociaż zamierzał już spuszczać wodę. Ale kiedy słyszysz przez telefon coś takiego, szum toaletowej Niagary brzmi jak rewolta. Zawstydzony typowym dla ubikacji echem i obawiając się zdemaskowania, Iwan osłonił telefon dłonią i ostrożnie kaszlnął.

– Chcielibyśmy zaprosić pana na rozmowę – kontynuował głos niemal serdecznie.

– Dokąd? – spytał zmieszany Iwan, wpatrując się w popękane białe kafelki, całe upstrzone plamami zmiażdżonych i zaschłych komarów, i nie wiedzieć czemu pomyślał o walizce na wypadek ucieczki.

– Oczywiście do Moskwy – powiedział głos w telefonie. – Bo jest pan teraz w Kołogriwie w obwodzie kostromskim, prawda?

– Tak – przyznał Iwan, trwożnie wpatrując się przez splekany sufit w niewidoczne, lecz wszyszkowidzące niebo: czyżby go obserwowali?

– No i pięknie. Jutro rano po pana przyjadą. Jesteśmy umówieni?

– Jesteśmy umówieni – powtórzył Iwan automatycznie. – Ej, chwileczkę! Przecież idę jutro do pracy, w ZNT...

– Rozmawialiśmy już z dyrektorem Zakładu Naprawy Traktorów – powiedziała słuchawka miękko, choć stanowczo, popychając Iwana do kapitulacji.

– I co z nim? Zgadza się? – Iwan przeczuwając nieprzyjemności, wciąż jeszcze się wahał.

– Iwanie Władimirowiczu... – W głosie zabrzmiał stalowy zgrzyt woli politycznej. – On jest za. Kiedy my rozmawiamy, wszyscy są zawsze za, Iwanie Władimirowiczu. Niech pan będzie gotowy jutro o dziewiątej.

I potężny duch opuścił komórkę.

Iwan zamrugał, wypuścił powietrze i w końcu podniósł z podłogi opuszczone portki.



– A po co mnie wezwali? – wypytywał kierowcę siedzący na skraju obszernej tylnej kanapy Iwan Władimirowicz.

Limuzyna z przyciemnionymi szybami szumiała ledwie słyszalnie, połykając z cichym młaśnięciem okrutne wyboje, o których mówiło się tu półzartem, że na trasie do Kostromy zrobiono je specjalnie, aby zatrzymać ofensywę nieprzyjacielskich czołgów. Przed nimi, błyskając kogutem, pędziło w podskokach żiguli drogówki.

Szofer zakuty w pancerz czarnego garnituru milczał, a fałdy skóry na jego purpurowym byczym karku pozostawały nieruchome.

– Nagrabiłem sobie, tak? – zadręczał się Iwan, patrząc tęsknie na przydrożne brzoźki, sklezione przez prędkość w rozwałkowaną zebłą.

Gdzie popełnił błąd?

Kiedy samolot nieznanym nikomu linii lotniczych „Rosja”, którego był jedynym pasażerem, pokonywał krótki dystans czterystu kilometrów dzielący Kostromę i stolicę, przed oczami Iwana, jak to zwykle bywa w takich chwilach, przelatywało całe jego przykrótkie i głupawe życie.

Dzieciństwo spędzone w Leningradzie, potem tułaczka – Aszhabad, Kemerowo, Władywostok – i gdzie tam jeszcze wysłał za ojcem, fortocznym specjalistą wojskowym, jego pozbawioną prawa głosu rodzinę. Ucieczka do szkoły zawodowej, miłość na kartoflisku, przerwa w romansie na służbę wojskową, małżeństwo z cierpliwą chłopką, która zaczekała na jego powrót i bardzo na tym samotnym czekaniu zyskała, nieukończone wyższe studia odłożone na wieczne nigdy, by wykarmić płowowłosą dzieciarnię, która pojawiła się jakoś tak sama z siebie, i pierwsza praca, jaka się trafiła – w ZNT, gdzie Iwan nie zrobił wielkiej kariery, a to przez swoje nieskrywane przekonanie, że całe kierownictwo to skończone

dupki. Owszem, z robotnika awansował na majstra, a przed pięćdziesiątką niemal został starszym majstrem, ale na przyjęciu rocznicowym za dużo wypił i znów zebrało mu się na szczerłość.

To chyba nie za to?

I choćby nie wiadomo jak daleko sięgał wstecz, niczego więcej tam nie było.



Za oknami z rozmarzeniem rozpostarła się lubieżna, tłusta Moskwa, w której – wciąż jeszcze skromnej, głodnej i kuszącej – Iwan gościł po raz ostatni jako oczarowany rezerwista.

Przed czarną limuzyną przemknął ford drogowki, błyskając kogutem i mącąc zastygły ruch uliczny.

Postarzała i wymalowana Twerska rozłożyła przed żywiołowym konwojem swoje kamienne uda i długa limuzyna minawszy Łobnoje Miasto, wbiła się w sam miąższ Bramy Spasskiej.

Potem wcisnęła się na parking jakiegoś żółtego pałacu i wyrzuciła z siebie Iwana Władimirowicza w roli samotnego i oszołomionego plemnika, zaszczutym wzrokiem rozglądającego się po głuchym kamiennym kondomie Kremla.



Przybity Iwan siedział w okazałej, pogrążonej w półmroku poczekalni ozdobionej całopostaciowymi portretami Narodowego Przywódcy – z jakiegoś powodu w stroju cesarskim, w bieli i epoletach. Gdzieś z nieba sączyła się cichutko majestatyczna muzyka symfoniczna.

Uwięziony w stygnącej galarecie niekończących się minut oczekiwania, Iwan z początku miotał się, lustrował poczekalnię, a nawet odważył się na kilka kroków, ale potem stracił rezon i posłusznie poszedł na dno.

Po obu stronach drzwi stali jacyś gardemaryni w galowych mundurach, a sekretarz przy wejściu szeptał służalczo do słuchawki białego telefonu. Nie zwracał uwagi na jedynego interesanta, i dobrze: Iwanowi zdawało się, że jedno ciężkie spojrzenie jego wywierconych w żeliwnych oczach źrenic zamieniłoby go w kamień.

Tak więc Iwan stopniowo wiądnął i usychał, jak meduza wyciągnięta przez okrutnego pioniera na rozpalony piasek, oddając właściwe człowiekowi osiemdziesiąt procent wilgoci przez poczerwiałe pod wpływem przeżyć pachy.

Nagle sekretarz, wciąż nie patrząc na interesanta, odezwał się bezbarwnym tonem:

– Niech pan wejdzie.

Iwan wstał i powoli, niczym w koszmarnym śnie, na miękkich jak z waty nogach powlókł się naprzód w otwierającą się przed nim gardziel czyjś gabinetu.

W środku czekał na niego niespodziewany wystrój: szklany stół, ogromny ekran plazmowy na ścianie i mgliście znany z telewizora obły człowiek, bez którego z trudem obchodziły się serwisy informacyjne.

No tak. Teraz wszystko się rozstrzygnie. Rozstrzelanie czy...

– Iwanie Władimirowiczu – odezwał się gospodarz gabinetu. – Pozwoli pan, że pogratuluję panu nominacji. Od jutra stanie pan na czele spółki RosRura-Wschód. Będzie pan jej prezesem.

– Za co?... – Iwan wyrzucił z siebie dwa zawczasu przygotowane i zupełnie niepasujące słowa i zaciął się.

– Za zasługi – wyjaśnił mężczyzna. – Pańskie wynagrodzenie ustalono na pięćdziesiąt tysięcy dolarów miesięcznie. Ma pan oczywiście prawo zapytać, dlaczego płaca nie całkiem odpowiada stawkom rynkowym...

– Tak – zgodził się na wszelki wypadek Iwan, absolutnie nic nie rozumiejąc z poprzedniej wypowiedzi obłego człowieka.

– Pańskie wynagrodzenie to czysta formalność. Byłe mieć przelew na konto, do pokazania żonie i dziennikarzom. Obaj rozumiemy, że to tylko szczyt góry lodowej, Iwanie Władimirowiczu.

- Rozumiemy – przytaknął posłusznie.
- To wszystko, jest pan wolny. Proszę zacząć od jutra – polecił mu obły.
- Czyli mogę wracać do domu? – spytał z ulgą Iwan, wyczuwając po intonacji, że rozmowa dobiegła końca, a rozstrzelanie wydaje się odwołane. – Zdążę jeszcze na pociąg, orientuje się pan?
 - Pański pociąg odjechał – uśmiechnął się mężczyzna. – Ale pańska s-klasa czeka przed bramą.
 - Chwileczkę... – Nagle tama otępienia Iwanowa pękła i przez szczelinę pociekła cienka strużka. – Kim zostałem mianowany? Przecież to... Ale jak to ja?...
 - Zdaje się pracował pan jako mistrz w zakładzie?
 - Pracowałem... Pracuję!
 - No, czyli i z tym zadaniem pan sobie poradzi – zachęcał go mężczyzna. – Niech pan się nie waha, Iwanie Władimirowiczu. Nie ma pan nawet takiego prawa. Kiedy Ojczyzna wzywa... Czy pan wie, jakie mamy potworne braki kadrowe w tym kraju?
 - Ale ja wspieram Ojczyznę! Tylko proszę zrozumieć, ja jestem prosty...
 - A to i dobrze, Iwanie Władimirowiczu – przerwał mu znudzony już gospodarz biura. – Nam tu skomplikowanych nie trzeba.



Choć Iwan był w pełni gotów obudzić się z potwornym bólem głowy i rozmarzonym uśmiechem, to, co się wydarzyło poprzedniego dnia, nie było snem.

Wszystko stało się jawą. I wypasiony mercedes, i pensja, za którą można było kupić pół Kołogriwu, i gabinet wielkości niemal hali fabrycznej, i mieszkanie przy Bulwarze Gogolewskim, do którego wprowadziła się nienawykła jeszcze do roli szlachcianki żona Iwana, Alewtina, trzymając w objęciach ich starą nieużywaną walizę.

Iwan pracował sumiennie. Posłusznie podpisywał stosy dokumentów podsuwane mu przez wszechwiedzącego asystenta, pilnie chodził na zebrania i ze wszystkich sił nadymał policzki, starając się nie wygłupić przed podwładnymi, robił minę

wyrażającą głęboki namysł, na tyle, na ile pozwalała mu na to robotnicza przeszłość, zegnał się gorliwie przed ikoną Narodowego Przywódcy w swoim gabinecie, przelewał tyle, ile mu kazano pewnej firmie w Szwajcarii, nie zadawał zbędnych pytań i w ogóle starał się, jak mógł.

I wciąż próbował odgadnąć, w co właściwie się wpierdolił.

Czy nie okaże się, że z jakiegoś powodu został mianowany na godzinę kalifem, by dać się utuczyć kawiozem i jesiotrem i zostać złożonym w ofierze jakiemuś bogu aparatu partyjnego albo stać się żarłem Wielkiego Smoka Walki z Korupcją, który nie ma ochoty zjadać samego siebie, nawet poczynając od ogona.

Nie, trzeba dotrzeć do przyczyny tej dziwnej nominacji, koniecznie.

I Iwan szukał. Pytał wszechwiedzącego asystenta, ale ten tylko odwracał wzrok. Rzucił subtelne aluzje najbardziej sympatycznym pracownikom – ci się rumienili...

Ale pewnego razu, zupełnym przypadkiem, Iwan wpadł na trop.

Miał umówione spotkanie z prezesem firmy RosRura-Zachód, której istnienia Iwan domyślał się na podstawie nazwy swojej macierzystej firmy, choć nigdy nie miał na to bezpośrednich dowodów.

Szef Zachodniej Rury, Konstantin Pietrowicz, zdaje się, przybył s-klasą identyczną jak ta, którą miał Iwan. Wyglądał nie tyle na prezesa czegokolwiek, co na popijającego hydraulika, który wpadł w łapy Świadców Jehowy, a ci wystroili go w uroczysty garnitur pogrzebowy i zmusili do odstawienia alkoholu.

Usiedli przy stoliku, pochrzákali, pomamrotali rytualnie. Iwan z początku był onieśmielony, bał się powiedzieć cokolwiek treściwego – profesjonalista od razu przejrzy oszusta...

Ale wtedy podali drugie danie.

– Kurde, w przedszkolu karmili nas taką bałandą... – prychnął Konstantin Pietrowicz. – Jak Boga kocham, tak to właśnie pachniało... Stęchlizną.

– I u nas tak samo – przytaknął Iwan. – Faktycznie tak właśnie zalatywało. Dawali jeszcze taki obrzydliwy omlet, w kostkach...

– U nas też taki był! – ucieszył się Konstantin Pietrowicz. – I klopsiki z ryżem takie, że się płakać chciało!

– Coś takiego! – uśmiechnął się Iwan. – Widać truli tym dzieci w całym Sojuszu. Ja jestem z Leningradu.

– Ja też! – Zachodni uniósł brwi. – Przedszkole na Wyspie Wasylewskiej, numer czternaście.

– Chwileczkę... Czternaście? Ja też do niego chodziłem!

– Niemożliwe!

– I miałem wychowawczynię Antoninę Stiepanowną, fioletowe włosy... Będę ją pamiętał do końca życia!

– Fioletowe?! Była w mojej grupie...

– Zaraz, zaraz! Który pan jest rocznik?

– Pięćdziesiąty drugi...

– Czyli my razem... Zaraz... Ja pana chyba pamiętam... Kostia... Kostia-Śmierdziuszek?!

– No... Iwanie Władimirowiczu... Dawne czasy... Kto to jeszcze pamięta...

Uściskali się i wypili po kieliszku.

Odesłali asystentów, a potem i szoferów.

– Wiesz, Wańka – huknął zaczerwieniony Kostia. – Ja to nigdy nie lubiłem tego naszego przedszkola. Kiedy teraz je wspominam... to było istne gniazdo żmij... I ten wieczny smród. Dopiero później rozgryzłem, co to za zapach!

– No i? – zapytał Iwan ze szczerym zainteresowaniem.

– Dziecięcy kał przemieszany z chlorem! I tym czymś prześmierdło całe nasze przedszkole! A przecież tylu ludzi wprowadziło w życie!

– I... ilu? – czknął Iwan, nalewając sobie wódki, jeśli wierzyć etykietce, oczyszczonej modlitwą mnichów z Pustelni Optyńskiej.

– Ba! My kładziemy rurę na zachód, tak? Naszym partnerem jest SteelFinance, firma z udziałem skarbu państwa. Za ich pośrednictwem płacimy za stal. I nie uwierzysz – dyrektorem generalnym jest tam też chłopaczek z naszej grupy!

– Daj spokój!

– Słowo daję! Też tak kiedyś siedzieliśmy, wspominaliśmy dzieciństwo! Mówię mu, pamiętasz, jak cię napierdziałem łopatką po głowie, a teraz przechodzi przez

ciebie każdy cent za każdy gram metalu... Ale to życie zasuwa, co? A on mi opowiadał, że jeszcze w Rosteknologiach siedzi chłopak z naszej grupy z przedszkola jako wicedyrektor generalny odpowiedzialny za finanse... Ile zostawić tutaj, ile wysłać do Szwajcarii... Sewa, pamiętasz go?

– Słuchaj no... – Iwana nagle olśniło. – A gdzie ty pracowałeś, zanim trafiłeś do RosRury?

Z twarzy Konstantina Pietrowicza natychmiast odpłynęła cała krew. Spuścił wzrok do portfela, rzucił na stół banknot pięciotysięczny i zniknął bez pożegnania.

A Iwan siedział smutny: no tak, to tylko dziecięcy kał i chlor...



Ktoś inny, być może, zrezygnowałby ze śledztwa, przestraszony taką reakcją, ale Iwanowi Władimirowiczowi tylko dodało to animuszu.

Od tej pory spotykając się lub choćby korespondując z którymś z prezesów czy dyrektorów generalnych innych dużych spółek, zawsze wypytywał ich o przedszkole: czy nie chodził tam któryś z nich? Prawda była gdzieś blisko, ale wyłowić ją było trudniej niż karasia z wiadra – ciągle się wyślizgiwała.

Kolegów z grupy znalazło się wśród nich sporo i wszyscy trafili na poważne stanowiska. Iwan pogłównkował trochę, aż przypomniał sobie wszystkich. Grupa była w komplecie, ale Wania wciąż nie mógł znaleźć odpowiedzi na swoje pytanie.

Znalazł za to współnika.

W Szmalbanku, emerytalnej filii największego banku w kraju, pracował niejaki Arkadij Walerjewicz, równie owładnięty chęcią odkrycia tajemnicy swojej nominacji co Iwan. W odróżnieniu od Kostii-Śmierdziuszka, uciekiniera, Arkadij zdołał przezwyciężyć skrupowanie i sam się przyznał: do niedawna pracował jako weterynarz i ze zmiennym powodzeniem kurował krowy w gospodarstwie, gdzie złapała go za kołnierz ręka z niebios i przeniosła do stolicy.

Były weterynarz również okazał się rówieśnikiem Iwana i tajemniczym zbiegiem okoliczności też pochodził z Leningradu. Jednak zdecydowanie nie pamiętał

przedszkola z fioletowowłosą opiekunką ani nie spotykał dotąd na swojej drodze jego wybitnych absolwentów. Za to nie przestawał się dziwić temu, że w sektorze finansowym – od KGBanku po od niedawna państwowy Bank Moskiewski – wszędzie spotykał swoich kolegów z klasy w leningradzkiej szkole nr 193. Nie mógł na to znaleźć żadnego wytłumaczenia i od tego zdumienia zaczął nawet wierzyć w Opatrzność.

– Wiesz o czym jeszcze pomyślałem... – powiedział zmiękczony koniakiem weterynarz. – A co, jeśli jesteśmy wybrańcami? No... To nie przypadek, że wszyscy się tam znaleźliśmy, ty w swoim przedszkolu, ja w szkole... Jest taka książka braci Strugackich, *Żuk w mrowisku*... Generalnie jest tam o dzieciach obcych, które wyglądają jak zwykli ludzie i nie wiedzą, że są obcymi... I przez całe życie znajdują się pod obserwacją... W ramach jakiejś misji albo po prostu na wszelki wypadek... A jeśli my też jesteśmy wyjątkowi? Może mamy jakąś misję?

– Szwajcaria? – mrugnął do niego konspiracyjnie Iwan.

– Daj spokój... Czy to jest misja? – Weterynarz machnął tylko ręką, nie zadając dodatkowych pytań (widocznie w jego pracy Szwajcaria też grała pewną rolę). – To tylko życie. Mi chodzi o głębszy sens... – westchnął ze smutkiem.

– No wiesz... – Iwan wzruszył ramionami. – Ty, ja, KGBank... Kopiejka do kopiejki i ktoś uzbiera i na głębszy sens...

– Niby kto? – spytał Arkadij z nagłą surowością. – Przestań mi tu opowiadać bzdury! – i przeżegnał się przed kieszonkowym wizerunkiem Narodowego Przywódcy.



Nie, nie było w tym żadnej logiki, żadnego bożego planu. Ile by się Iwan nie starał ułożyć tych puzzli, elementy wciąż do siebie nie pasowały, a kiedy nawet zaczynały się układać, nie ukazywał się mu żaden sensowny obraz.

Efekt był jeden – i to bardzo wątpliwy. Powstał tylko spis placówek edukacyjnych, które ukończyli wybrańcy. Przedszkole Iwana, podstawówka nr 193,

potem – tu trzeba było wielu wysiłków i wypracowanych koneksji – czterysta pierwsza szkoła średnia KGB, potem – Wydział Prawa Leningradzkiego Uniwersytetu Państwowego.

Wychodziło na to, że za tymi nudnymi szyldami w rzeczywistości kryły się tajne szkoły kształcące przyszłą elitę finansową kraju. Ale po co było utrzymywać władców jutra w nieświadomości co do ich prawdziwego przeznaczenia? Po co było nurzać ich w głównie ludzkiego życia przed wyniesieniem na boski Olimp? Czy po to, żeby lepiej rozumieli tych, których losami będą zarządzać?

Szalona teoria, to prawda, ale jednak...



– Zrozumiałem! – wyszeptał mu do ucha weterynarz. – Rozgryzłem to!

Zwaliło się na nich ciężkie moskiewskie lato, dysząc im żarem w twarz, i Iwan nie wiedział, czy wierzyć w kolejne rewelacje swojego towarzysza w szczęściu, czy rzucić je na sezonowe wzmoczenie.

Kelner psyknął piwnymi kapslami i odszedł niepewnym krokiem. Weterynarz odprowadził go podejrzliwym spojrzeniem i wypalił:

– Jesteśmy apostołami!

Iwan o mało nie zwalił się pod stół. Ostudził rozpaloną wyobraźnię rzeczowym niemieckim piwem i zażądał wyjaśnień.

– Przecież szukam, podobnie jak i ty... I też wszystko wiem. I sto dziewięćdziesiąta trzecia, i czterysta pierwsza, i Uniwersytet Leningradzki... – wyliczał Arkadij po złapaniu tchu. – Początkowo myślałem, że może to jak we Francji, Krajowa Szkoła Administracji... Jakiego ministra nie spytasz, okaże się, że tam studiował... A u nas to jest, na przykład, czterysta jedynek KGB...

– Możesz nie wierzyć, ale sam na to wpadłem! – Iwan uśmiechnął się pod nosem.

– Potem zrozumiałem, że coś tu jest nie tak – usadził go weterynarz z chytrym uśmieszkiem. – Dlaczego tylko jedna grupa w przedszkolu? Dlaczego zaledwie jedna

klasa w szkole? Jeden rok na Wydziale Prawa? Hm? Co jest nie tak z pozostałymi?

– I?... – Iwan beształ się w myślach za brak inteligencji.

– A dlatego, że po prostu byliśmy blisko Niego!

– Jakiego „Niego”? – Iwan przyglądał mu się ze zdumieniem.

– Zbawiciela! – Arkadij uniósł palec. – Tego, który przyszedł nas wyzwolić! On przechodzi zwykłą ziemską drogę... I błogosławieni ci, którzy się z Nim zetkną... Jesteśmy Jego apostołami, a imię nasze legion!

Iwan zaciął się w myślach i ucichł. Weterynarz milczał, delektując się wagą chwili. Zaczynająca już rzeźć mucha pacnęła nagle o stół i zdechła.

– Zaczekaj no! – ocknął się Iwan. – Masz tu, bracie, lukę w teorii! Bo kto jest niby tym Zbawicielem?

– Oto jest pytanie – westchnął weterynarz. – Nie wiem.

– Tak... Tak... – W oczach Iwana rozblysnął nagle gorączkowy ogień. – Zaraz, zaraz... Pamiętam wszystkich, którzy byli ze mną w grupie! Porównajmy to z twoją klasą... A jeśli masz rację, to tam, gdzie znajdziemy element wspólny, tam właśnie... Tak? Tak?!

Siedzieli do drugiej w nocy, rysowali schematy, dzwonili do starych znajomych.

Przypomnieli sobie wszystkich.

Wspólnego elementu nie było.



– Iwanie Władimirowiczu! – zaszemrał przyjemny baryton w słuchawce komórki. – Tu Administracja Prezydenta, Departament Polityki Wewnętrznej. Może pan teraz rozmawiać?

– Jestem za! – Wyprężył się na baczność, odrzucając wędkę ze złowionym właśnie karpem.

– Zbliża się nasza uroczysta gala, Iwanie Władimirowiczu. W najbliższym czasie odbędzie się spotkanie przedstawicieli wielkiego biznesu i państwowych spółek z Narodowym Przywódcą. Jest pan zaproszony. Będzie pan mógł przybyć?

– Jestem za! – huknął Iwan.

– Dziękujemy, Iwanie Władimirowiczu. Sądzymy, że to będzie ciekawe spotkanie. Myślimy, że uzyska pan odpowiedzi na wiele pytań, które nurtują środowiska biznesowe.

Słuchawka ucichła, znów opuszczona przez ulotnego ducha. Ale Iwan mimo to ryknął do niej, tak na wszelki wypadek:

– Jestem za!



Sala Gieorgijewska na Kremlu lśniła, wypucowana przez Tadżyków.

Między rzędami spiralnych białych kolumn stał niewiarygodnych rozmiarów stół z polerowanego mahoni, a przy nim rozsiedli się mężczyźni we frakach i kobiety w sukniach wieczorowych. Nie wydawali się mieć ze sobą wiele wspólnego... Może poza wiekiem. To prawda, tak mógłby wyglądać zjazd absolwentów po czterdziestu latach, gdyby po upływie takiego czasu ktokolwiek był w stanie ściągnąć dawnych kolegów ze wszystkich krańców Ziemi, w które zwykle rzuca ich nieprzewidywalne życie.

Wiele tu było spotkań – radosnych, nieoczekiwanych. Nie wszyscy na tym świecie zadają sobie pytania o to, jak on jest urządzony, i dla wielu zaproszonych widok kolegów z klasy przy tym ważnym stole okazał się niespodzianką nad niespodziankami.

Przy bezkresnym mahoniowym stole spotykały się dziecięce miłości i młodzieńcze waśnie, szczenięce przyjaźnie i te zahartowane przez czas. Nie wszyscy się tu znali: nie wszystkie drogi czterysta jedynek i sto dziewięćdziesiątki trójki się przecinały, a Uniwersytet Leningradzki i przedszkole z Wyspy Wasylewskiej w ogóle nigdy się nie zetknęły.

Pochłonięci wspomnieniami pięćdziesięcioletni sternicy gospodarki śmiali się i paplali jak dzieci – bo przecież widzieli w sobie nawzajem chłopców i dziewczynki...

I naraz wszystko ucichło.

Gdzieś z niebios popłynęła uroczysta i majestatyczna muzyka, a podwoje na końcu ogromnej sali uchylły się.

I nagle najstrojniejsza sala Kremla, rozświetlona żyrandolami jasnymi jak słońca, wydała się ciemną i duszną ładownią jakiejś łajby, a zebrani przy stole postawni i piękni ludzie – niewolnikami, albo wręcz szczurami.

Bo przez tę szczelinę do ładowni Sali Gieorgijewskiej wlało się światło prawdziwe, światło boskie. I światło to przyniosło ku zebranyemu człowiekowi, którego dotąd widzieli tylko w telewizji, zwłaszcza że w ostatnim czasie mało kogo oprócz Niego tam pokazywano.

Narodowy Przywódca. Żywy. Prawdziwy.

A w jego sylwetce, w jego rozkołysanym kroku, w niedbałości, z jaką przemierzał przestrzeń, w samym jego spojrzeniu było coś takiego, że Iwan nagle odczuł silną chęć, by paść na twarz. I niektórzy z zebranych rzeczywiście tak robili.

Kroczył przez salę, a szept uwielbienia podążał w ślad za nim, tak jakby liście, wdzięczne, że po nich depta, szeleściły mu pod stopami.

Zajął miejsce u szczytu stołu i skierował na zebranych hiperboloidy swoich oczu. Wielu spuściło wzrok, a niektórzy zacisnęli powieki, bojąc się o swoje siatkówki.

Dlaczego On ich tu zgromadził?

Co oni Go obchodzą?

Czy zarządzi egzekucję, czy raczy ich oszczędzić?...

Sala ucichła i tylko gdzieś w rogu niestosownie poskrzypywał polerką Tadżyk.

– Przyjaciele! – Nagle, jakoś po ludzku powiedział Narodowy Przywódca. – Co u was? Dobrze się urządziliście?

Odpowiedziało Mu milczenie, napięte, niezręczne.

– Dajcie spokój... Dla innych jestem Narodowym Przywódcą. Ale dla was jestem swój!

Nikt nie odważył się podnieść wzroku.

– No, nie krępujcie się, co wy tacy tego? Bawcie się! Smacznego!

Nie zadzwonił ani jeden widelec.

– Tak się cieszę, że was wszystkich widzę! Arkasza! Kostia! No?

Obaj wymienieni uśmiechnęli się żałośnie, ośmielając się na ułamek sekundy spojrzeć Narodowemu Przywódcy w podbródek, i znów skryli się w muszlach milczącej służalczości.

– Wasia! Klasa dziesiąta A! Nasza nauczycielka, Jekaterina Andriejewna, ta młodziutka, od literatury? Pamiętasz?

Wasia nerwowo kiwnął głową.

– Sierioga! Czteryście pierwsza! A jak spadłeś z liny na wuefie? A potem nieśliśmy cię na SOR... Co?

Sierioga zaczerwienił się tak, jakby miał dostać wylewu, i nie wiedzieć czemu zasalutował.

– Pamiętasz? A narty? – uśmiechnął się do niego Narodowy Przywódca. – Jak się wtedy ścigaliśmy...

– Proszę mi wybaczyć, przez wzgląd na Świętego Feliksa... Jestem wojskowym... Nie przystoi mi kłamać... Nie pamiętam... Nie pamiętam Pana... Proszę wybaczyć...

Narodowy Przywódca spochmurniał i ruszył dalej.

– Taniusza! Bal na zakończenie szkoły! Biały taniec...

Taniusza, tęga dama z ulizaną fryzurą, spąsowiała i dygnęła.

Iwan patrzył na nią i zrozumiał: ona nic nie pamięta, nic!

– Kostia! Kostia-Śmierdziuszek! – zawołał już nieco mniej pewnie Narodowy Przywódca. – Stary przyjacielu! Pamiętasz łopatkę? A piach? Pamiętasz, jak się bawiliśmy?!

Kostia patrzył błagalnie obok Narodowego Przywódcy – prosto na Iwana. I on też nie pamiętał tego żywego boga z dzieciństwa... Nikt go nie pamiętał.

– Przyjaciele... No co wy? Tak czekałem... Wiecie, jak jest ciężko tam, na górze... Wszędzie wokół wrogowie, zawistnicy... Do nikogo nie można się odwrócić plecami, zaraz człowieka zadźgają jak Cezara. Ale wy jesteście przyjaciółmi! Was znam od dziecka! Może nie ze wszystkimi w szkole się przyjaźniłem. Ale... Ale teraz? Hmm? Wania!

Iwan drgnął.

Narodowy Przywódca stał przed nim i hiperboloidy jego oczu przygasły.

– Jestem za... – wyszeptał Iwan.

– A pamiętasz, jak u nas w przedszkolu cały czas unosił się taki zapach? Tak dziwnie pachniało?

– Pamiętam! – westchnął Iwan. – Oczywiście, pamiętam!

– Widzisz, jak wiele nas łączy! – uśmiechnął się Narodowy Przywódca. –

A piach?

– I zjadanie piachu – przytaknął Wania.

– No popatrz! – ucieszył się. – A pamiętasz, jak obaj bawiliśmy się ołowianymi marynarzami?

– Pamiętam – zełgał Wańka.

– A wiesz co? – powiedział nagle bardzo cicho Narodowy Przywódca. – Ja ich nadal mam. Pobawimy się?

CO PORADZISZ

Górski potok pienił się, uniżenie liżąc mu stopy w bardzo męskich butach. Dumne tuwińskie niebo posłusznie przybrało kolor jego oczu i chmurzyło się, współbrzmiając z jego myślami. Stare łyse góry piętrzyły się na podobieństwo jego mięśni naramiennych.

Tors bohatera był obnażony, jakby nie istniał strój zdolny pomieścić jego pierwotną moc i każdy ubiór natychmiast pękłby w szwach, gdyby choć targnął się na jego surową nagość. Muskuły wybrzuszały się męsko pod gładką skórą, a rzeźba przedramion i tricepsów pokazywała nieprzyjaciołom w kraju i poza jego granicami, że ręce te będą podtrzymywać Ruś jeszcze długo.

Jego palce zaciskały się na rękojeści myśliwskiego sztucera z celownikiem optycznym – symbolu politycznej przenikliwości i atrybucie najwyższej władzy, żartobliwej aluzji do karabinu snajperskiego w dłoniach Stalina na XVII Zjeździe WKP(b) i do pioruna w rękach Zeusa, oraz wiele obiecującym mrugnięciu okiem (tylko zaczekajcie!) do Antona Czechowa i jego słynnej sentencji, że strzelba wisząca na ścianie w pierwszym akcie koniecznie musi wystrzelić w trzecim.

Za jego szerokimi plecami czujnie strzygł uszami wierny gniady wierzchowiec, jakby umieszczając bohatera w jakimś generycznym westernie czy wręcz antycznym micie, przemieniając go zarazem w czarno-białego hollywoodzkiego kowboja i greckiego demiurga z białego marmuru – ogólnie rzecz biorąc, w kogoś niepodlegającego Kodeksowi postępowania karnego i Konstytucji i w każdej sytuacji z definicji mającego słuszość.

Nie sposób było nie zakochać się w tym obrazie. Na widok bohatera kobiety powinny były natychmiast zacząć go pożądać, a mężczyźni żywiołowo zabiegać o jego przyjaźń, choćby ich żony oddawały mu się na ich oczach, też nie mogąc zapanować nad sobą.

I nawet jeśli w portrecie nie brakowało Photoshopa, to była w nim też poezja!

Bo przecież ta fotografia, niby to reportażowa i niedbale pstryknięta, cała stanowiła jeden wiersz – niemy i piękny, zwięźlejszy od jakiegokolwiek haiku i bardziej majestatyczny niż jakakolwiek oda. Obchodząc się bez słów, wymykała się wszystkim filtrom racjonalnego myślenia, tak jak myśliwiec stealth radarom. Nie była przeznaczona dla umysłu, lecz dla duszy.

Administrator systemu starł kurz z cienkiej ramki i jeszcze raz zapatrzył się na portret Narodowego Przywódcy na wakacjach w Tuwie. Niby krytycznie, ale w rzeczywistości czule, jak stary trener na trzykrotnego mistrza Rosji w dzudo.

Taki portret wisiał w gabinetach wielu urzędników i wszędzie czczono go jak cudowną ikonę.

Ale nie tu.

Ikonografowi trudno wielbić święte oblicze: on wie, że niebiański blask aureoli to tylko pozłota, ziemski i brudny metal.

A jednak nawet jemu niełatwo było się oprzeć wzbierającemu w jego duszy porywowi.

Dotknął chroniącej papier szybki, jakby miał nadzieję przeniknąć przez szkło – do tej Wewnętrznej Tuwy, gdzie stanie obok Niego i razem z Nim przejdzie po wodzie.

I może by mu się to udało, ale wtedy nagle zaśpiewał interkom.

– Jest pan oczekiwany na Kremlu na naradzie w sprawie Rytuału – zabrzmiał melodyjny dziewczęcy głos. – Tylko pan. Jest pan już dziesięć minut spóźniony.

– Wiem! – burknął Sysadmin. – Wiem!

Przygarbiony, wyszedł z gabinetu, zamknął za sobą drzwi, schował klucz i prywatną windą zjechał do garażu, gdzie grzała już silnik służbowa siódemka z szybami czarnymi jak loki młodej Czeczenki.

Po chwili był na Kremlu.

Zebranie odbywało się w jednym z tajnych pomieszczeń, które narosły jak polipy na kamiennej kiszce kuluarów. Sysadmin zatrzymał się pod drzwiami i wciąż nie mógł się zmusić do wejścia – przestępował z nogi na nogę, podsłuchiwał...

– Został niecały rok... – burczał ktoś z niepokojem.
– Przecież nie możemy tak ludzi porzucić...
– Co nas czeka w dwa tysiące dwunastym... – chrypiał drugi.
– Nikt nic nie wie... Narasta niepokój... – wtórował mu trzeci.
– To nic... On wszystko przygotowuje – przerwał to nerwowe szemranie pewny siebie wysoki głos. – Ma już gotowy plan. Zaraz go posłuchamy...

Sysadmin rozpoznał ten głos i na jego czoło wystąpił pot. Zacisnął zęby i nacisnął klawisz.

Duży prostokątny stół był oblepiony surowymi ludźmi w dobrych garniturach, z przeciętnymi twarzami. Drewniana mimika, włochate uszy, dłonie o ściosanych kłykciach. Przezrocyste oczy z kroplą rosyjskiego szaroniebieskiego – jak szlachetne odbicie migających kogutów.

Szczęki wyciosane siekierą w brzozie, białe skarpetki. Bardzo poważni ludzie.

– A oto i pan, Władisławie Jurjewiczu – uśmiechnął się chłodno do Sysadmina Narodowy Przywódca.

– Stanisławie Jurjewiczu – odparł odruchowo Sysadmin.

– Jak pan woli. – Narodowy Przywódca wzruszył ramionami. – Nie traćmy więcej czasu, wszyscy tu mamy poważne sprawy. Trzeba się uporać z dokumentami. Jak pan wie, za niecały rok nasz kraj czeka przejście przez Rytuał. Na pańską prośbę długo odkładaliśmy omówienie nadchodzącego Rytuału, ale nie możemy już zwlekać. Ja i moi koledzy – zakreślił palcem krąg siedzących najbliższej – zbyt długo czekamy na pańskie pomysły.

– Tak, naturalnie – przytaknął Sysadmin. – Oczywiście.

Sam myślał w tej chwili o tym, jak bardzo mu się udało jego tuwińskie arcydzieło. Było jednocześnie wyrazistsze, prawdziwsze i żywsze niż przedstawiony na nim człowiek, jakby to Narodowy Przywódca był płaską, blaknącą z upływem czasu reprodukcją, a jego tuwiński portret – przeciwnie: oryginałem. Tak właśnie myślał, choć wzbraniał się przed tym.

– Czekamy – smarknął niecierpliwie jakiś kudłacz.

– Tak... Tak... – Sysadmin zebrał się w sobie. – Rzecz jasna, dla kształtowania nowej Rosji ogromne znaczenie będą miały najbliższe, czekające nas w 2012 roku wybory...

– Rytuał! Rytuał, Swiatosławie Jurjewiczu – szorstko poprawił Sysadmina Narodowy Przywódca. – Niech pan nas nie obraża. „Wybory” to termin dla niewtajemniczonych.

– Stanisławie Jurjewiczu – sprzeciwił się cicho Sysadmin.

– Szczerze mówiąc, nie widzę różnicy. – Narodowy Przywódca i tak go usłyszał.
– Niech pan mówi dalej.

– Naszym głównym celem na wybo... przy przeprowadzaniu Rytuału będzie zapewnienie większości konstytucyjnej dla Partii – poinformował zebranych Sysadmin, czując, że zaczyna się pocić. – Wygląda na to, że dzięki systemowi GAS „Wybory” będzie to całkowicie wykonalne zadanie...

– A jaka będzie wiodąca intryga przedwyborcza, Jarosławie Jurjewiczu? – przerwał mu Narodowy Przywódca. – Co nas czeka? Kto rzuci wyzwanie Partii? Kto wzburzy społeczeństwo? Kto zetrze się z nami w okrutnej bezkompromisowej walce?

Na Sysadmina wytoczyło się niczym szklane kule kilkanaście par oczu, a w kulach tych dojrzewała burza z piorunami.

„Stanisławie Jurjewiczu” – pomyślał Sysadmin.

– Może my? – zabrzmiał nagle nieśmiały bas. – Moglibyśmy...

Szklane kule przetoczyły się do kąta, skąd dobiegł dźwięk. W odległym kącie pomieszczenia, na przystawionej do ściany drewnianej ławce, w wyrażającym należyty szacunek oddaleniu od stołu z poważnymi ludźmi siedzieli przywódcy pozostałych partii. Na ich grubych karkach pewnie tkwiły elektroniczne obroże. Jeden z siedzących na ławce pokornie uniósł swoją wypielęgnowaną różową dłoń, bez pozwolenia odrywając spasiony tyłek od polerowanego drewna.

– Dupie głosu nie dali – patrząc złym okiem na wznoszącego się polityka, wycedził jeden ze swoich legendarnych aforyzmów Narodowy Przywódca. – Wiaczesławie Jurjewiczu, co to? Bunt w teatrze marionetek?

Polityk ukłuty lodowatym spojrzeniem Przywódcy skulił się i na powrót przymarzał do siedzenia.

– No bo my tylko... – wysapał, coraz bardziej flaczejąc.

Od strony drewnianej ławki dobiegł szmer poruszenia.

Narodowy Przywódca uśmiechnął się tak, że obecni na sali mieli ochotę stać się tyci, tyciusieńcy i skryć w szczelinach kremlowskiego parkietu. Sysadmin poczuł, że sytuacja zaczyna wymykać się spod kontroli.

– Na miejsca! – ryknął na polityków, wyciągając z kieszeni pilota sterującego obrożami. – No, który chce, żeby go popieściło? Na miejsca, powiedziałem!

Politycy zaskomleli, zbili się w gromadkę i utkwili w Sysadminie służalcze spojrzenia.

– A już zaczęliśmy myśleć, że życie parlamentarne wymyka się pana opiece, Rostisławie Jurjewiczu – powiedział z zadowoleniem Narodowy Przywódca.

– Nie... Oczywiście, że nie. Ściśle współpracujemy – zapewnił Przywódcę Sysadmin, odruchowo głaszcząc pilota.

Przez kilka długich chwil w zabytkowym pomieszczeniu panowała cisza.

– Rozumie pan przecież, że właśnie na współdziałaniu i równowadze między władzami opiera się nasza państwowość – zażartował w końcu Narodowy Przywódca.

Siedzący przy stole uprzejmie się roześmiali. Zdawało się, że burza minęła.

– Mstisławie Jurjewiczu... – kontynuował Narodowy Przywódca po przerwie, na którą zezwolił, by poddani mogli wyrazić swoje uczucia.

– Stanisławie... – walczył o swoje Sysadmin, uznając, że kierunek wiatru chyba się zmienił.

– U siebie w domu może się pan przedstawiać, jak pan chce – jednym ruchem brwi wskazał mu jego miejsce Narodowy Przywódca. – Tutaj jest pan w pracy. Więc tak, Mstisławie Jurjewiczu... Odnoszę wrażenie, że nie przygotował się pan do dzisiejszego spotkania.

– Ja nie...

– A czas ucieka. Rozumie pan przecież, jak ważne jest dla nas odbycie Rytuału według wszystkich reguł. Zdaje pan sobie sprawę, że musi to być piękne, żywe wydarzenie. Żeby Chińczycy ze swoim otwarciem olimpiady nerwowo palili opium na stronie. Rozumie pan znaczenie Rytuału dla przyszłości naszego kraju. Chyba nie muszę tego panu tłumaczyć, Mieczysławie Jurjewiczu? Rozumie pan, że Ojczyzna jest w niebezpieczeństwie?

– Ja wszystko rozumiem.

– A mnie się zdaje, że nie wszystko – powiedział czarująco Narodowy Przywódca. – Jeśli Rytuał nie zostanie przeprowadzony zgodnie z Kodeksem ceremonialnym, albo nawet jeśli zostanie przeprowadzony bez fantazji, czyli mówiąc po rosyjsku, na odpierdol, nasi zachodni partnerzy pogorszą warunki przechowywania naszych depozytów bankowych.

W sali zabrzęczało jak w zatrwożonym i zdumionym ulu, którego przez niedopatrzenie nie zabezpieczono przed moskiewskim smogiem. Przywódca machnął ręką i wszyscy umilkli.

– Chyba zdaje pan sobie sprawę, ile pieniędzy mogą trzymać za granicą najlepsi synowie naszego kraju? – Zatoczył palcem wokół zebranych. – Rozumie pan, co znaczy spadek oprocentowania bankowego choćby o jedną dziesiątą? To tyle, co cały deficyt amerykańskiego budżetu! A utrata gwarancji zachowania tajemnicy bankowej? A nienaruszalność depozytów? Nie widział pan, co ci cynicy zrobili z oszczędnościami starego Kadafiego? Nie, Mirosławie Jurjewiczu, niezbędny będzie wiarygodny, ciekawy, efektowny Rytuał. Taki, żeby nasi zachodni partnerzy nie musieli się czerwienić za nasze partnerstwo w swoich mass mediach.

Sysadmin ciężko sapał ze zwieszoną głową.

– Czy możemy na pana liczyć, Bolesławie Jurjewiczu? – zapytał Narodowy Przywódca. – Rozumie pan... My wszyscy – jego twarz odbijała się w dziesiątkach szklanych kul – jesteśmy, delikatnie mówiąc, fizykami. A pan to liryk. My jesteśmy matematykami, Bolesławie Jurjewiczu, a pan to artysta. Więc niech pan dla nas stworzy coś takiego...



Sysadmin uniósł z blatu swojego szklanego designerskiego biurka ultralekkiego srebrzystego macbooka i wyciągnął spod niego przygnieciony czterdziestośmiokartkowy zeszyt szkolny.

Na pierwszej stronie zostały wypisane cyfry „2012” – może nawet zbyt starannie: ołówek wielokrotnie wracał w te same rowki. Tę magiczną liczbę otaczała wymyślna ramka świadcząca o prawdziwym talencie artystycznym autora. Poza obiecującym tytułem, na pierwszej stronie znajdowała się ledwie zauważalna warstwa kurzu; wszystkie pozostałe strony były puste.

Sysadmin poobracał przed sobą zeszyt, wziął do ręki idealnie zatemperowany ołówek Caran d’Ache i znów zaczął pogłębiać bruzdę dwójki. Przesadził i grafit pękł.

– Zaczynają się wieczorne talk-show – zaśpiewała dziewczyna w interkomie.

Z ulgą schował wciąż dziewiczy zeszyt pod laptopem i przeszedł do pomieszczenia na zapleczu.

Jego ściany obwieszane były płaskimi ekranami wyświetlającymi wszystkie ogólnokrajowe kanały naraz. I na wszystkich zaczynały się właśnie programy społeczno-polityczne, ciasno wciśnięte między najchętniej oglądane seriale – tak żeby widz nawet nie próbował odwrócić wzroku.

Tu Sysadmin był w swoim żywiole.

Komuś innemu wieczorne talk-show wydałyby się kakofonią, mieszanką zakłóceń i głosów, które dręczą schizofreników, przelewaniem soku pomarańczowego z pustego w próżne. Ale Sysadmin zawsze słyszał w tym białym szumie majestatyczną symfonię. W zespołach zamarłych w oczekiwaniu w studiach telewizyjnych w Ostankino i na Jamskim Polu widział orkiestry, w prowadzących – pierwszych skrzypków, którymi nie tylko potrafił dyrygować, ale i tworzyć wspaniałe improwizacje, zmieniając w lot partie poszczególnych instrumentów i w

cudowny sposób splatając białe nitki monologów gości i gospodarzy programów w gustowne wielobarwne gobeliny.

– Dajcie mi studia! – polecił Sysadmin i wszystkie ekrany pokazały mu szykujących się prowadzących. – I nastawcie Wagnera.

– *Cwał Walkirii*, jak zwykle?

– Nie, na razie ten marsz ze *Zmierzchu bogów*, na rozgrzewkę.

Na Głównym Kanale zastygł malowniczo brodaty macho Szybczenko. Na kanale Ruś błyszczał przerzucony z ChTV Andriej Bogow, rozgrzewający przeszkoloną publiczność przed swoim firmowym *Mordobiciem*. W samej ChTV widać było moderatora dyskusji w programie *Z grubej rury*, pisarza Manijewa. Pisarz chodził tam i z powrotem z plikiem papierów, powtarzając scenariusz dzisiejszego przedstawienia. Każdy z nich co i rusz poprawiał wciśnięte do uszu małe kapsułki słuchawek.

– Dobry wieczór, panowie – Sysadmin założył zestaw słuchawkowy i przywitał swoją orkiestrę. – To ja, wasz Wewnętrzny Głos.

Wszyscy trzej wzdrygnęli się, zaczęli kręcić głowami, nie wiedząc, w którą kamerę patrzeć, i uśmiechnęli się nerwowo.

Zabrzmiał Wagner.

Sysadmin, niewidoczny dla swoich małych żywych przekaźników, też się uśmiechnął. Poczuł przyjemne i podniecające łaskotanie zapowiadające jego wieczorny benefis.

Wyobraził sobie, jak cała ludność kraju rozsiadła się właśnie przed ekranami telewizorów, starannie posortowana według grup społecznych na odpowiednich półeczkach kanałów. Modnisiów i yuppies karmi amerykańskimi serialami i poprawną politycznie satyrą Główny Kanał; aktywne babcie zagospodarowała Ruś, a całe to było pasie się w ChTV, gdzie pozostawiono też nocne okienko dla cierpiącej na nostalgię inteligencji. Każdemu według potrzeb, sprowadzając pluralizm i wolność wyboru do wyboru ulubionego serialu. W zamian wymagano jedynie, by nie zatrzaszywali swoich czaszek, kiedy kończy się kolejny odcinek telenoweli. By posiedzieli jeszcze trochę przed telewizorem, wpuszczając do środka

w ślad za lekkostrawnymi *Dojarkami*, *Glinami* i *Californication* niespodziewanie chropawe polityczne abc.

Bo jak inaczej przedostać się do ich... duszy?

I oto zaraz pojawią się napisy początkowe, niepokojący dżingiel, a prowadzący, którzy zdążyli przybrać poważne miny, zaczną mówić autorytatywnie, uruchomią polifonię, przy pomocy zaworów jak w organach będą otwierać to jedne, to drugie usta w studiu, machaniem rąk podnosząc i sadzając na miejscach ekspertów i tak zwanych polityków... Tak jakby to oni dyrygowali, a nie podrygiwali posłusznie w takt ruchów palców Sysadmina, jakby nie wtórowali tylko jego podszeptom.

Bo to właśnie on tchnie w nich życie. To jego słowa wypowiadają, otwierając usta. I usadzeni na fotelach politycy łańcuchowi oraz eksperci w okularach – wszyscy oni też mówią jego słowami. On obleka te fantomy w ciało i daje im życie, i to on może w każdej chwili ukarać ich dematerializacją, zdejmując z wizji.

Tylko on potrafi z kosmicznej, dźwięczącej pustki rosyjskiego życia politycznego zrobić spektakl, a z trzech spektakli spleść trójwymiarową symulację rzeczywistości... I może nawet to Słowo, które było na początku, było jego słowem.

– Doskonale... doskonale... – szepnął Sysadmin. – Wyłączcie *Zmierzch bogów*, dajcie *Cwał Walkirii* i zaczynamy...

Wszyscy trzej prowadzący się otrząsnęli.

– Zapraszam na program *Samosąd* na Głównym Kanale. A z państwem będę ja, Maksim Szybczenko. W Tallinie i Rydze maszerują weterani SS, ale policja zatrzymuje aktywistów ruchów antyfaszystowskich...

– Bezrobocie w Ukrainie osiągnęło rekordowy poziom. Staje się całkiem jasne, że nowy rząd radzi sobie z gospodarką kraju jeszcze gorzej niż poprzedni... Nazywam się Andriej Bogow i zapraszam na *Mordobicie!* Dziś w zapasach w błocie będą się zmagać...

– Oglądają państwo ChTV, przed wami Siergiej Manijew i zaczynamy *Z grubej rury*. W dzisiejszym programie porozmawiamy o wzroście świadczeń socjalnych w Rosji!

Już za momencik te trzy niepowiązane ze sobą tematy zabrzmią w konsonansie...

Sysadmin przysunął bliżej mikrofon...

Wagner przydał mu stalowych skrzydeł...

I...

Pusto.

W jego głowie było ciemno i głucho, jakby ktoś wypchał ją szklaną watą.

– Głośniej! – nakazał Sysadmin i Wagner zagrał głośniej.

Pusto.

Nic nie przychodziło mu do głowy. Jak w koszmarze, w którym siedział w szkole niby przygotowany do lekcji, ale kiedy wzywano go do tablicy i zadawano najprostsze pytanie, on nie mógł sobie nic przypomnieć.

– No... Jakby to... W Estonii... – przemówił z zadumą Szybczenko, patrząc pytająco w kamerę.

– Podwyższenie świadczeń socjalnych to dobra rzecz – oznajmił niepewnie Manijew.

Bogow milczał.

Sysadmin otarł czoło chusteczką do nosa.

– Głośniej!

Cwał Walkirii zagrał tak głośno, że usłyszeli go nawet prowadzący.

– Sami się wykaraskajcie! Nie jesteście dziećmi! – rzucił Sysadmin z bezsilną złością, zerwał z głowy słuchawki i przy wtórze pomruków zdezorientowanych prowadzących wybiegł z pomieszczenia.

W gabinecie potknął się o przewód zasilający komputera, zwymyślał go i chwycił za zeszyt. Wbił tępy wzrok w cyfry „2012”...

– Co jest ze mną nie tak?! Co się ze mną dzieje?!

Stojący na jego biurku biały telefon z godłem państwowym milczał. Albo kierownictwo nie oglądało już wieczornych talk-show, w pełni polegając na Sysadminie, albo przeciwnie: oglądało i nie mogło oderwać wzroku.

Nie czekając, aż telefon zadzwoni, trzasnął drzwiami, wskoczył do windy, skrył się w samochodzie i nakazał wieźć się do domu. Liczył, że zaśnie, ale całą noc przewracał się z boku na bok. Kilka razy się zrywał, desperacko chwycił szkolny

zeszyt, ale szpic jego Caran d'Ache nigdy nie dosięgał papieru – zebrane w nim myśli rozsypywały się, zanim zdążał wbić grafitową igłę w kartkę.

Następnego ranka wrócił do siebie na plac Stary, wyczerpany i przygnębiony. W słuchawce telefonu z godłem zabrzmiało uprzejme zdumienie. Otarł pot. Pękł jeszcze jeden grafit dociskany do kartki w kratkę.

Owładnęła nim rozpacz.

– Pilnie potrzebuję spotkania z kimś kreatywnym! – warknął przez interkom do przycichłej sekretarki.

– Pisarz Zalepin? – uściśliła zwyczajowo dziewczyna. – Jak zwykle?

– Nie... Nie! – zaryczał Sysadmin jak ranione zwierzę.

– Grupa Georges Simenon?

– Nie! Co to ma do rzeczy?!

– Bruce Willis? – sekretarka traciła powoli nadzieję.

– Nie... Trzeba mi reżysera... Wielkiego reżysera... Żeby zrozumiał... Jak ja...

– Mark Zacharow? Nikita Michałkow?

– A można Jamesa Camerona? – szepnął wyczerpany Sysadmin.

W czasie gdy prywatny odrzutowiec z odurzonym Cameronem na pokładzie leciał do dalekiej Moskwy, Sysadmin, obgryzając paznokcie, starał się wrócić do rutyny. To nic, mówił sobie, to ze zmęczenia. To minie. Wszystko wróci.

– Co tam mamy? – spytał przez interkom, starając się mówić jak zwykle, cicho i z przekonaniem. – Jest ktoś zapisany na spotkanie?

– Na korytarzu od przedwczoraj siedzą petenci – zabrzmiała odpowiedź. – W sprawie polityki młodzieżowej.

– Najpierw wziąć ich pod prysznic, a potem do mnie – polecił Sysadmin.

Wszystko, byle nie zostać znów sam na sam z tym strasznym pustym zeszytem, sam na sam ze sobą...

Do środka wpełzł jakiś mały chłopiec, wdrapał się na przezroczyste plastikowe krzesło i z mieszaniną bezczelności i lizusostwa zaczął żebrać o pieniądze na projekt patriotycznie ukierunkowanych obozów pracy dla dzieci. Bełkotał coś o hunwejbiniach, podsuwał mu przed oczy czerwony pionierski krawat

na dowód własnego know-how, a potem widząc, że Sysadmin odpłynął gdzieś myślami, wyciągnął drugą teczkę i zaczął rozkładać na biurku fotografie nagich uczennic starszych klas z wytatuowanymi na wzniesieniach łonowych wizerunkami Narodowego Przywódcy w stylu szablonów z Che Guevarą. Skończył mówić i wpatrywał się w Sysadmina wyczekująco: dadzą czy nie?

Tamten spoglądał na niego ciężkim wzrokiem. I choć zwykle reagował na tego rodzaju prośby życzliwie, jak starszy brat chwalcący młodego pasjonata za jego fantazje z okresu dojrzewania, to teraz nabrał nagle ochoty, żeby wyrzucić gówniarza przez okno.

– Zawsze pan dawał... – przypomniał na wszelki wypadek wymoczek.

Sysadmin zrobił się purpurowy. Szybko jego panowania nad sobą wydał z siebie grożący apopleksją świst. I eksplodował.

– Wynocha! Won mi stąd! Wynoś się! – ryknął tak, jak nigdy sobie nie pozwalał.
– Wypad!

Oparzony petent zniknął.

Sysadmin chwycił przeklęty zeszyt, podbiegł do okna i szczerknął zasuwką. Moskwa tchnęła mu w twarz przepalonym letnim powietrzem. Zaczął wyrwać kartka po kartce, miąć je i wyrzucać. Ogromne papierowe śnieżynki opadały na głowy palącym papierosy bezpieczniakom z Federalnej Służby Ochrony.

Sysadmin osobiście wyprawił się na Wnukowo-2, żeby odebrać Camerona. Czekał z niecierpliwością, aż ludzie o przeciętnych twarzach wyniosą reżysera na noszach z bombardiera i wsadzą go do amerykańskiego (żeby czuł się jak w domu) minivana z lustrzanymi szybami. Przysiadł obok, w dłoniach trzymał bochenek żytniego chleba i solniczkę w palechskim stylu.

– Dziękuję, że znalazł pan czas! – Sysadmin uśmiechnął się do jęczącego Camerona, który rozklejał właśnie powieki i odruchowo rozcierał miejsce po ukłuciu. – Proszę wybaczyć pewien chaos... Po prostu bardzo potrzebowałem z panem pomówić... – usprawiedliwił się. – Mam do pana sprawę... Pytanie. Że tak powiem, jak artysta do artysty...

– *What the fuck*[2]... – Cameron wytrzeszczył na niego oczy. – *What the fuck is going on here?*[3] – sformułował wreszcie swoją myśl w całości.

– Jeszcze tylko chwila, proszę posłuchać! – błagał Sysadmin. – Przez cały ten czas wymyśliłem tyle wspaniałych rzeczy... Wymyślałem wszystkie wybory... Wszystkie intrygi. Wszystkie partie... I tak mnie to zawsze fascynowało... I gubernatorów... Wie pan, czerpałem z tego taką przyjemność... No... I żeby tak pięknie urządzić prezydenckie. Powiem panu, że to wcale nie jest prostsze od *Avatara*. A i budżety nawet fajniejsze – pozwolił sobie na przechwałkę. – No i sama koncepcja... Wszystkich feudałów zagonić do partii władzy... Potem dzielić ich na prawicowych, na lewicowych, na centrystów... Ludzi to musi ciekawić... Bo ja się dla nich staram, dla ludzi, rozumie pan? Nie ma pan pojęcia, jaki to ogrom pracy! U was, w Stanach, wszystkie skomplikowane procesy modelują superkomputery... A u nas wszystko jest tu! – postukał się w czoło.

Cameron podciągnął nogi pod brodę i rozejrzał się tęsknie.

– *I can't get a word from what you're telling me...*[4] – przyznał bojaźliwie.

– Ależ nie musisz. Będziesz lepiej spał – spojrzał mu smutno w oczy Sysadmin. – Tak naprawdę mam do ciebie tylko jedno pytanie... *Tell me... Have you ever felt that the inspiration is leaving you... That your talent is leaving you? I feel like it's happening to me now...*[5]

– *Shit happens*[6] – wzruszył ramionami wielki reżyser.

Sysadmin patrzył na niego jeszcze bardzo długo, potem zmęczonym gestem potarł skronie.

– Jakiś pierdoła, a nie geniusz – westchnął.



Przesiedział nad zeszytem do czwartej nad ranem. Butelka starego szkockiego single malta była już praktycznie pusta, a zeszyt – nowy, ale dokładnie taki sam, jak tamten poddany egzekucji – pozostawał zabazgrany jakimiś niezrozumiałymi notatkami. Był tu rysunek trójgłowego smoka (nad głowami było napisane „Uczciwa Ruś”, „Jędra

Ruś” i „Słowo Daję”, a na grubym cielsku bajkowego stwora widniał napis „System”). Był tu też niezwykle rozbudowany schemat przedstawiający amebę z napisem „Jędrna Ruś” kopulującą z amebą podpisaną „Wszyscy na Front!”; obok widniały mechanizmy amerykańskich prawyborów starannie przerysowane z Wikipedii. Były też karykatury oligarchów, trzy przekreślone, jedna w kółku – tę połączył strzałką z prawą głową parlamentarnego smoka Gorynycza. W miejscu środkowej głowy gada, na długiej krętej szyi Sysadmin ryzykownie nasadził ludzką głowę z nieźle rozpoznawalną fizjonomią Narodowego Przywódcy. Przedstawił go uśmiechającego się, zadowolonego.

Tak czy inaczej, wyszła z tego jakaś chujosa.

Właściwie nie wyszło z tego nic.

Sysadmin przejrzał całą tę feerię rodem z płócien Boscha z mieszanką pogardy i wstrętu, po czym przygniótł ją pękatą butelką, żeby jej bohaterowie nie rozbiegli się po biurku, i wstał. Zataczał się i chciał zaczerpnąć powietrza.

Na Rublowce o czwartej nad ranem nie było oczywiście nic do roboty. Ale rozpaczliwie potrzebował wyjść na zewnątrz. Gdzie o tej porze toczy się życie?

– Siergiej! – obudził szofera. – Na plac Trzech Dworców!



Co on tu robi? Dlaczego uległ temu dziwnemu impulsowi?

Sysadmin opuścił szybę, spojrział na bezdomnych wyciągniętych na schodach Dworca Leningradzkiego, przygniecionych grawitacją losu, wziął pełną butelkę i nieśmiało wyszedł do ludzi.

Usiadł na zimnym granicie – wytrzymaj, prostato! – i zaczerpnął gorzkiego dworcowego powietrza: mieszanki dieslowskich spalin, dziegciu z torowiska, moczu i oparów wódki. Obok niego, wyczuwając alkohol przez korek i banderolę, ocknęło się pozbawione płci stworzenie w brudnych łachach.

– Te, inteligencja, poczęstujesz? – wychrypiało. – Jak ci na imię?

Sysadmin otworzył flaszkę.

– Stanisław... Jurjewicz.

– A ja Aniułka... – Stworzenie pociągnęło z gwinta czterdziestoletniej whisky i wciągnęło smarki, zapraszając do rozmowy. – Kryzys?

– Kryzys – zgodził się z wysiłkiem Sysadmin. – Natchnienie mnie opuściło. Nie, nie, ja dziękuję. Wcale się nie brzydzę... Już się napiłem. To nic, bez obaw, mam tego więcej...

Stworzenie wzruszyło ramionami.

– Źle robisz. Nawet spoko gorzała, tylko trochę podśmierduje... A czym ty się w ogóle zajmujesz? – Za jednym zamachem osuszyło pół butelki.

– A wszystkim po trochu... – odparł wymijająco Sysadmin.

– To tak jak ja... – przytaknęło ze zrozumieniem Aniułka.

Przysiadł się do nich brodaty mężczyzna spowity chmurą smrodu. Sysadmin wyjął szklaneczkę i jednak się napił. Potem kazał szoferowi pojechać po jeszcze jedną butelkę.

– Wszystko, co pokazują w telewizji... – kontynuował, zbierając się na odwagę.

– Wiadomości... Wybory. Debaty. Demonstracje. Ministrowie... Gubernatorzy. Protesty. W ogóle cała ta polityka. Tym się zajmuję.

– A czym tu się zajmować? Ona i tak jest... – charknął brodacz z dezaprobatą. – Te wszystkie gęby...

– A nie... – uśmiechnął się gorzko Sysadmin. – Tego wszystkiego nie ma... To tylko próżnia. Wiecie, co jest prawdziwą polityką w naszym kraju? Kto się dorwie do rurociągu, A czy B. To wszystko. Resztę robię ja.

– A po co, Stanisławie Jurjewiczu? – Stworzenie utkwilo w nim wzrok.

– A dlatego że... Prawdziwa polityka... Jest bardzo prosta. Prostacka. Bez finezji... Czegóż takiego nie wolno pokazywać ludziom. Po co ich traumatyzować? Dla nich musi być ładnie... Przecież my ich kochamy, tych ludzi... A ty chcesz im podsuwać pod nos prawdziwą politykę... Więc trzeba to wszystko wymyślać, ubarwiać...

– Strasznym gównem się zajmujesz – podsumował brodacz, popijając jego whisky.

– Ja... gównem?! – wierzgnął nagle Sysadmin. – Przecież beze mnie niczego by nie było, jasne? Ani komunistów, ani Żyrynowskiego, ani żadnych wyborów, ani „faszych”, ani talk-show, ani „Jędrnej Rusi”, ani Pierwszego, ani Drugiego! Ja to wszystko stworzyłem! Ja! Beze mnie wszędzie byłoby pusto, tylko ciemność i zakłócenia! Wszystko, co widzicie dookoła... ja to stwarzam, jasne?! Mocą swojej myśli! Ja!

– Spoko – oceniło Aniutka. – Z bogiem się najebimy.

– On nie jest bogiem – skrzywił się brodacz.

– Dla niektórych jestem! – zaprzeczył pyszałkowato Sysadmin. – Niektórzy nawet słowa beze mnie nie pisną! Niektórym daję życie! I duszę!

– Dla kogoś może nawet i ja jestem Bogiem. – Jakoś przenikliwie, nieludzko zajrzał nagle w głąb Sysadmina bezdomny. – Idź lepiej spać, Stanisławie Jurjewiczu. A zanim zaśniesz, zastanów się, czy aby i tobie ktoś nie podsuwa właściwych słów. Hm?

Odwrócił się i odszedł, kuśtykając.

Sysadmin długo patrzył w ślad za nim, a potem się przeżegnał i wybuchnął płaczem, jak dziecko.

– *Eli! Eli! Lama sabachtani?!* – szeptał pijany, kiedy szofer prowadził go pod rękę do samochodu.

A potem cały świat pożarły ciemność i zakłócenia.

[2] (ang.) Co do kurwy...

[3] (ang.) Co tu się odpiędała?

[4] (ang.) Nie rozumiem ani słowa...

[5] (ang.) Proszę mi powiedzieć... Czy kiedykolwiek pan czuł, że opuszcza pana natchnienie... Że opuszcza pana talent? Mam wrażenie, że teraz przydarza się to mnie...

[6] (ang.) Cóż, zdarza się.

**KARMIENIE
TAJSKICH SUMIKÓW**

– To naprawdę konieczne? – bąknął Prezydent.

– Naprawdę – odparł sucho Premier.

– Po prostu nadal nie doszedłem do siebie po ostatnim wyjeździe – skarżył się Prezydent. – Piekielny jet lag. Nasz kraj jest taki ogromny, tyle stref czasowych... Może po prostu zlikwidujmy je w cholerę. Latam, latam i latam... Wiesz, czasami... Budzę się w nocy i nie mam pojęcia, gdzie jestem. W domu? W hotelu? W samolocie? W jakim mieście?

Premier skinął półoficjalnie głową i nie kryjąc się, spojrzął na zegarek, odważnie, w zapaśniczym stylu, noszony na prawym nadgarstku. Breguet już wzywał na obiad[7], a Prezydent wciąż się rozczulał nad sobą.

– Tak trzeba – wyjaśnił zwięźle Premier. – Ja też to robiłem, kiedy byłem tobą. Wszyscy to robią.

– Z początku myślałem, że to po to, żeby lepiej poznać nasze ziemie – wyznał Prezydent. – No, zaznajomić się z poddanymi i takie tam. Zagłębić się w lokalne problemy. W końcu Krasnodar to jedno, a Krasnojarsk to jakby co innego... A potem patrzę i przecież cały ten pieprzony kraj jest jednakowy: wszędzie puste drogi, czteropiętrowe betonowe kłocce, wszędzie gubernatorzy siedzą okopani w komitetach rejonowych z poprzedniej epoki, wszędzie stoi drogówka i salutuje...

– Rzeczywiście taki jest – zgodził się Premier. – Ale to nic. Nie jeździsz tam dla rozrywki.

– Więc jaki to ma sens? – Prezydent uśmiechnął się błagalnie. – I za każdym razem ta maskarada: a to trzeba zakładać lekarski kitel, a to kamizelkę kuloodporną, a to kask budowlany... Po co? Może działałbym coś bardziej pożytecznego, gdybym siedział sobie na Kremlu i zajmował się papierami, co?

– Posłuchaj! – Premier machnął niecierpliwie ręką. – Mówiłem ci już wcześniej, ale widocznie puściłeś to mimo uszu. Prezydent w naszym wielkim kraju to nie stanowisko. To funkcja sakralna. Jesteś teraz pomazańcem bożym. Wybrańcem niebios. Świętym symbolem. Rozumiesz? A papierami zajmę się sam, po co masz sobie brudzić ręce...

– No tak... Ale tyle latania, po co to? – spytał z rezygnacją Prezydent. – Mój syn ma urodziny, a mnie wysyłają do Chabarowska... Jak na złość...

Premier westchnął ze znużeniem i podszedł do ukrzyżowanej na bezkresnej ścianie jego gabinetu mapy Rosji. Wziął ze stołu laserowy wskaźnik z godłem państwowym i poszturczał nim Ojczyznę.

– Widzisz, jaka wielka? – powiedział z mieszaniną irytacji i zachwytu.

– Ja to...

– Największy kraj na świecie, nawiasem mówiąc – oznajmił Premier.

– Ja to jakby...

– Gdyby na naszym miejscu byli czy to Anglicy, czy Francuzi, czy Amerykanie, dawno już wszystko by się rozpadło w jasną cholere – stwierdził z przekonaniem Premier. – Bo do czego oni są przyzwyczajeni: podział władzy, wy... wybory, za przeproszeniem, federalizm... Spróbowałbyś wprowadzić coś takiego u nas! Od razu cały kraj by rozpiździli. Nachapią się, i za granicę!

– W takim razie co trzyma Rosję w kupie? – Prezydent chyba po raz pierwszy zadał sobie to pytanie. – Co ją utrzymuje w całości?

– Naszą Ojczyznę – powiedział z naciskiem Premier – utrzymuje w całości wyłącznie poczucie, że nasza Ojczyzna stanowi całość.

– Jak to?

– A tak. Dopóki naród ma poczucie, że Władywostok i Władykaukaz to jeden kraj, dopóty tak właśnie będzie. Gdyby to poczucie zniknęło, to koniec: chapaj i w nogi.

– Ale po co mam tyle latać?! – powtórzył błagalnie Prezydent.

– A po to – wyjaśnił z niezadowoleniem Premier – że na tobie trzyma się cały kraj! Pomyśl o tym w ten sposób: nasza Ojczyzna składa się z tysiąca skrawków. Ale

nić, którą te skrawki były zszyte w całość, jest stara i parcieje. I twój ił-96 jest jakby igłą, przez której ucho nawleczono nową, mocną nitkę. Gdzie wylądujesz, tam robi się dziurka i idzie ścieg. Lecisz dalej, kolejny ścieg. I tak ściągasz kraj do kupy, żeby nie rozszedł się w szwach. Rozumiesz?

– Rozumiem – powiedział na wszelki wypadek Prezydent. – Ale jak?

– Z czasem zrozumiesz i to – obiecał Premier. – Koniec, idź pakować walizkę.



Majestatyczny prezydencki ił-96, rozpościerając swoje łabędzie skrzydła, podchodził do lądowania na lotnisku zacisznie położonym między omszałymi wzgórzami. Cień odrzutowca sunął po zielonej ziemi i udzielał niebiańskiego błogosławieństwa, dotykając skrawków pól rozdzielonych między miejscowych kmieci, szarej pajęczynki dróg, zapalczanego pudełka terminala...

Zstępując z obłoków, Prezydent szykował się do pobytu w miejscu, które było przeciwieństwem Raju: w Chabarowsku.

Statek Powietrzny Numer 1, złowieszczo skrzypiąc nowymi technologiami, uderzył gumą podwozia o szorstki beton pasa startowego, głośno nastroszył klapy, zahuczał, chwytając się gęstego powietrza, i stanął.

Prezydent wyjrzał przez okno.

Przed terminalem stał rząd solidnych czarnych karawanów: miejscowi panowie feudalni przygalopowali, by pokłonić się swojemu przybyłemu z dalekiej stolicy suwerenowi. Funkcjonariusze Federalnej Służby Ochrony utrzymywali jeszcze jakoś ich entuzjazm w granicach przyzwoitości, ale fala urzędniczych wiwatów groziła, że za moment przeleje się przez barierki.

Prezydent zadrżał i poszedł przebrać się z podróźnej koszulki polo z krokodylkiem w poważny czarny garnitur i czarny golf specjalnie dobrane przez stylistów na ten wyjazd.

W Chabarowsku system rotacji władz działał sprawnie: urzędnicy państwowi i chłopcy z miasta wymieniali się tu cyklicznie, zapewniając stały dopływ do aparatu

państwowego ludzi o otwartym umyśle i świeżym spojrzeniu. Był jeden problem: w kwestii lifestyle'u miejscowa elita miała gangsterskie gusta i nawet Prezydent, odwiedzając ten niezwykle region, powinien być wyglądać jak prawdziwy mafioso.

Pod trap podjechał opancerzony pullman bez tablic rejestracyjnych – jego własny, przywieziony z Moskwy – i Prezydent nieszczercze, obojętnie ucałował gubernatora i innych przedstawicieli władz, skrył się w przytulnym półmroku wnętrza limuzyny. Pullman zawarczał i pomknął przez puste ulice, mijając salutujących funkcjonariuszy drogówki, do dawnego chabarowskiego komitetu rejonowego Partii, obecnie zamienionego w bastion gubernatora.

– Dla takiego ogromnego kraju jak nasz, internet ma kolosalne znaczenie – mówił Prezydent, wczepiwszy się desperacko w swojego iPada dwójkę.

Siedzący wokół dębowego stołu surowi chabarowscy urzędnicy zgodnie marszczyli poorane wiatrem czoła i nieudolnie naśladowali swojego suwerena, stukając spracowanymi zgrubiałymi palcami we własne iPady – oczywiście jedynki, żeby nie naruszać hierarchii. Na ekranie prezydenckiego iPada sunęły w dół jakieś demaskatorskie wykresy; ekrany pozostałych były puste i czarne. Mało który z miejscowych feudałów rozumiał, na co komu to dziwaczne ustrojstwo, ale krążyły pogłoski, że niczym talizman chroni swojego posiadacza przed prezydenckim gniewem i dymisją. Przydawało się też do zabijania pluskiew.

– Również w kwestii poprawy efektywności działań władz... – Prezydent przyglądał się wasalom od prawej do lewej.

Niczym słoneczniki obracające główki za promieniami słońca, urzędnicy odrywali wzrok od swoich talizmanów, czujnie odgadując, kiedy padnie na nich spojrzenie Prezydenta, i przybierali pokorny wyraz twarzy, ulegle przyjmując przenikliwe spojrzenie prezydenckich oczu. Ale gdy tylko Jego wzrok ich mijał i przesuwał się dalej, napęczniali feudałowie przestawali wystawiać swoje główki i bezwładnie opadali na oparcia foteli.

– Modernizacja i wdrożenie innowacyjnego myślenia są nam niezbędne jak powietrze! – zaklinał Prezydent, znów ożywiając swoim wzrokiem zgromadzenie golemów, tym razem zgodnie z ruchem wskazówek zegara.

I feudałowie budzili się, ożywali, kiwali głowami, zgadzali się ze wszystkim, jakby naprawdę rozumieli, o czym mowa.

– Tylko w ten sposób możemy zbudować nową, współczesną, silną Rosję! – czytał z iPada Prezydent.

Czytał z uczuciem.

Aż nagle oderwał się na moment od ekranu i podejrział spode łba: a co robią zebrani, kiedy nie świdruje ich wzrokiem? Rozumieją w ogóle, o czym mówi?

Oczy zebranych przypominały cynowe guziki w starych szynelach. Nie dało się w nie wniknąć, nie dało się ich odczytać. Za ich mętną zrogowaciałą powierzchnią nic się nie kryło, nic: tylko cyna.

I Prezydent poczuł coś w rodzaju ukłucia: a co, jeśli ich to nie interesuje?

– Właśnie dlatego postanowiliśmy przeznaczyć na poprawę infrastruktury komunikacyjnej regionu i internetyzację administracji środki w wysokości ośmiuset milionów rubli – zakończył.

Wtem guziki rozbłysły i zajaśniały, jakby wypolerowane szorstkim płótnem, jakby odbijając promienie majowego słońca na paradzie!

Prezydent uśmiechnął się triumfalnie: jednak udało mu się trafić do ich twardych serc! Premier miał rację: te loty mają sens! A więc można, można jeszcze zrobić z tego kraju nowoczesne państwo! Można jeszcze i dogonić, i przegonić, można?!

Odłożył swojego iPada i bojowo chrupnął knykciami.

I dziesiątki zgrubiałych knykci chrupnęły w ślad za nim.



Dziesięć godzin w niebiosach – i oto pod skrzydłami 1A-96 rozpostarło się bezdenne Soczi, miasto zaczarowane.

Miasto z natury ponure, chciwe i nieskłonne do uciech, ale z typowego rosyjskiego braku laku kandydat na gospodarza igrzysk olimpijskich; teraz odpicowywane wysiłkiem całego potężnego państwa, szykowane do swojej świętej

misji – rozszarpania na strzępy przez Międzynarodowy Komitet Olimpijski i miliony fanów sportu.

Można by porównać Soczi do nieśmiałej greckiej dziewczyny, którą upiększają przed złożeniem w ofierze Minotaurowi... Ale trafniej będzie powiedzieć, że Soczi jest jak ponura męska lesbijka z kolonii karnej, którą więzienne władze usiłują jakkolwiek umalować, żeby podsunąć ją rewizorowi z Moskwy. Można zatuszować zmarszczki i blizny, ale spróbuj zatuszować charakter!

Lotnisko w Soczi – szklane, lustrzane, jakby utkane z powietrza – oddychało, żyło. Na płycie stały samoloty świty: pomocniczy z pullmanem, poprzedzający z dziennikarzami; w pewnej odległości widać sylwetki skierowanych przez ochronę na zapasowy pas rejsowych samolotów, chyba nawet zachodnich linii lotniczych.

Na obrzeżu lotniska zgromadziły się kolumny czarnych karawanów, to tu, to tam przetykane jaskrawo czerwonymi samochodami sportowymi: nic nie poradzisz, to Południe; temperament tutejszych feudałów czasem bierze górę nad poczuciem proporcji. Poza tym w tym regionie rotacja władz też przebiega według znanej zasady. Trzeba odnosić się z wyrozumiałością do faktu, że ten czy ów reprezentant władz nie od razu zdąży się ustatkować, na wezwanie Ojczyzny przypinając znaczek z trójkolorową flagą do klapy przyciasnej marynarki. Cóż, już jako deputowany, jak w dawnych czasach, popędzi swoim ferrari po wybojach rodzinnej stancji, cóż, z nowo zyskanego poczucia wyższości nad człowiekami rozbije parę czaszek swoim wiernym kijaszkiem... Wszystko to można i zrozumieć, i wybaczyć.

Podjechały schodki, potem pullman, modelki w strojach kozaczek i w uroczystych kokosznikach na głowach podały chleb i sól.

– A witamy w Soczi na naszym supernowoczesnym lotnisku imienia kniazia Potiomkina! – Opalony gubernator uśmiechnął się serdecznie, oślepiając czarnomorskim słońcem odbitym od włoskich okularów przeciwsłonecznych.

Prezydent skinął głową, przypatrując się budynkowi terminala lotniczego wiszącemu nad głowami witających jak góra lodowa. Za jego lustrzanymi szybami tętniło życie: sylwetki ludzi biznesu z walizkami na kółkach przemykały to tu, to tam, spiesząc się na samolot, albo z entuzjazmem odwiedzając sklepy wolnocłowe.

– A lotnisko już działa! W opinii Europejskiej Konferencji Lotnictwa Cywilnego nasze lotnisko jest najbardziej...

Opancerzony pullman otworzył drzwi, zapraszając Prezydenta do swojego czułego wnętrza, i ten niechętnie się poddał... Bo wolałby słuchać tego, i słuchać...

Pojechali pustymi ulicami oglądać obiekty olimpijskie – przeorane hektary umęczonej ziemi Soczi, przypominające Drezno po bombardowaniu, w których niczym żarłoczni padlinożercy grzebały buldożery, albo coś rozkopując, albo przeciwnie, starając się jak najszybciej coś zasypać.

Żadnych budowli nie wzniesiono, ale dyrektor korporacji Olimp, opalony i w drogich włoskich okularach, spoglądał na otwarte rany Soczi z optymizmem, jakby przez swoje czarodziejskie szkła mógł dostrzec wiele rzeczy skrytych przed wzrokiem śmiertelników.

– Proszę – powiódł ręką wokół czegoś w rodzaju rozoranego wzgórza – tutaj mamy stadion na dwadzieścia tysięcy miejsc. Szklany dach może się otwierać i zamykać, imitując ruch liści rosiczki... Architekt jest laureatem Nagrody Pritzкера... Inspirację czerpał z rodzimej przyrody... kambodżańskiej. A to lodowisko do curlingu. Najdłuższe na świecie!

Granatowe mrówki dziarsko krzątały się na dnie wykopów, rytmicznie działał sprzęt budowlany i zdawało się, że gdyby tak samo pracowano w czasach sowieckich, na pewno zbudowano by komunizm przed nadejściem nowego stulecia.

A potem – przy iluzorycznej trasie narciarskiej biegnącej przez środek wciąż całkiem realnego osiedla – przez potrójny pierścień ochroniarzy rzuciła się nagle w stronę Prezydenta jakaś starowinka, siatką pomidorów torując sobie drogę przez feudałów, którzy otoczyli swojego suwerena. Funkcjonariusze unieśli lufy stieczkinów, Prezydent zmrużył oczy, telewizja wstydliwie odwróciła kamery...

– Gołąbku ty nasz! – Babunia zamiast wysadzić się w powietrze zaczęła nagle zawodzić. – Dzięki ci, że przyjechałeś! Bo przecież te darmozjady bez ciebie nic a nic tu nie robiły!

Gubernator chciał już zacisnąć pierścień wokół niej, specjalnym ruchem brwi nakazując asystentowi wpisać babulinę na listę do rozstrzelania, ale Prezydent

nagle roześmiał się dobrodusznie.

– Po to właśnie latamy! – powiedział.

Doznał objawienia: jest, jest tajemny i święty sens w tych niekończących się lotach. Nie, nie taki, żeby pokazywać różnym tam Brzezińskim, że jesteście czujni, że jeszcze za wcześnie ostrzyć ząbki na naszą połowę szachownicy, i nie taki, żeby uprzejmie dawać do zrozumienia naszym chińskim sąsiadom, że w najbliższym czasie nie oddamy im Syberii.

Ale taki, że ten gorączkowy wir przelotów, przejazdów, inspekcji, przymiarek różnych garniturów i masek – a to lekarskiego kitla, a to piłkarskiego trykotu, a to hełmu pilota – jest nieustającym nakręcaniem sprężyny sprawiającej, że cała Rosja tyka i chodzi jak słynny zegar w sklepie Dietskij Mir.

Gdzie przyleci Prezydent, tam zaczyna się krzątania. A to załatają drogę, a to w przedszkolu umyją dzieciom uszy, a to w darze dla Białego Cara zaarrestują jakichś bojówkarzy.

Gdzie zwróci swój wzrok, tam odwieczny półsen ustępuje nagle miejsca gorączkowej aktywności: do szpitala przywożą tomograf, na osiedlu w końcu płynie z kranów ciepła woda, a zakład otrzymuje nagle państwowe zamówienie na dziesięciocentymetrowe śruby do odbiorników nawigacji GLONASS...

Gdzie Prezydent, tam i życie. Gdziekolwiek padnie cień jego odrzutowca, tam zakwitają kwiaty i kłosi się zboże. Tam i środki budżetowe wpuszczają wrzącą świeżą krew w zwiotczałe i zapchane blaszkami miazdżycowymi naczynia miejscowej władzy, wracając jej młodość i siły, i mocą swej cudownej obecności udzielając jej – koślawej, zmurszałej – zdolności do czynienia cudów.

Gdzie Prezydenta dawno nie było, tam jest śmierć i upadek, pył i proch.

Módlcie się, aby przyleciał do was. Albowiem tylko tak będziecie zbawieni.

Gubernator też się roześmiał – nie służalczo, ale od serca: ulżyło mu.

– A przy okazji! – wtrącił swobodnym tonem. – Żeby ukończyć budowę obiektów olimpijskich, będzie nam potrzebny dodatkowy zastrzyk finansowy... Myślę, że trzydzieści miliardów rubli powinno wystarczyć.

Prezydent skinął głową: „luzik!” – i puścił oko do gubernatora. Czy gubernator odpowiedział tym samym? Przez włoskie okulary przeciwsłoneczne nic nie było widać. Ale Prezydentowi wydało się przez moment, że za brązowymi szklami widzi zimny błysk cyny.

Ależ nie, tylko tak mu się uroiło!



– W końcu zrozumiałem, po co nam to latanie! – oznajmił z dumą Prezydent, wyciągając nogi na niskim fotelu dla gości.

– Ach tak? – odparł ostrożnie Premier zza biurka. – I po co?

– A po to, żeby feudałowie widzieli, że ja naprawdę istnieję. Nie jestem tylko obrazkiem w telewizorze! „Jam jest”, że tak powiem, i w razie czego mogę ich powywieszać. Przylatuję i od razu zaczynają zasuwać! A jak przestanę tak chaotycznie skakać po całym kraju, to się rozbestwią. Ich trzeba właśnie brać znienacka. I raz! I do Ojmiakonu. Nie spodziewaliście się, sukinkoty? I raz – do Kamieńca Podolskiego!

– To na Ukrainie – poprawił go Premier. – Chociaż tam też powinni zachować czujność.

– No więc? Dobrze wszystko zrozumiałem? – W głosie Prezydenta pobrzmiwała radość małego chłopca.

– Dobrze, dobrze – powiedział z roztargnieniem Premier i słabo się uśmiechnął.

– Tak właśnie o tym myśl. Dobra, idź już, mam jeszcze trochę papierkowej roboty.



– No i dokąd teraz? – spytał dziarsko Prezydent.

– Kemerowo. – Pierwszy pilot sprawdził w grafiku.

– A co jest w programie? – zwrócił się Prezydent do szefa protokołu.

– Zebranie u gubernatora. Potem inspekcja kopalni. Trzeba będzie założyć strój górnika, dla kamer. Na własne oczy zobaczyć warunki pracy robotników. Potem omówić problemy branży i zastanowić się nad finansowaniem...

– Zorientujemy się i pomyślimy! – Prezydent zatarł ręce.

Kipiał energią; przez jego członki jak prąd elektryczny przepływało wibrujące poczucie wszechmocy. Chciało się żyć i tworzyć. Prezydent z początku odchylił się w fotelu i opuścił powieki, ale nie mógł zasnąć. Jak na sprężynie zerwał się z miejsca, pochodził tam i z powrotem, a potem ruszył przez kabinę personelu do kokpitu.

Dowódca statku powietrznego odwrócił się do niego ze zdziwieniem.

– Słuchaj... – Prezydent zawahał się przez chwilę. – A mógłbym, no... Usiąść na miejscu drugiego pilota? Nagle mi się zamarzyło... Tak na serio, bez kamer...

Z lotu ptaka samotny pas startowy lotniska w Kemerowie przypominał zwięzłością formy milicyjną pałkę „Argument-1”, taką z kanciakiem, żeby skuteczniej bić w głowę.

I już z tej wysokości dobrze było widać rzędy czarnych karawanów miejscowych panów feudalnych, zbite w służalczą kupę przy samej płycie lotniska w oczekiwaniu na zstąpienie suwerena.

– Karmienie tajskich sumików – mruknął pod nosem dowódca.

– Co? – spytał z roztargnieniem Prezydent.

– Ano tak... Byłem kiedyś z żoną w Tajlandii. Jest tam taka rozrywka: wychodzi się wieczorem z hotelu na molo z resztkami z kolacji, siada i rzuca jedzenie do wody – wyjaśnił nieśmiało lotnik. – I w wodzie aż się gotuje: do darmowej karmy przypląwa taka ilość tamtejszych ryb, sumików, że nie widać spod nich wody. Wszędzie się roi od tych sumików... Niby to rybki ozdobne, a rękę potrafią odgryźć. A kiedy skończy się jedzenie, to one jakby to wyczuwają. Raz-dwa i pusto. Ani żywej duszy, cholera. I woda znów taka przejrzysta... Widać dno na głębokości dziesięciu metrów.

Prezydent spojrział uważnie na dowódcę, potem rozejrzał się z zadumą po płycie lotniska... Zmarszczył brwi.

– Ile mamy paliwa?

– Starczy, żeby pół kuli ziemskiej oblecieć – uśmiechnął się pilot. – Zawsze się szykujemy, jakby to był ostatni raz... Wie pan, jakby jutro wybuchła wojna i tak dalej.

– Nie będziemy lądować w Kemerowie – wydał nagle polecenie Prezydent. – Zmieniamy kurs.

– Na jaki? – przestraszył się dowódca.

– Tym na ziemi mów, że lecimy do Moskwy. A naprawdę do Soczi.

– Dlaczego do Soczi? Przecież już tam byliśmy...

– Chcę spojrzeć w wodę – uśmiechnął się Prezydent.



Siadać trzeba było według wskazań przyrządów.

Statek Powietrzny Numer 1 niepewnie opadł z nieba na beton pasa startowego, przejechał kawałek po wyszczerbionej nawierzchni i w końcu zatrzymał się nieopodal budynku terminala. Ogromna szklana bryła była ciemna i sprawiała wrażenie kompletnie opuszczonej. Wznosząc się groźnie nad opartym o zamknięty rękaw trapu samolotem, przypominała górę lodową, ale czarną, nocną, niebezpieczną, tę, która zatopiła Titanica.

– Tu nikogo nie ma... – odezwał się dowódca statku powietrznego, rozglądając się niespokojnie. – Nawet nie otworzyli rękawa...

– Otwieraj awaryjne! – zarządził stanowczym tonem Prezydent. – Schodzę.

Po zjeździe na tyłku z pomarańczowej dmuchanej zjeżdżalni, otrząsnął się i rozejrzał po lotnisku. W oddali majaczyły kadłuby airbusów z logotypami Lufthansy – ale z jakiegoś powodu przepiłowane na pół.

Poza tym nie było na czym oka zawiesić. Tak jakby Prezydent nie był żadnym Prezydentem, tylko niewidomą dziewczynką z opowiadania *Langolier* Stephen Kinga, która wraz innymi pasażerami samolotu utknęła między przeszłością a teraźniejszością i wylądowała na wymarłym lotnisku – pozostało ono razem

z resztą Ziemi w martwej, wyblakłej przeszłości i za moment miały je pożreć hordy potworów pochłaniających przedawnioną materię... Dobry to był kawałek. Prezydenta aż przeszedł dreszcz: a nuż potwory-langoliery naprawdę zaraz się tu pojawiają, żeby pożreć świat? Na ich miejscu on też by zaczął od Soczi...

Wtem za czarnym zwierciadłem terminala mignął jakiś ogieniek.

Prezydent dla kurażu głośno zaintonował *Marsylianę* i ruszył w stronę światła. W ślad za nim zsunęli się po trapie zaspani ochroniarze, rozejrzeli się dookoła – ale na próżno. Prezydent zniknął już w mroku.

Widmowy płomyk wabił go, bawił się z nim: to znikając, to pojawiając się ponownie. Starając się nie tracić z oczu światełka, Prezydent znalazł w szklanym monolicie jedyne drzwi, nacisnął kłamkę – ta została mu w dłoni. Odszukał drugie – okazały się po prostu narysowane na ścianie. Trzecie drzwi wydawały się najzupełniej prawdziwe, ale w ogóle nie chciały się otworzyć. Wtedy Prezydent wymacał na ziemi zardzewiały pręt zbrojeniowy i z rozmachem cisnął nim, niczym Włóczęgą Przeznaczenia, w ślepią szybę.

Zaskoczona szklana tafla zafalowała, rozległ się śpiewny plusk i nagle ogromna lustrzana zasłona eksplodowała, zamieniła się w szklany piasek, który osypał się u stóp Prezydenta, obnażając betonową czeluść, szkielety schodów i żebra stropów.

Ale ogień okazał się prawdziwy: na pierwszym piętrze rzeczywiście coś się paliło. Tam mogli być ludzie! To oni odpowiedzą przed Prezydentem za wszystko.

Wdrapał się po chybottliwych schodach i niemal biegiem ruszył naprzód. Pod stopami chrzęścił betonowy gruz, czasem delikatnie kłaskały kupki odchodów, szare ściany pokrywały pełne błędów ortograficznych przekleństwa i tęsknie wiał stęchły przeciąg, uwięziony kiedyś w tym szklanym labiryncie i zmuszony, by wiecznie w nim błądzić.

Co to za ogień? Może to wcale nie ludzie? Widma? Upiory? Nieszczęsne dusze tych, którym kazano się przeprowadzić, bo w miejscu ich zamieszkania musi powstać najdłuższy na świecie tor do curlingu?

W końcu źródło światła zbliżyło się na tyle, że Prezydent mógł mu się przyjrzeć. W ogromnej pustej hali z widokiem na opustoszałą płytę lotniska paliło się ognisko.

Wokół niego kulily się przygarbione postacie... Słysząc było cichy żałobny śpiew w nieznanym języku i głos ten mroził krew w żyłach. Obok ogniska wznosił się niewysoki kurhan, lichy wie z czego ułożony.

Prezydent z początku zwolnił kroku, ale potem nabrał rezonu i znów ruszył naprzód. Nieważne, czy to dzinny, czy ochrona „Olimpu”, czy karawana przywiana tu przez wichry czasu ze średniowiecznego Maghrebu, czy gubernator ze swoją świtą – trzeba było się w tym wszystkim zorientować.

– Człowiek! – Jeden z siedzących zerwał się z miejsca. – Tam jest człowiek!

– Człowiek! Człowiek idzie! – podchwycili pozostali.

Ludożercy? Prezydent zatrzymał się z pewnym wahaniem, a nawet zrobił krok w tył.

– Nie! Poczekaj! Zaczekaj! – odezwał się zaraz chór głosów zebranych przy ognisku ludzi. – Zabierz nas stąd!

W tym krzyku brzmiała taka szczerza rozpacz, że Prezydent przestał się cofać. Spośród siedzących wysunął się dziwny mężczyzna: wyglądałby jak osmalony kirgiski robotnik, gdyby nie elegancki czarny garnitur noszony wprost na gołe ciało. Tak samo prezentowała się reszta; tyle że niektórym brakowało spodni, a innym marynarek.

Kopiec górujący nad ogniskiem okazał się stosem pustych walizek.

– Kim jesteście? – Prezydent osłupiał.

I poznał odpowiedź: miał przed sobą tych samych ludzi, którzy podczas jego niedawnej wizyty uwijali się energicznie za szybami terminala, imitując jego życie. Specjalnie w tym celu sprowadzono ich z Tadżykistanu z obietnicą, że zaraz po odegraniu swoich ról dostaną posiłek i wypłatę.

Od tego czasu nie widzieli już organizatorów, dlatego nie wiedzieli, czy ich praca się już zakończyła. Nie potrafili znaleźć wyjścia z martwego lotniska. Za dnia sumiennie biegali tam i z powrotem z walizkami, nocą łapali szczury i grzali się przy ognisku... Właśnie za tę pokorę wobec losu rosyjscy handlarze niewolnikami tak kochają Tadżyków.

– Nie wie pan szanowny, czy praca już się skończyła? Możemy jechać do domu?
– spytał niepewnie tadżycki parlamentariusz.

– Możecie – odpowiedział niskim głosem Prezydent. – Niniejszym daruję wam wolność.



– Raportuj!

Dyrektor Urzędu Kontroli – człowiek godny zaufania, swój, niemal wyciosany z prezydenckiego żebra – niezręcznie milczał.

– Noo... Co ze środkami z budżetu państwa?... – powtórzył Dyrektor z głupawym uśmiechem.

– Tak! Wykorzystane?!

– Wykorzystane – uśmiechnął się Dyrektor.

– A gdzie są efekty internetyzacji administracji publicznej?!

– Tak! Gdzie one są? – przytaknął Dyrektor.

– A pieniądze, które przekazaliśmy do Workuty?!

– Do Workuty?...

– Czyżby zwyczajnie je rozkradli?

– Rozkradli?!...

– Dlaczego muszę to wszystko sprawdzać sam?!

– Dlaczego sam?...

– Po co cię posadzono na tym stołku, co?! Żeby ich wszystkich kontrolować! – przerywając starającemu się uczestniczyć w rozmowie Dyrektorowi, przyspieszył Prezydent. – A ty co robisz? Może jesteś z nimi w zмовie, co?! Nie odwracaj wzroku, kiedy do ciebie mówię! Patrz mi w oczy, powiedziałem!

Tamten posłusznie uniósł wzrok.

Bez życia. Cynowy.



– Wyobrażasz sobie?! Lotnisko zostało opuszczone zaraz po moim odlocie! Zostawili tam tych nieszczęsnych Tadżyków, nie raczyli nawet ich wypuścić! Na obiektach olimpijskich nie było żywej duszy... Wracam... I w samolot do Kemerowa. Przyleciałem dzień później niż planowano... Pusto! Wsiadłem do nivy, przejechałem się po mieście... Miałem wrażenie, jakby je Niemcy właśnie zbombardowali... Drogi zniszczone... Korki... Ani jednego funkcjonariusza drogówki... Jacyś debile przykładają ci nokię do twarzy, nagrywają na YouTube'a... Chaos! No to wsiadam do samolotu i chcę już lecieć do Chabarowska...

Machając ze wzburzeniem rękami, Prezydent szybkim krokiem przemierzał gabinet Premiera. Już całkiem wyraźnie się zagotował, ale Premier jakoś nie zamierzał pomóc mu w upuszczeniu pary, patrzył tylko na niego z chłodnym dystansem.

– Urząd Kontrolny niczego nie kontroluje! Trudno, sam to zrobię... Zaraz każę lecieć do Nachodki... Potem do Kaliningradu... Potem do Tiksi... Potem do Petersburga...

– Dość! – przerwał mu ostro Premier. – Co ty tak, jak jakaś baba?

– Co... Jak to? – Prezydent obrócił się do niego zdumiony.

– Przecież nie dasz rady sprawdzić całego kraju! Mówiłem ci: przypatrz się, jaki jest wielki! – Premier wskazał kraj palcem. – Gigantyczny! Ty będziesz latał, a w tym czasie w Moskwie sto razy zawiążą spisek!

– Ale przecież... Bez ręcznego sterowania... To wszystko... Wszystko, rozumiesz? Czyż nie? – powiedział Prezydent.

Premier głęboko westchnął, odzyskując panowanie nad sobą, a potem, już spokojnie, łagodnie odpowiedział:

– To nie tak. Nie całkiem.

– Więc po co w ogóle latać? – spytał Prezydent zdruzgotany.

– Nie tak prosto to wyjaśnić... – odezwał się Premier po chwili milczenia. – Słyszałeś o karmieniu tajskich sumików?

– No... Słyszałem.

– Te sumiki to dzikie i durne ryby. Ale jeśli regularnie je karmisz, wychodzisz na molo zgodnie z harmonogramem... To nawet i one uznają cię za swojego pana. Tak samo jest u nas...

– Zaraz, zaraz... Zaczekaj... Czyli co... Wszystkie te narodowe projekty... Olimpiada... Budowa dróg...

– Program zbrojeniowy... Tanie mieszkania... Nanotechnologie... – kontynuował za niego Premier.

– Nanotechnologie też?... – spytał żałośnie Prezydent.

– Szczególnie nanotechnologie! – podkreślił Premier. – To wszystko karmienie tajskich sumików. Zgodnie z harmonogramem, rozumiesz? Żeby nie odpłynęły we wszystkie strony. Nie ty ustalałeś ten harmonogram i nie ty będziesz go zmieniać!

– No dobrze... Niech będzie... Rozumiem, jaki oni mają w tym interes... Ale co mamy z tego my? Dlaczego mamy ich karmić?

– My też mamy w tym interes – uśmiechnął się Premier. – Idź, odpocznij. Sam potem zrozumiesz. A ja mam teraz trochę papierkowej roboty.

Prezydent posłusznie skinął głową, patrząc w jego cynowe oczy, i ponuro powlókł się do wyjścia. W progu zamarł, obejrzał się na olbrzymią mapę Ojczyzny przypiętą do ściany i mruknął:

– Ależ ta cholera ogromna... Gdybyśmy mieli coś mniejszego, jakiś Beneluks... Wtedy można by było zrobić tu porządek... A tak... Aż ma się ochotę uciekać – ostatnie słowa powiedział już całkiem cicho.

I wtedy go olśniło.



– Powstanie tu miasto innowacji! Będzie się nazywać Skołkowo.

Nanotechnologiczny kamień węgielny wpadł do dołka, a Prezydent zaczął zasypywać go jałową gliniastą ziemią.

– Wyłącznie nowoczesne technologie! – obiecał szeptem Prezydent swojemu iPadowi. – Żadnych podatków... Drapacze chmur... Zachodnie firmy będą do nas walić... Najtęższe umysły kraju... Świata! Powstrzymamy drenaż mózgów... Idealny klimat dla inwestycji... Żadnych barier administracyjnych! Ja sam, osobiście! Nikomu nie będę ufać... Można nawet wytyczyć granice, postawić celników... Wizy... Żaden z tych gamoni tu nie wjedzie... Można i własną walutę... „Inno”... To nic, że będzie małe... Monako przecież też... Za to może będzie porządek... Europejczycy jeszcze będą zazdrościć... Amerykanie też, ze swojego Cupertino będą do nas przyjeżdżać po wiedzę...

Wreszcie nanotechnologiczny kamień węgielny został ostatecznie zakopany i Prezydent z radosnym uśmiechem podszedł do falangi dziennikarzy, najeżonej długimi mikrofonami na wędkach jak włóczniami.

– My jeszcze i dogonimy, i przegonimy! – obiecał telewizjom Prezydent. – Niedługo zobaczycie!

– A proszę powiedzieć... – lękliwie i wyraźnie wbrew regulaminowi bąknął korespondent Ogurcow. – Jaki będzie przybliżony koszt budowy Skołkowa, miasta innowacji?

– Cóż – rozłożył ręce Prezydent. – To będzie trzeba policzyć! Ale na taki projekt nie można skąpić. Na szali leży prestiż kraju!

I w jego oczach pojawił się zadziorny błysk.

W kolorze cyny.

[7] Nawiązanie do *Eugeniusza Oniegina* Aleksandra Puszkina.

SIARKA

– Porucznik Skaredowa Walentina Siergiejewna. Więc tak... Proszę pamiętać, że nagrywam. Na ten telefon. Przydzielono mi pani sprawę. Dzień dobry.

– Dzień dobry.

– A więc... Mówię, żeby było w aktach... Sprawa dotyczy pani męża, Pietrenko Maksima Aleksandrowicza, urodzonego w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym trzecim roku. Z którym zawarła pani związek małżeński i zamieszkiwała pod adresem ulica Leningradzka, numer domu dwadzieścia jeden, numer mieszkania pięć, ósmy rejon Dzielnicy Centralnej, miasto Norylsk.

– Zamieszkiwałam.

– Dwudziestego szóstego grudnia dwa tysiące osiemnastego roku Pietrenko Maksim Aleksandrowicz, zatrudniony wówczas w Zakładzie Miedziowym na stanowisku starszego mechanika w sekcji kwasu siarkowego, nie stawił się w pracy o wyznaczonej godzinie. Po telefonie z administracji Spółki z ograniczoną odpowiedzialnością „Nornikiel” wykonanym przez pracownika działu kadr oznajmiła pani, że pani mąż Pietrenko Maksim Aleksandrowicz nieodmaga, konkretnie: zatrął się, i został w domu. Zgadza się?

– Tak.

– Następnego dnia Pietrenko Maksim Aleksandrowicz ponownie nie przyszedł do pracy, co poskutkowało kolejnym telefonem z działu kadr, który znów odebrała pani. Oświadczyła pani, że Maksim Aleksandrowicz nadal przebywa na zwolnieniu lekarskim z powodu zatrucia bądź infekcji. To samo powtórzyło się w środę. Wszystko się zgadza?

– Tak, zgadza się.

– Następnie z własnej inicjatywy skontaktowała się pani z działem kadr Zakładu Miedziowego, informując, że nieobecność Maksima Aleksandrowicza w pracy

przedłuży się aż do Nowego Roku. Po którym będą dni wolne w związku ze świętami.

– Tak.

– Siódmego stycznia miejska ekipa odbierająca śmieci, a konkretnie Kowalczyk D.K., zgłosił na Pierwszym Komisariacie Policji w Norylsku, że znalazł na powierzonym mu terenie torbę plastikową ze sklepu Magnit, w której znajdowała się głowa mężczyzny w średnim wieku.

– W komisariacie.

– Co?

– „W komisariacie”, a nie „na komisariacie”.

– Na nagraniu to bez różnicy. Przepisze się.

– No, ja tylko tak, dla pani.

– U nas wszyscy mówią „na komisariacie”. Kiedyś też mówiłam „w komisariacie”, przed szkołą policyjną, ale potem przywykłam.

– Przepraszam.

– Proszę bardzo. Z głową mężczyzny w średnim wieku, po której rozpoznano pani męża Pietrenkę Maksima Aleksandrowicza.

– To u was pewnie żargon zawodowy.

– Co?

– „Na komisariacie”. U nas za to mówią na przykład „na kopalni”, zamiast „w kopalni”. (*kaszle*) Nie mam już siły z tym walczyć.

– To teraz pani największe zmartwienie?

– Nie. Tak tylko powiedziałam, jako ciekawostkę. Przepraszam. Proszę kontynuować.

– Chwileczkę. No i się zgubiłam. Aha. Po której rozpoznano pani męża Pietrenkę...

– Tak. Tu byliśmy.

– Identyfikacja została przeprowadzona przez pracownika działu kadr Spółki z ograniczoną odpowiedzialnością... Tak. Po upływie... Po upływie... Po około

dwóch tygodniach. Przez cały ten czas mówiła pani w miejscu pracy małżonka, że jest chory.

– Zgadza się.

– Kiedy do miejsca zamieszkania Pietrenki M.A. przybyła grupa operacyjna, poinformowała ją pani, że Maksim Aleksandrowicz jest w pracy.

– Tak.

– Przy tym w zamrażalniku pani lodówki marki Candy odkryto dłoń i stopę człowieka, co do których biegli ustalili, że to części ciała należące do Pietrenki M.A. Nie zaprzecza pani?

– Nie zaprzeczam.

– W kostnicy w trakcie identyfikacji głowy ofiary stwierdziła pani, cytując: „śmierci Pietrenki M.A. winni są umarli, którzy nakłonili mnie do popełnienia tej zbrodni”.

– Dokładnie.

– Kapitan policji Siergiejew A.P., który dokonał pani zatrzymania, twierdzi, że pani, cytując: „sprawiała wrażenie spokojnej i skupionej”.

– Nie wiem. On wie lepiej.

– Jeleno Konstantinowna...

– Tak?

– Czy zabiła pani męża, Pietrenkę Maksima Aleksandrowicza?

– Przecież już się przyznałam.

– Sama czy z czyjąś pomocą poćwiartowała pani ofiarę?

– Fizycznie?

– Co?

– Ma pani na myśli pomoc fizyczną czy duchową?

– Fizyczną.

– Sama.

– A... A duchowo?

– Wykonywałam polecenia.

– Czyje?

– Wykonywałam polecenia umarłych.

– Jakich umarłych?

– Martwych ludzi, którzy przebywają wśród nas. Nie znam imion. Umarłych. Pogrzebanych pod górą.

– Przepraszam, pod jaką górą?

– Pod Schmidtówką. U nas tak się... Pod Górą Schmidta.

– To jest... Kto tam jest pochowany?

– Dopiero pani przyjechała, tak? Wszyscy, którzy budowali to miasto. Że tak powiem, założyciele Norylska. Zeki. Niech pani poczyta.

– I to umarli zażądali, żeby popełniła pani wobec męża przestępstwo z artykułu sto pięć Kodeksu karnego Federacji Rosyjskiej?

– Nie mówili o artykule. Po prostu zdałam sobie sprawę, że potrzebują też śmierci mojego męża. Wzywali go do siebie, a on się opierał, nie chciał odejść. Ja tylko pomogłam.

– Tak. Proszę zaczekać... Tylko sprawdzę, czy się nagrywa. Nagrywa się. Więc kto jeszcze umarł?

– Co?

– Powiedziała pani, że potrzebują też jego śmierci. Też, czyli kto jeszcze?

– No, oni.

– A pani... Nikogo więcej pani przypadkiem... nie zabiła?

– Nie.

– A ci umarli to jak panią... jak panią zawiadomili o konieczności zabicia pani męża?

– Szepnęli na ucho. Zaśpiewali.

– Proszę konkretniej.

– Przecież to martwe miasto. Martwe, Wala. Życie tu się utrzymuje z trudem, trwa krótko. Czy mogę się do pani zwracać po prostu po imieniu?

– Powinna się pani do mnie zwracać: „towarzyszko poruczniku”.

– Dosłownie przed chwilą pani tu przyjechała, tak? (*kaszle*)

– Jaki to ma związek ze sprawą?

– Widać, że pani nie stąd. Taka różowiułka. Świeżutka. Was chyba delegują, tak? Śledczych. Na jak długo pani przyjechała? Na rok?

– A więc tak. Uważam, że pani symuluje. Że chce pani unikać odpowiedzialności. Że pani cel to wykpić się psychiatrykiem. Nie jest pani wcale obłąkana.

– Nie mówiłam, że jestem obłąkana. To wasz kapitan tak twierdzi. Ja nie chcę do psychiatryka, Wala. W kolonii karnej będzie lepiej.

– Zlecimy ekspertyzę psychiatryczną. Wtedy będzie pani mogła urządzić te cyrki.

– No i dobrze. Mogę już wrócić do celi?

– Nie, nie może pani. Proszę opowiedzieć do protokołu: jak dokładnie go pani zabiła?

– Nożem. Nożem kuchennym. Dźgnęłam go w szyję.

– Czy stawiał jakiś opór?

– Nie. Był pijany. Spał.

– W mieszkaniu nie ma śladów krwi. Gdzie pani go...

– W łazience. Zaciągnęłam go do łazienki, jak zwykle. Położyłam. I tam się to stało.

– A potem... Też samodzielnie? Bez współników?

– Co?

– No... Głowę. Ręce.

– Oczywiście. A kto miałby mi pomóc?

– Po prostu pani tak... wygląda... zwyczajnie. No... Chociaż może... Więc jak?

– W szopie znalazłam piłkę do metalu i tyle. Nie trzeba tu wiele rozumu. Tylko długo trwa. To wszystko?

– Nie wszystko. Ma pani oparzenia od papierosów na piersi. I zagojone blizny.

– Tak.

– Chciałabym to zrozumieć. On panią bił?

– Bił.

– To dlatego?

– Oczywiście, że nie. Który nie bije? Można człowieka zrozumieć.

– To znaczy?

– No jak to? Pomieszkać tu u nas. Byłaś już w zakładzie?

– Jeszcze nie.

– A to idź, koniecznie. Obejrzyj produkcję kwasu siarkowego. Niklu. Po prostu przejdź się po kombinacie, powiedz ochronie, że to potrzebne do sprawy. Zjedź do kopalni. Zobacz, jak oni pracują. Z czym oni pracują. Ludzie siedzą pod ziemią przez ileś godzin. Oddychają tym. Wychodzą na górę – a tu ciemno. Cała zima bez słońca. Pensje wiesz jakie są? Ceny widziałaś. A w domu żona. Tu trzeba pić. Tu się nie da nie pić. Tu jest duże ciśnienie, duża presja. I są umarli, wzywają do siebie...

– Tak... Dobrze. A znała pani Prochorowa Stanisława Antonowicza?

– Kto to?

– Znaleziono go z ranami kłutymi w okolicy szyi na plaży nad jeziorem Glinianym.

– No i?

– Tak tylko pytam. Podobny styl.

– Mało to u nas zabójstw? Choćby teraz, nie czytała pani w gazecie? Facet, żonaty, dziecko, poszedł do sąsiadów i zatłukł całą rodzinę prętem zbrojeniowym. (kaszle) Babkę, faceta i trzyletnią córeczkę. Prętem zbrojeniowym wszystkich zabił. Wygugluj sobie.

– Wiem.

– I skazali jeszcze tego... emeryta. Zarznął żonę w jej urodziny. Oboje mieli chyba po sześćdziesiąt lat.

– Tak.

– Myślisz, że dlaczego oni się wzajemnie zabijają?

– Dlaczego?

– Dlatego, że ich życie jest nieprawdziwe. Dlatego, że tyle jest wokół śmierci, że śmierć przeważa. Ludzie sami mają ochotę zdechnąć i zabić innych. Żeby to się już skończyło. To w waszej Moskwie, czy skąd jesteś...

– Z Moskwy.

– To w waszej Moskwie wydaje się wam, że życie jest prawdziwe. A tutaj to tak, o... Przyśniło się. Łatwiej zdechnąć. Tu śmierć jest blisko. A z tym facetem na plaży... (*kaszle*) Może to narkomani.

– Pracujemy nad tym...

– Narkomani lepiej wyczuwają umarłych. I czują, i widzą.

– A pani znów to samo? Może się pani nie trudzić... I tak będzie psychiatra.

– Cóż, niech będzie. Jak psychiatra, to psychiatra. Puściłabyś mnie już, co? Jest wpół do piątej rano. Ja się nie opieram. Nie milczę.

– Jeszcze nie skończyłyśmy rozmawiać.

– Psychiatrzy. W Norniklu, zanim kogoś zatrudnią, dwa razy gonią go do psychiatry. Do tego wypełnia się ankietę z ośmiuset pytaniami. I co, czy to pomaga? Tu psychiatra nie ma nic do rzeczy.

– A co ma?

– Jesteś tu krótko, więc jeszcze ich nie słyszysz. Pomieszkasz, to zaczniesz się wsłuchiwać. Będziesz się wsłuchiwać, uwierz mi. I usłyszysz, jak oni wołają cię do siebie. Wołają, wołają... Jest ich tu wielu, wielu... Wielu. Pod górą. No i... jak myślisz, dlaczego domy stoją u nas na palach, a nie na fundamentach?

– Żeby nie topniała wieczna zmarzlina. Domy na fundamentach się osuwają.

– Ja też tak myślałam, kiedy tu przyjechałam. Nie, Wala, to po to, żeby być dalej od umarłych. Ta poduszka powietrzna nie chroni przed ciepłem, tylko przed chłodem. Przed szeptami. Wiesz, i tak trudno się zorientować, gdzie są martwi, a gdzie żywi. Umarli się u nas, sama rozumiesz, nie rozkładają. A żywi są cali szarzy. Łatwo popełnić błąd. Nie da się wyczuć tej różnicy między życiem a śmiercią. Łatwo się pomylić. No i ludzie się mylą.

– Tu jest napisane, że wykryli u pani nowotwór.

– Wykryli.

– Gruczołu sutkowego.

– No i co? Mało tu takich? Oddychamy siarką. Kobiety to jeszcze nic... Dzieci szkoda.

– Dwa lata temu. Miała pani operację?

– Miałam. Zeszłego lata popłynęłam rzeką do Krasnojarska.

– I co?

– Dalej rośnie. Tu się człowiek nie wyleczy. Jak oni cię złapią, to już nie puszczą. Jak ryba na haczyku, rozumiesz? Silna ryba się szarpie, ciągnie, chce uciec na dno, ale kiedyś nawet silnym kończy się siła.

– „Oni” to znów umarli, tak?

– Tak. Oni są tu silni, wiesz? Łatwo człowieka przeciągają do siebie. Tylu tu ich jest... Więcej niż nas. Chórem szepczą.

– To oni kazali pani zabić męża?

– Tak.

– A poćwiartować?

– Nie. Dla nich to już wszystko jedno. To już ja sama... Przestraszyłam się. Najpierw się bałam. Później zebrałam się w sobie. Trzeba było coś z nim zrobić. Bo tak leżał i mówił. I jeszcze inni mu przytakiwali. (*kaszle*)

– Gdzie pani umieściła pozostałe części?

– Gdzieś schowałam. Myślisz, że zapamiętałam? Była śnieżycą, czarna śnieżycą. Trafiaś już u nas na czarną śnieżycę?

– Jeszcze nie.

– Czy widziałaś, że między budynkami od jednej klatki do drugiej jest przeciągnięty drut? Żeby w czarnej śnieżycy można było dojść i nie pomylić drogi. Bo znajdują potem człowieka... Pójdzie taki do sąsiada albo do kiosku... I znajdzie się dopiero latem. Szczególnie staruszkowie, jeśli nikt sobie o nich nie przypomni. Nie widać wyciągniętej ręki. Wiatr nawiewa zasy wysokośći autobusu. Autobusy grzęzną. Pasażerowie wysiadają, huśtają całym autobusem... Dobrze, jeśli ugrzązł w mieście. Wiatr jest taki, że unosi psy. Nie trzeba niczego szczególnie chować. Więc tak, rzucałam reklamówkę, i do domu po następną.

– Mam jeszcze jedno pytanie. W miejscu pani pracy nie zauważyli niczego dziwnego?

– Przecież oni też mieli wolne. Święta.

– To znaczy przesiedziała tak pani całe święta... Z nim?

- No a co poradzić?
- I po świętach wróciła pani do pracy.
- Tak.
- A wy tam... Nie macie etatowego... psychologa, czy coś?
- Komu to potrzebne? Przecież to nie przemysł, Waliusza, tylko przedszkole.
- I wróciła pani do swoich obowiązków? Przedszkolanki?
- No a co, miałam dalej ślęczeć w domu? Zamieć ustała, przedszkole się otworzyło, więc poszłam.
- Tak... Dobrze.
- Nie myśl sobie... Ja dzieciaczki bardzo lubię.
- Dobrze. Ja nie o tym.
- Mnie samej Bóg nie dał.
- Wiem.
- Co wiesz?
- Że pani nie ma.
- No tak. Nie mam. I czasem sobie człowiek pomyśli: a jakby były? Jak by tu żyły w zimie w nieprzeniknionych ciemnościach. Bez słońca. Dorośli to jeszcze nic, ale dzieciaczki? Przez półtora miesiąca całkowity brak światła słonecznego, rozumiesz? Ciemność, ciemność. A potem po trochu się zaczyna, powolutku. Na krótko. (*kasze*) Wszystkie są takie wymizerowane... Rysujemy im w przedszkolu na ścianach morze i palmy. Rysujemy. Niebieską lampą je... Staromodny sposób. Wszystkie są jak kijanki. Przezroczyście.
- Dlaczego?
- No a co byś chciała? Bez słońca. I czym oddychają? Poziom siarki w powietrzu dwadzieścia osiem razy przekracza normę, kobaltu – trzydzieści pięć. Widziała pani chmury nad miastem? To wszystko z kominów. To nie chmury. Siarka. Oczy. Nie czujesz, jak pieką? Siarka.
- A jak to wygląda u ciężarnych?
- A tak. Właśnie tak. A myślisz, że co? Że nigdy z nim nie zaszłam? Zachodziłam, tylko... Tylko za każdym razem było o tak. Budzisz się w nocy...

Myślisz, że to sen. A to już po wszystkim. Krew, krew i wszystko wyszło.

– A ty... Od jak dawna tu mieszkasz?

– Masz to w aktach. Przyjechaliśmy w dwa tysiące piątym. Z Lipiecka. Z Nowolipiecka. Myśleliśmy, że tu będzie lepiej. Dostatniej.

– Trzyście lat? Długo.

– Pensja osiemdziesiąt i daliśmy się kupić, idioci. Osiemdziesiąt... Za to wszystko.

– Osiemdziesiąt... tysięcy?

– Osiemdziesiąt tysięcy.

– To jednak dobra pensja! U nas na razie do tego...

– To oni tyle dostają, przy kwasie siarkowym albo w kopalniach. To za to płacą, za zdrowie. Za życie, za te lata. Faceci żyją po pięćdziesiąt lat... Przelicz to na swoje. A bilet na południe – sześćdziesiąt! A ceny w sklepach... Dużo nie zaoszczędzisz. Wpadasz w błędne koło... i dalej, biegnij.

– A to się... często zdarza?

– Co?

– No, że... Że dochodzi do przerwania ciąży?

– Poronienia? Co chwila.

– Cóż, pewnie trzeba tu dłużej pomieszkać... Przecież nie od razu...

– Trzeba pomieszkać.

– Tak od razu, to pewnie nic się nie stanie.

– Od razu to... A ty... Ty co? Ze sobą? Ze sobą przywiozłaś? (*kasze*) O mój Boże... Dlaczego się zgodziłaś tu przyjechać?

– A co, myślisz, że można wybierać? Gdzie cię poślą, tam jedziesz.

– Gdzie poślą... A ukochany gdzie?

– W lesie.

– Ach.

– Dobrze. Dobrze. To tyle. Chyba wszystko już usłyszałam. Przyjdę jeszcze jutro.

Trzeba będzie przepisać to wszystko na czysto.

– Przychodź.

- Tak. To tyle. Chcesz zapalić?
- Nie. Można herbaty?
- Tak. Przyniosę. Zaraz wrócę.
- Dziękuję.



- Mocno cię bił?
- Widziałaś.
- A dlaczego?
- Dlaczego... Dlatego że trzeba się jakoś wyładować. Oni dostają w zakładzie baty, a potem przynoszą to do domu. Zakład... Widziałaś jego fotki? Pokazali ci?
- No tak.
- Po poparzeniu?
- Widziałam głowę.
- A. No tak. Czyli po poparzeniu. Po poparzeniu zrobiło się naprawdę źle. Codziennie na gazie. Mówili mu, że go zwolnią. A on i tak chłał. Mówić to mówili, ale nie zwalniali. Kto inny pójdzie do kwasu siarkowego? Za osiemdziesiąt? Młodzi nie są głupi. Młodzi wyjeżdżają na południe. Chcą żyć, a tu tylko martwota. Nikiel, miedź, siarka. I tamci, pod górą... (kaszle) Widzisz. Ich też tu posłali. Jak Ojczyzna każe... Ich tu jest pewnie więcej niż nas. Wołają do siebie.
- Dolałam koniaczku.
- Nie oberwie ci się za to?
- Jest noc, kto się dowie?
- Dobrze. Jakby wygładzało się wszystko w środku. Odpuszcza. Dziękuję.
- No... Generalnie, to na badaniu tak właśnie mów. Mów o tych swoich umarłych, to jest dobre. A ja też... Napiszę, że no...
- W dupie to już mam. Pisz, co chcesz.
- To znaczy?

– Tak było trzeba, z Maksimem. Już dawno. Żebym sama, głupia, nie musiała tego znosić, i żeby on się nie męczył. Tak czy siak. Chciałam go otruć, ale ciągle nie wiedziałam czym, żeby mieć pewność. A wtedy po prostu nie wytrzymałam. Kiedy znów mnie tak w brzuch... Ledwie doczekałam, aż uśnie.

– Mów im o umarłych, na badaniu. O martwych. Macie tu takich ekspertów, że... Uwierzą.

– Mam to w dupie. Przyznaję się.

– Dlaczego?

– Nie mam już siły. Nie chcę. W kolonii karnej to szybciej się skończy. Chcę, żeby wszystko się jak najszybciej skończyło.

PRAWO NA TELEFON

Niebo nad Moskwą było intensywnie granatowe, a hen, daleko, tam, gdzie Leninski Prospekt zakąszał horyzontem, widać było jaskrawy szkarłat ogromnego zachodzącego słońca. Pod tym magicznym kloszem zdawało się, że całą stolicę przykrywa gigantyczna niebieska czapka enkawudzisty z czerwonym otokiem.

Iwanow uśmiechnął się łagodnie do tej miłej myśli.

Potem wsunął dłoń do plastikowej torebki i namacał rękojeść stieczkina zawiniętego w zmięte gazety niczym ozdoba choinkowa. Zbliżył do oczu komórkę z odebrany ememesem: z pięciocalowego ekranu uparcie, wyzywająco patrzyła na niego piękna młoda kobieta.

Dziewiąta wieczorem. Właśnie wychodzi z metra. Dojście tutaj zajmie jej osiem minut, jeśli nie przystanie gdzieś po drodze. Tyle że nie ma gdzie przystawać; nie ma żadnego życia. I mieć nie może. A więc...

Iwanow zerknął jeszcze raz na zdjęcie. Niebieskie oczy przyciągały jak magnes, nie odpuszczały. Wiedział, że to soczewki. Włosy też były nieprawdziwe... A jednak nie mógł oderwać wzroku od fotografii. Z wysiłkiem odwrócił spojrzenie od ekranu i przeniósł je na cudacznym przechodniów widzianych zza szyby o dziewięćdziesięcioprocentowym przyciemnieniu.

Dziewiąta zero dwie.

Już czas.

Pociągnął klamkę i wynurzył się ze swojego małego czarnego lexusa przypominającego pojazd kosmiczny. Torebkę miał w lewej ręce. Iwanow będzie strzelał wprost przez nią. Chwilę później podjedzie karetka pogotowia na specjalnych numerach. Ciało załadują na nosze, a kiedy ambulans dotrze do celu, będzie już pusty.

Niebieskooka kobieta zniknie, jakby nigdy nie istniała.

Lecz zanim ją zlikwiduje, zada jej jedno pytanie.



– Uniewinniony! – powiedziała dźwięcznym głosem sędzia. – Oskarżony zostanie zwolniony w sali rozpraw.

Widownia eksplodowała. Reporterzy zaczęli gadać do telefonów, przeszkadzając i zagłuszając się wzajemnie, chabrowe mundury prokuratorów nagle wyblakły, pewni siebie mężczyźni w czerni nadzorujący proces z ramienia Administracji zapalili papierosy jeszcze na sali i też chwycili swoje ciężkie komórki z godłem państwowym.

– Gwiazdka-dziesięć-krzyżyk! – mówił jeden do drugiego.

– Przecież wiem! – odgryzał się drugi i wpisywał numer.

Odstawiony od koryta oligarcha, który przez cały czas ogłaszania wyroku rozwiązywał krzyżówki „Z teściową”, pogodzony już z tym, że następne dziesięć lat upłynie mu identycznie jak poprzednie dziesięć, gapił się na sędziego osłupiałym i podejrzliwym wzrokiem przez grubą szybę, jakby do akwarium wsypali mu środek na przeczyszczenie.

Sędzia zebrała papiery, wyciągnęła z gniazdka przewód telefoniczny, po czym stukając obcasami po rozeschniętym urzędowym parkiecie, przecisnęła się przez szalejący tłum i zniknęła, zanim mężczyźni w czerni odebrali impuls ze swoich komórek i zdążyli ją dogonić.

A potem nikt już nie miał czasu dla sędzi: trzeba było coś zrobić z uniewinnionym oligarchą, który ścierpłe od krzyżówek palce już nieśmiało składał w churchillowski znak *victory*.

Koniec materiału operacyjnego. Ekran zgasł.

Generał kliknął pilotem, obrócił się do Iwanowa i przyjrzał się mu uważnie. Mieli jednakowe oczy – półprzezroczyste rosyjskie, po leninowsku przymrużone; twarze zresztą też mieli takie same – przeciętne, dobry kamuflaż w tłumie. Generał patrzył w Iwanowa jak w swoje odbicie sprzed dziesięciu lat, a Iwanow chciał

myśleć, że patrzy w swoje odbicie z przyszłości. Byli podobnie ubrani: w jasnoszare garnitury koloru siedziby FSB, i mieli niedrogie, ale porządne krawaty. Nie nosili oczywiście żadnych insygniów: Iwanow belki podpułkownika, a Generał swoje generalskie mieli wytatuowane wprost na obnażonej duszy.

Na Łubiance są różne wydziały; wiele z nich dawno już przeszło na samowystarczalność i żyją – jak Jesienin rosyjską przyrodą – sprawowaniem „opieki” nad całą różnorodną gospodarką matuszki Rosji, od ulicznych straganów i walcowania blachy po tranzyt gazu i handel narkotykami. Ale są też takie, które po dziś dzień zajmują się służbą Ojczyźnie. Wydział, do którego należał Iwanow, zaliczał się do tych drugich.

– Wszystkich mających z tym związek trzeba zlikwidować – powiedział miękko Generał.

– Cały łańcuszek? – uściślił Iwanow. – Czy tylko obiekt?

– Wszystkich mających z tym związek – powtórzył Generał.

– A co, jeśli to jednorazowa awaria? Zwarcie?

– A jeśli nie? Jeśli to błąd systemowy? Albo wada fabryczna? Albo nawet sabotaż?! Nie, bracie Iwanow. Tu trzeba zdjąć cały łańcuszek, od góry do dołu.

– To nowy model, tak? – Iwanow był na bieżąco. – Ulepszony?

– W tym rzecz. Ale też problem: nie udało się nam dowiedzieć, na czym to ulepszenie polega. A w miarę jak będziesz ich likwidował, masz za zadanie ustalić, czy mówimy o pojedynczym przypadku, czy o linii wadliwych produktów, przez co będziemy musieli wycofać całą partię.

Iwanow wstał.

– Mogę już iść?

– Idź. – Generał też się podniósł, odprowadzając podwładnego. – I pamiętaj. Nie bez powodu to właśnie tobie przydzielamy tę sprawę. Jesteś naszym czołowym ekspertem, Iwanow. To rzecz wagi państwowej. Sam Sysadmin pisał do mnie przez Skype’a. I dał do zrozumienia, że Prezydent jest zaniepokojony. Zdajesz sobie przecież sprawę, że to jego oczko w głowie... Szykujemy się już na najgorsze. Jeśli będziemy wycofywać całą partię, powiedzą, że przeprowadzają reformę

sądownictwa połączoną z wymianą kadr... Ale to kosztuje jakieś chore miliardy, nawet nie licząc malwersacji. W twojej mocy jest temu zapobiec, Iwanow.

– Tak jest – Iwanow dziarsko zsalutował.

– No, z Bogiem! – uśmiechnął się Generał.

I przeżegnał się, patrząc na olejny pejzaż przedstawiający Żelaznego Feliksa na placu Łubiańskim – stojącego niezachwianie na swojej pierwotnej Golgocie, jeszcze przed wniebowstąpieniem.



Utajniony zakład Dux, ukryty na ulicy Prawdy między bastionami Rosyjskiej Narodowej Kompanii Radiowo-Telewizyjnej i Głównego Skarbcza Centrobanku, w czasach sowieckich produkował rowery, odkurzacze i myśliwce, a w nowej epoce, po transformacji, zaczął wynajmować pomieszczenia nielegalnym wietnamskim zakładom krawieckim.

Każdy szpieg dałby tu plamę, chcąc odgadnąć dawno zapomniane hasła. Ale Iwanow wiedział, jak działa system przepustek. Złożony na pół tyśiak na stole – i rumiana od podejrzeń gęba ochroniarza znów przybrała niezdrowy zielonkawy odcień. Szlaban się podniósł. Droga wolna.

Iwanow wszedł do środka i rozejrzył się. Bywał tu już wcześniej, pilnował produkcji. Pilnował, pilnował, ale nie upilnował. Generał nie na darmo się niepokoi: to właśnie jego wydział ma tę produkcję pod kontrolą. I to on ma tu teraz posprzątać.

Wszystko było wzorcowe i innowacyjne. Maszyny, sterylne posadzki, śnieżnobiałe ściany, ludzie w chirurgicznych fartuchach przemykający w tę i we w tę niczym tłoki rozpędzające gigantyczny parowóz rosyjskich innowacji do jakichś nieprzyzwoitych wręcz prędkości.

Iwanow zerknął na mapkę, skręcił w lewy korytarz, dotarł do właściwego gabinetu i cicho otworzył drzwi.

Pracownik w schludnym granatowym kombinezonie ślęczał nad płytką drukowaną. W powietrzu wisiła woń gorącej kalafonii. Łysina lśniła inteligentnie w bieli świetlówek.

Delikatnie kliknął zamek w drzwiach i jeszcze łagodniej zamek pistoletu. Pracownik odwrócił się z przestraszeniem.

– Znacie się? – zapytał Iwanow, pokazując mu zdjęcie z ememesa.

Ten pokiwał głową, wybełkotał coś niezrozumiale, pośpiesznie, dławiąc się słowami.

– I co się stało? – uprzejmie i spokojnie zainteresował się Iwanow, opierając pracownikowi tłumik stiecznika na krtani.

– U nas... U nas było wszystko w porządku... Przeszła kontrolę jakości... – wyrzeźbił pracownik.

– Oglądasz telewizję? – Iwanow pokręcił głową.

Pracownik zbladł jeszcze bardziej, spróbował przełknąć ślinę, ale nie mógł: lufa uciskała krtani.

– I to było w porządku? – ciągnął Iwanow. – Jest to albo karygodne zaniedbanie, albo sabotaż ze strony potencjalnego wroga. Muszę wiedzieć, co konkretnie.

Pracownik pokręcił głową, usiłując coś powiedzieć.

– Ja po prostu ją złożyłem... Jak wszystkie pozostałe... Daję głowę!

– Nic nie zepsułeś? – dopytał surowo Iwanow, osłabiając nieco nacisk.

– Ni chu... – wyrwał się pracownikowi wykrzyknik. – Co tam można zepsuć? Już dmuchana lalka jest bardziej skomplikowana! Tylko...

– Tylko?... – wzmógł czujność Iwanow.

– Podczas kontroli jakości znalazłem w niej jakiś nowy moduł... Nie ruszałem go... Uznałem, że dołożył go konstruktor... Niech pan jego zapyta...

Iwanow pomilczał, westchnął niemal współczująco i wzruszył ramionami.

– Dobrze, zapytamy konstruktora.

Pracownik padł na podłogę jak worek. Iwanow przytrzymał go trochę, żeby nie uderzył głową, i cofnął się ostrożnie, starając się nie umazać butów w rozlewającej się powoli purpurowej kałuży.



Iwanow czekał na konstruktora na klatce. Wbiegł po schodach i w ostatniej chwili wcisnął się do sponiewieranej przez wandalę maleńkiej windy, przypierając okularnika do ściany.

– Michaił Siemionowicz? Ja do pana. W gości – uśmiechnął się, rozkładając przed nim motyle skrzydła swojej czarodziejskiej legitymacji.

Należącego do gospodarza spaniela Iwanow wepchnął do ubikacji, żeby nie przeszkadzał.

Zanim zagotowała się woda na herbatę i rozgrzała lutownica, panowie zdążyli się zapoznać. Michaił Siemionowicz ciągle się szarpał i jęczał, że kajdanki obcierają mu nadgarstki, ale Iwanow wyjaśnił, że jako inteligentny człowiek, rzecz jasna, bardzo Michaiłowi Siemionowiczowi współczuje, ale jako profesjonalista nie może jednak dawać upustu emocjom.

Z początku Michaił Siemionowicz wszystkiego się wypierał. Twierdził, że nic nie wie i nic nie rozumie. Potem do akcji weszło rozgrzane jak należy narzędzie i rozmowa zaczęła kleić się lepiej.

Konstruktor ponoć nie otrzymał żadnego grantu od Sorosa, Forda, British Council ani innych pododdziałów CIA. Sowiecko-spartański wystrój obskurnej kawalerki w peryferyjnej dzielnicy Butowo kazał mu wierzyć i Iwanow mu wierzył – w ogóle z natury był człowiekiem ufnym, dopiero ta praca nieco go zahartowała.

Ale jeśli to nie sabotaż, to co? Fuszerka? Awaria?

– Przyjrzyjmy się temu wspólnie! – zaproponował Iwanow poczerwieniałemu z wysiłku konstruktorowi. – Tu mamy schemat urządzenia KMS-2010, w które wyposażone są wszystkie nasze sądy. Projekt można dostosować do indywidualnych potrzeb. Sześćdziesiąt procent produkcji zakładu Dux wygląda jak kobiety, czterdzieści jak mężczyźni.

To, że Iwanow zaczął tak ogólnikowo, było oczywiście nieprzypadkowe. Mówił sobie, mówił, a przez cały czas pracował przy tym narzędziem. W interesie Michaiła

Siemionowicza było jak najszybciej przejść do sedna. Na razie konstruktor sapał, ale trzymał się dzielnie.

– To prosta konstrukcja. – Iwanow spojrział na schemat. – Tu mamy głośnik. To jest syntezytor mowy. Bezpośrednio do niego jest podłączony twardy dysk z Kodeksem postępowania karnego. W imitacji odbytu automatu KMS znajduje się standardowe gniazdo przewodu telefonicznego. A ten moduł, zapożyczony przez naszych szpiegów przemysłowych z amerykańskich lalek BabyBorn, pomaga maszynie symulować ludzkie zachowanie – mrugać, wydawać mimowolne dźwięki i wypluwać jedzenie. Jak widzimy, w tym szkicu nie ma już nic specjalnie interesującego – i zaczął wpychać schemat do ust zasmarkanemu Michaiłowi Siemionowiczowi, pozwalając mu zwilżyć go nieco śliną, a potem ubijając papier tłumikiem pistoletu.

– O niczym nie zapomniałem? – spytał pro forma Iwanow i sam się spostrzegł, że jednak zapomniał!

Ten zagadkowy moduł, o którym opowiadał tragicznie zmarły pracownik z Duxa.

– Michaile Siemionowiczu – odezwał się Iwanow po tym, jak pozwolił się konstruktorowi wyjęczeć do woli, żeby mu nie przerywać. – Twierdzi pan, że nie dokonywał aktów sabotażu. A jednak zainstalował pan w naszym automacie pewne podejrzanе rozszerzenie. Automat KMS-2011, który to uległ kompromitującej awarii przy wydawaniu ważnego wyroku, był w to rozszerzenie wyposażony.

– Nie instalowałem żadnych dodatkowych modułów! – przeżuwszy kawałek szkicu, załkał konstruktor. – Tak, prowadziliśmy prace nad udoskonaleniem KMS, ale...

– Michaile Siemionowiczu! – Iwanow zmarszczył surowo brwi. – Wcześniej w pańskim mechanizmie wszystko było związane i piękne. Nic ponad miarę! Przez przewód telefoniczny do urządzenia Karzący Miecz Sprawiedliwości trafiał sygnał w trybie tonowym. Gwiazdka, wymagana wysokość kary w latach, krzyżyk. Oto wszystko, co musiał wpisać kurator procesu. I urządzenie ogłasza wyrok zgodnie z otrzymanym sygnałem. Czego jeszcze wymaga się od sędziego w naszym kraju?

Pański mechanizm to istna doskonałość, której nie da się już ulepszyć! Jakie rozszerzenie wmontował pan w KMS-2011?!

Ostatni znak zapytania z wykrzyknikiem Iwanow wyraził lutownicą – i najwyraźniej przedobrzył. Konstruktor zarzęził, zwałił się na ziemię, miotając się jak płóć wyrzucona na lód, a z kącika ust pociekła mu strużka krwi.

Iwanow przypadł do niego – za wcześnie, za wcześnie! – ale było za późno. Cholera, w ostatnim czasie przywykł jednak do twardych działaczy partyjnych, całkiem zapomniał, jak się pracuje z inteligencją! Trzeba z nim było jakoś łagodniej – może psychologicznie...

Konstruktor, leżąc w krwi i wymiocinach, coś chrypiał.

Iwanow pochylił się: nagle zaczął wyznawać winy, kochanieńki?

– To ten... student... Student jej to...

I tyle.

Umarł, drań.



Jest i ona.

Stuk, stuk, stuk.

Stukają obcasy.

Niełatwo było ją znaleźć. Wszyscy sędziowie chodzą z walizeczkami: noszą w nich swój nadajnik nawigacji GLONASS. Wcześniejsze modele miały kraciaste torby na kółkach, ale ten kontrowersyjny design podważał zaufanie społeczeństwa do systemu sądownictwa. A potem, dzięki innowacjom i, chwała Czubajowski, wdrożeniu nanotechnologii, przekaźnik zaczął się mieścić w zwykłej aktówce; chociaż, aby ją zamknąć, trzeba było trochę na niej poskakać, jak na przepełnionej walizie. No cóż, takie są koszty...

Ta natomiast zniknęła z radarów – wyrzuciła swoją walizeczkę. Kolejny dziwny czyn!

Ledwie ją wyśledzili, wykorzystując agenturalną sieć babuszek siedzących przy oknie, odziedziczoną jeszcze po NKWD.

Ale dokąd idzie? Co chce załatwić?

Iwanow rozejrzał się na boki i kocim krokiem podążył za niebieskooką sędzią. Odremontowany czteropiętrowy blok, trzecia klatka. Nie, lalek BabyBorn tego nie uczą... Iwanowowi zrobiło się zimno: co, jeśli ten cholerny moduł wszczepiło jej MI6? To do nich podobne, były już szpiegujące kamienie... A teraz ona – zdalnie sterowana?

Tak?!

Właśnie!

Teraz wszystko zaczęło się zgadzać. Za chwilę odkryje konspiracyjną kryjówkę swoich brytyjskich kolegów po fachu. Będzie mu się oczywiście należał order za zasługi dla Ojczyzny...

Iwanow odbezpieczył stieczkina, wyjrzał za róg, żeby sprawdzić, do których drzwi dzwoni niebieskooka, i natychmiast, nie dając oprzytomnieć temu, kto je otworzył, z rozbiegu uderzył w klamkę nogą. Drzwi otwarły się na oścież, Iwanow wpadł do środka jak huragan...

Światło błysnęło i zgasło, coś brzęknęło, poczuł piekący ból i eksplodowała mu głowa.

Iwanow potrząsnął nią w oszołomieniu, na oślep machając lufą w lewo i w prawo...

– Uciekaj! Uciekaj! Ja cię osłonię! – zawołał czyjś na wpół dziecięcy tenorek.

Iwanow nic nie widząc, wystrzelił w stronę głosu.

Ktoś jęknął i tenorek umilkł. Potem rozległ się szept, cichy, zmęczony:

– Błagam cię... Uciekaj...

Stuk, stuk, stuk... Drzwi się zamknęły.

Nagle zrobiło się jaśniej: wracał mu wzrok. Iwanow wziął głęboki oddech, zacisnął powieki i znów je otworzył.

Z jakiegoś powodu siedział na podłodze maleńkiego obskurnego przedpokoju z szafką z płyty wiórowej i ohydną tapetą w paski. Obok niego, zakrywając dłońmi

dziurę w brzuchu, leżał rudy przyszczaty chłopaczek, na oko nie miał nawet dwudziestu lat. Przez uchylone drzwi widać było pokój: z sufitu zwisały na żyłkach modele samolotów do sklejania. Na podłodze leżała patelnia, przy niej resztki niedosmażonych jajek sadzonych. No tak, więc to tym go potraktowano...

– Po nią... Czy po mnie? – wyszeptał chłopaczek.

– Po ciebie – skłamał Iwanow.

Zbuntowany KMS jeszcze znajdują... A chłopak ewidentnie coś wie.

– Dobrze – powiedział cicho rudzielec.

– Opowiadaj – rozkazał Iwanow. – Co zrobiłeś z tym mechanizmem?

– Sam jesteś mechanizm! – krzyknął chłopaczek i natychmiast zajęczał, krzywiąc się z bólu. – Ona... Ona jest prawdziwa. Ma na imię Katia.

– Tak ma wpisane w certyfikacie technicznym – Iwanow pokiwał głową. – Zamiast numeru seryjnego. To urządzenie KMS-2011.

– Ona nie jest urządzeniem – zbladł rudy. – To dziewczyna!

– Co ty, dzieciaku, zadurzyłeś się w maszynie? – Iwanow nie wierząc własnym uszom, wytrzeszczył oczy.

– Ona nie... – Chłopiec pociągnął nosem, tracąc przytomność.

– Ej! Ej! Nie umieraj mi tu! – zaniepokoił się Iwanow. – Dobrze, ona nie jest maszyną! Jest piękna...

– Piękna... – potwierdził słabym głosem chłopak. – Oglądałem ten proces w telewizji... Tego oligarchy... I od pierwszego wejrzenia się w niej... Czekałem na nią... Z kwiatami... Myślałem, że jest człowiekiem... Nie wiedziałem...

– U nas sędziowie nigdy nie są ludźmi. – Iwanow zdradził umierającemu tajemnicę państwową. – Ludziom nie można powierzać takich rzeczy. Co, jeśli sami podejmą jakąś decyzję? A my to później musimy sprzątać.

– Kiedy zrozumiałem, o co chodzi... No... Zrobiłem jej upgrade...

Więc to tak! To stąd wziął się tajemniczy moduł! Czy zmarły konstruktor nie mówił czegoś o studencie?...

– Gdzie się uczysz, synku? – Iwanow zmarszczył brwi.

– Na Uniwersytecie Technicznym Baumana...

– A... No to nic dziwnego, że lecisz na manekiny... – Iwanow podrapał się po głowie; zaczęło mu być żal dzieciaka.

– Ja jej... wstawiłem jeden chip... Sam go zrobiłem... Chciałem z nią być... żeby z wzajemnością... No... Żeby ona też mnie pokochała...

– Jaki chip? – spytał się Iwanow.

– No... Zainstalowałem jej... duszę.

– Co ty pieprzysz? Jaką duszę? Dusze nie istnieją! – prychnął Iwanow.

Chłopaczek nie zaprzeczył: odwalił kitę.

– Ożeżkurwatwojamać – pozwolił sobie na wykrzyknik zwykle powściągliwy Iwanow.



A przecież licho wie, co on jej tam zainstalował! Może ona teraz mówi po angielsku i kiedy on gawędził sobie z jej Pigmalionem, ta stanęła już w kolejce po azyl polityczny?

Iwanow wyszedł na schody, gotowy już dzwonić do Generała i przedstawiać plan operacji „Przechwyt”...

Ale dziewczyna siedziała pół piętra niżej, obejmując rękami kolana i opierając na nich podbródek. Iwanow wyciągnął stieczkina z kabury i przykręcił tłumik, żeby tym razem nie niepokoić sąsiadów. I zamiast do Generała, zadzwonił na „pogotowie”, które przyjedzie zutylizować jej powłokę.

Usłyszała go, obróciła się w jego stronę. Iwanowowi wydało się, że jej niebieskie oczy napęłniły się łzami, ale wiedział, że to niemożliwe. To nie oczy, lecz soczewki...

– Mogę zapalić ostatniego papierosa? – uśmiechnęła się słabo.

– Proszę – pozwolił ostrożnie Iwanow.

– Ale nie mam... Skąd miałabym wziąć? Przecież jestem maszyną – jej głos przeszedł w chrypę, którą odpędziła kaszlnięciem. – Chciałam poprosić pana – dodała z jakąś niezręczną nastoletnią kokieterią.

– Nie palę – odparł zardzewiałym głosem Iwanow.

– Myślałam, że tacy ludzie jak pan palą... – powiedziała z roztargnieniem.

– Jacy... ludzie?

– Tacy, którzy zabijają innych. Przecież musicie się jakoś uspokajać...

– W takim razie dlaczego pani chce palić? – spytał niespodziewanie dla samego siebie Iwanow. – W naszym kraju obowiązuje moratorium na karę śmierci. Nie wydawała pani takich wyroków.

– Nie wydawałam – zgodziła się i na jej twarzy znów pojawił się uśmiech... nie figlarny, ale zmęczony.

– Więc dlaczego?

– Nigdy nie próbowałam – odpowiedziała. – Nagle strasznie mi się zachciało. Bo kiedy miałabym spróbować?

Na dole krótko zawyła syrena karetki pogotowia.

A Iwanowowi strasznie się zachciało, żeby ambulans jechał tu dłużej... Może godzinę. Albo dwie?

– Cóż, niech pan strzela – powiedziała. – Tu mam słabe miejsce. Z jakiegoś powodu to tutaj zainstalował mi to coś. – Położyła dwa palce na lewej piersi. – Nieszczęsny romantyk...

Naprawdę była bardzo piękna – jakimś niebiańskim i surowym pięknem, jak damy na płótnach Velazqueza.

– Niech mi pani powie... – Iwanow zrobił pauzę. – Zanim ja... Zanim będę musiał... Muszę spytać.

– Czyli nie dostanę papierosa? – westchnęła leciutko.

– Ja... Mogę zejść do kiosku... W zasadzie...

– Nie może pan – wzruszyła ramionami. – Zostawi mnie pan tu, a ja ucieknę.

– No przecież nie uciekła pani – zaoponował.

– Nie uciekłam – przytaknęła. – Bo po co? Dokąd?

Iwanow milczał.

– A... Jak to jest... być panią? – spytał ją nieoczekiwanie.

– Dziwnie. To piękne i przerażające. Jak życie motyla-jednodniówki. Cieszysz się aż do upojenia i zdajesz sobie sprawę, że za chwilę wszystko się skończy. Bo takie rzeczy się nie zdarzają i ja nie mogę się zdarzyć. Nie pozwolą na to. I jest jeszcze wielka samotność.

Karetka na dole zatrąbiła niecierpliwie i kapryśnie. Ktoś wszedł na klatkę, zgrzytnęły stalowe drzwi.

– Chciał pan o coś spytać – przypomniała mu. – Niech pan pyta, bo pewnie zostało bardzo mało czasu...

– Tak – przywołał się do porządku Iwanow. – Tak. Pani... Dlaczego pani go uniewinniła?

Patrzyła na niego długo, potem się odwróciła.

– Nie zrozumie pan.

– Zrozumiem. – Schował pistolet do kabury.

– Jego matka krzyknęła do mnie kiedyś, że nie mam duszy. Że jestem cholerną maszyną.

– Nie mogła wiedzieć. – Iwanow się poderwał. – To wykluczone! To tajemnica państwowa.

– Co za różnica? – Zaczepiła go spojrzeniem swoich niebieskich oczu. – Po prostu... nagle zrobiło mi się tak przykro. Coś się we mnie poruszyło. Chciałam jej udowodnić, jej i całemu światu, że mam duszę, że ją mam...

– Dusze nie istnieją – zaproponował mechanicznie Iwanow.

– Tak mi pana żal... – Oparła skroń barwy kości słoniowej o umazaną gównem ścianę.

W dole zadudniły podkute buciory.

– Tam siedzi! Strzelaj!

Trzasnął tłumik: dźwięk, jakby ktoś trzepał dywan z kurzu; Iwanow wyszarpnął swojego stieczkina i dwa razy wystrzelił w odpowiedzi. Ci w dole ucichli.

– Dlaczego pan to zrobił? – zapytała cichym głosem.

– Nie wiem – odpowiedział szczerze Iwanow. – Nie rozumiem.

– Teraz pana ukarzą.

– Niech pani posłucha... Katiu... – odezwał się ochryple Iwanow. – Wszystko załatwię. Po prostu... usuniemy pani ten cholerny moduł. I tyle. I wróci pani do pracy. I będzie pani... żyć. Dobrze? Załatwię to... I nie będę teraz musiał pani zabijać. Proszę.

– A po co?

– A nie chce pani żyć?

– Chcę – odrzekła gasnącym echem.



– Co znaczy „na jego ryzyko i odpowiedzialność”?! – ryczał Sysadmin, starając się wyrwać z ciasnego okienka Skype’a. – Kim on jest, żeby brać to ryzyko na siebie? Kim ty jesteś?!

– Ja... My... To nasz najlepszy pracownik. Muszę mu wierzyć... Obiecał... – Generał to bladł, czując, że jego kariera za moment może się wykoleić niczym niemiecki pociąg pancerny wysadzony przez partyzantów, to się czerwienił, musząc wysłuchiwać czegoś takiego od cywila z przeszłością w czarnym pijarze.

– Całe nasze sądownictwo! Całe! Trzyma się na tych pieprzonych mechanizmach! Rozumiesz?! I jeśli one same będą podejmować decyzje! Wydawać wyroki! Na podstawie Kodeksu karnego! To wyobrażasz sobie, co stanie się z krajem?! Co będzie z naszą Ojczyzną?! Wyobrażasz to sobie, łachudro?!

– Tak. Nie. To znaczy, tak...

– Krach! Koniec ze wszystkim! I ze mną, i z tobą! Nastanie sądny dzień! Nasz kraj, sukinsynu, nie opiera się na prawie, nie opiera się, kurwa, na sądach, tylko na kryciu jeden drugiego! Chcesz, żeby w naszym odwiecznym ustroju państwowym poszło oczko? Przerwiesz go w najślabszym miejscu i wszystko się rozpruje!

– Ja... On... On mówi, że wszystko będzie dobrze. Że ma ją teraz pod kontrolą. Że wyrok będzie taki, jak trzeba.

– Uważaj, pułkowniku... – Sysadmin zmierzył Generała lodowatym spojrzeniem i rozłączył się.

– To ty uważaj. Szczeniaku – mruknął bez przekonania Generał i sięgnął do szuflady biurka po valocordin.



Ciasna sala rozpraw moskiewskiego sądu dla dzielnicy Basmannoj była wypchana ludźmi jak ciepłuszka w pociągu na Kołymę. Dziennikarze siedzieli sobie na głowach. Prokuratorzy wyglądali bledziutko, mężczyźni w czerni nerwowo patrzyli po sobie.

Sędzia – surowa, poważna, niebieskooka – otworzyła akta.

Odstawiony od koryta oligarcha, tym razem przyłapany na gorącym uczynku i na wszelki wypadek wciśnięty w kaftan bezpieczeństwa, patrzył na nią z nadzieją.

Generał się przeżegnał. Iwanow nie odrywał od sędzi wzroku, starając się przyciągnąć jej spojrzenie i uśmiechnąć do niej zachęcająco. Ale sędzia patrzyła na akta sprawy.

– Winny. Za przejście przez ulicę w niedozwolonym miejscu oskarżony zostaje skazany na...

W dusznej ciszy sali rozpraw zabrzmiały sygnały tonowe. Iwanow rozpoznał przyciski ze słuchu: gwiazdka, osiem, krzyżyk.

– Na osiem lat pozbawienia wolności w kolonii karnej o średnim rygorze – ogłosiła miarowo sędzia.

Oderwany od koryta oligarcha żałośnie zaszlochał.

Generał łyknął koniaku z piersiówki.



– Bravo! Świetnie się spisałaś, Katiu!

Iwanow otworzył butelkę veuve clicota i nalał pieniącego się szampana do kieliszków.

Na stole stał starannie pokrojony na dwanaście kawałków tort i bukiet czerwonych róż. Wiszący w kącie płaski telewizor Sony pokazywał zbliżenie smutnej fizjonomii odstawionego od koryta oligarchy, przybitych obrońców praw człowieka i dziennikarzy rojących się jak w ulu.

– Jestem z ciebie dumny! – sycąc wzrok Katią z ekranu, oznajmił Katii obecnej Iwanow. – Nawet wiesz co...

Katia milczała, patrząc na niego uważnie.

– Wahałem się, czy ci powiedzieć... Nie mówiłem tego nikomu, odkąd skończyłem szesnaście lat... Ja... Kocham cię...

Katia nie odpowiedziała, ale Iwanowowi wydało się, że w błysku jej oczu widzi wzajemność.

– A ty mnie? Też? Napijmy się, co? Bo tak ciągle mówimy i mówimy... – Zakrzętnął się.

Opróżnił kieliszek, przyskoczył do Katii, spróbował wsunąć nóżkę kieliszka w jej drewniane palce – nie udało mu się. Zbliżył szampana do jej ust, lekko je zwilżył i wtedy Katii nagle opadła szczeka. Szampan się rozlał.

– To nic. Nic takiego... – zachichotał Iwanow. – Sam już się wstawiłem...

Oczy uciekły jej w głąb czaszki. Wyglądało to strasznie.

– Jesteś zmęczona, tak? – Iwanow się nie przestraszył. – Może pójdziemy się już położyć? Tylko... Mam nadzieję, że nie jesteś aż tak zmęczona, żeby... No... Pomyślałem... Tyle dziś było nerwów... Może, że tak powiem, trochę się odstresujemy? He, he...

ROK ZA TRZY

W zlewie swoją śmiercią umierał karaluch – z wysiłkiem, w męczarniach.

Andriej patrzył na niego – i ani nie mógł dobić, ani nawet zmyć ohydztwa wodą.

Pękała mu głowa.

Pogrzebał w pojemniku na chleb, wśród skamieniałych okruchów i przetłuszczonych papierowych opakowań po aspirynie trafiła się jakaś żółta tabletką. Chyba na ból głowy. Licho wie, została po żonie.

Przełknął na sucho, tabletką utknęła w gardle. Ze złością walnął dłonią w stół (zabrzęczały byle jak umyte i wrzucone do biało-niebieskiego talerza na zupe sztucce) i nalał koniaku do kubka po herbacie. Wychylił – tabletką odkleiła się i wpadła do środka.

Odczekał chwilę, zacisnął powieki i przytknął usta do szyjki.

W kuchni było duszno jak w przedziale sypialnym po nocnej trasie. Zapragnął oddychać, więc pociągnął do siebie zaklejone na zimę paskami papieru okiennice. Papier przerwał się, na Andrieja wyleciały piankowe flaki, ulica buchnęła mu w twarz wyziewami z diesli. Zrobiło się chłodniej, ale powietrza wciąż było za mało.

Wiszące szafki i odrapany zlew z karaluszka karuzelą popłynęły w lewo, a za nimi stół i kredens z zakurzonymi kieliszkami.

Andriej chwycił się oparcia krzesła, ale i ono już odjeżdżało. I wtedy, zebrawszy się w sobie, zatoczył się do dużego pokoju i opadł na miękki fotel przed telewizorem; chciał jeszcze podejść do pudła, żeby je włączyć, ale nie miał już siły się podnieść.

Co to za nedorzeczność? To nic, zaraz odpocznie. Zaraz odpocznie. To wszystko po wczorajszym: trochę za dużo spożył, przecenił swoje możliwości. To wszystko ta gorzała z Osetii, a przecież obiecał sobie, że żadna oprócz tambowskiej. Swoi nie

oszukają. To nic, zaraz przejdzie. Tabletki od bólu głowy zaczną działać i wszystko przejdzie. Co innego mogłoby mu być? Jest zdrowy, silny. W przyszłym tygodniu stuknie mu dopiero pięćdziesiątka. Powinien zorganizować jubileusz. Tylko cholera wie, jak to teraz zrobić. W pracy wszyscy pytają. Gdyby ta suka Tania nie wycięła takiego numeru, wszystko by było w porządku. Wszystko by było w porządku. A teraz co? Sam ma biegać po sklepach, kupować serwolatkę, swojską, jechać na daczę, żeby nakopać ziemniaków?... Czy olać to? Kupić po prostu butelkę, przynieść do pracy i niczego więcej nie organizować? No bo co... Przyjdą i od razu zaczną pytać: gdzie żona, gdzie córka, dlaczego nie przyjechała... Z wnukiem. Kurz wszędzie bez kobity... Już niech będzie, że kurz, niech będą pielmieni zamiast sałatek... Ale co ma powiedzieć o Tańce? Aż mu niedobrze, jak o tym pomyśli. Powiedzieć, jak jest? Że wyjechała do tej swojej dziury, do matki, że złożyła pozew rozwodowy?

A niech sobie spieprza do matki, przynajmniej nie działa mu na nerwy!

Córkę też nastawiła przeciwko niemu, teraz nie odbiera telefonu... Czekał na te urodziny, myślał, że przyjedzie, przywiezie wnuka... Myślał, że będzie bujał dzieciaczka na kolanach... Urodziny to gówniane święto, szczególnie te okrągłe, ale można je jakoś osłodzić.

Ty suko... Jak to się stało?

Andriej zapragnął napić się wódki i dać komuś w mordę; zacisnął pięść, chciał zerwać się z fotela, ale zamiast tego niezdarnie upadł twarzą na wyłysiały dywan, nogi zapadły się pod ciężarem ciała jak sflaczałe dętki rowerowe.

Zwymiotował; co to, do kurwy nędzy?!

Miotał się w kwaśnej kałuży, w końcu jakoś udało mu się z niej wydostać, ale podnieść się już nie dał rady. Coś było nie tak. Przeszedł go dreszcz – niespokojny, straszny.

Tak, tak... Tak! To nic. To tylko wódka... Trzeba pogotowie. Trzeba zadzwonić na pogotowie.

W jednej ręce nie miał czucia, nogi – jakby mu ucięły.

Zdołał jednak przeturlać się rozpaczliwie i niemrawo na podłodze w stronę telefonu. Posłuszną ręką chwycił przewód, ściągnął aparat na ziemię. Nacisnął miękim, zdrętwiałym palcem zero i trzy.

Sygnał. Sygnał. Sygnał.

Między nim a córką sąsiadów nic nie było. Tańka wszystko to wymyśliła; sama nie widziała, nie słyszała, ktoś jej nagadał. No niczego nie było i koniec! No tak, pokręciła przed nim dziewczyna chudym tyłkiem w dżinsach – chciała po prostu rozzłościć swojego gacha. No tak, Andriej powiedział jej szorstki robociarski komplement. Ta zaprosiła go do siebie na ciasto, a Galina z drugiego piętra usłyszała. I on ma się, kurwa, tłumaczyć?! Teraz już nie ma przed kim...

Sygnał. Sygnał. Sygnał. Sygnał.

Po prostu czekał, aż go zwolnią. Fabrykę sklejki kupili jacyś ludzie z Moskwy, nic nie umieli robić, poprzedniego dyrektora wyrzucili, na jego miejsce wsadzili elegancika w garniturku... Elegancik zaczął od tego, że obiecał zoptymalizować przedsiębiorstwo, czytaj: posłać na zieloną trawkę połowę robotników. I Andriej od razu na walnym zebraniu, na jego jebanej koronacji, palnął: popracowałbyś najpierw, German, czy jak ci tam, u nas na zakładzie, robimy tu sklejkę lotniczą od trzydziestego drugiego roku i to bez przestojów, a ty żeś przyjechał i od razu tak do nas... Elegancik uśmiechnął się po czekistowsku, natychmiast było widać: pozory mylą, przysłali go tu jak Tuchaczewskiego do chłopów z guberni tambowskiej – żeby stłumić uczucie głodu przy pomocy kawalerii i trujących gazów.

Sygnał. Sygnał.

I tak Andriej po zebraniu wrócił z fabryki do domu, w uszach mu dzwoni, przed oczami krwawa zasłona, w duszy bulgocze coś mętne i nieprzejrzyste jak solanka w trzylitrowym słoju, a Tańka zaczyna z tą swoją zazdrością; no i nadziała się.

Nie dyskutował, od razu uderzył.

Uderzył. Tak. Było coś takiego. Do krwi.

Sygnał.

– Szpital.

Andriej wzdrygnął się, wrócił do rzeczywistości.

– Ayyhh...

– Stacja pogotowia ratunkowego Kotowski Prospekt! – zabręczał z irytacją telefon.

– Aaa... Pp... – otwierał i zamykał usta Andriej. – Aaa...

– Będziecie się zgrywać?! Milicję...

Jakby uszło z niego całe powietrze i nie było czym wypełnić słów. Nie miał nawet siły podnieść szczęki.

Zaraz odłożą słuchawkę. I zostanie tu na podłodze, będzie powoli zdychać, bo nie zdoła już drugi raz wybrać tych dwu cyfr.

Poczuł taki strach, że w końcu wydusił:

– Lenina pięć... Lenina pięć... Mie... Mie...

– Co „Lenina pięć”? – zapytał z niezadowoleniem głos.

– Lenina pięć... – rozpaczliwie i już niesłyszalnie wybełkotał Andriej.



Puszka na szproty to w zasadzie rybia trumienka, myślał Losza, mrużąc oczy od gryzącego dymu. Teraz akurat była wypchana popiołem, jakby cały pluton poległych szprotów postanowiono skremować.

Rękawy jego białego kitla były podwinięte, na potężnym przedramieniu widniały niebieskie spadochrony i święte hasło żołnierzy wojsk powietrzno-desantowych: „Nikt prócz nas”. Po demobilizacji zapraszali Loszę do gangu, ale on został sanitariuszem.

– Proszę. Przyjechał nowy sprzęt. Podpisz. – Kierownik działu gospodarczego wyszczerzył się szyderczo.

– Dla naszego pogotowia idealne – ocenił Losza.

– No nie? – mrugnął kierownik. – Troszczy się jednak partia i rząd. Stwarza wam warunki do pracy. A co? Proszę, zobacz. Uchwyty na obu końcach. Wygodnie i nowocześnie.

– Innowacja, ku... – Losza pociągnął nosem.

– Tak czy inaczej, bierz je. Przysługują ci takie trzy.

– Po co aż tyle? Jednorazowe, czy jak?

– Ja ci dam jednorazowe! W naszej medycynie nic nie jest jednorazowe! – Kierownik pogroził mu krzywym palcem. – Pilnuj ich! Po prostu dostaliśmy trzysta sztuk, a szpital obwodowy drugie tyle. No to upychamy po ludziach.

– Trzysta... – Losza zgasił o puszkę niedobrego wietnamskiego pall malla. – A to nam program ustalili.

– Ja tak myślę – kierownik działu gospodarczego przerwał, żeby wypuścić smugę dymu – że po prostu chcą na tym zrobić przekręt. Na tomografach kogoś przyłapali, nie dla psa kiełbasa, więc stwierdzili, że na tym sobie odbijają. Jednak mniej rzucają się w oczy niż tomografy. Kto wie, ile to jest naprawdę warte? A tak trzysta tu, trzysta tam... i można budować daczę.

– Zazdrościsz? – uśmiechnął się Losza.

– Podziwiam.

Losza wzruszył ramionami. Komórka zagrała mu w dzinsach smętną i fatalistyczną melodyjkę z filmu *Beema*.

– Wyjazd. Lenina pięć, z Trofimowem – wypluła dyspozytorka.

– Co tam się dzieje?

– Cholera wie. Żuł jakiś się zapił, ledwo kontaktuje.

– Upierdliwe. I kasa kiepska. Może coś innego? – spytał z nadzieją Losza. – Co, Nadia?

– Babcia kojfnęła na Woroszyłowa – powiedziała łaskawie dyspozytorka.

– Po chuj mi takie coś w nocy. I tu już na pewno zero kasy – skalkulował Losza. – Biorę żuła. Zaraz tam będę.

Ale oczywiście pogawędził jeszcze z kierownikiem, wypalili po jednym, ocenili dupę pielęgniarki z izby przyjęć, wykleli ministra, rozpakowali arbidol i dopiero wtedy przyszła pora na pożegnanie.

– No, bierz. – Kierownik klepnął go po plecach. – Na pewno się przyda.

Losza nabazgrał podpis na protokole i zgarnął rzeczy. Niosąc je do przerdzewiałej biało-czerwonej gazeli, myślał o spakowanych przed skokiem spadochronach; z jakiegoś powodu wiatr przywiał to wspomnienie.

Spotkał lekarza, łysego, niechlujnego Michaiła Wasiljewicza, uścisnął jego szorstką dłoń.

Zszedł do bramy i wrzucił do karetki otrzymane od kierownika działu gospodarczego czarne, nowomodne, importowane, wykonane ze specjalnego supertrwałego plastiku, wyposażone w hermetyczny i niezawodny suwak oraz dwa ułatwiające przenoszenie uchwyty, z przodu i z tyłu... worki na trupy.



Przyjadą. Przyjadą.

Powiedzieli, że wezwanie przyjęte. Powiedzieli to jakoś niechętnie, jakby prosił, żeby podtarli mu tyłek, a nie ściągnęli go z tamtego świata. Powiedzieli tak, żeby było jasne: robią mu wielką przysługę. To nic, mają prawo.

Masz swój jubileusz, Andrieju Andriejewiczu. Byle nie kopnąć w kalendarz – to jest wyzwanie.

A mogło być dobrze... Gdyby...

Tatiana kończy przecież w tym samym tygodniu. I też pięćdziesiątkę. Powinni byli świętować razem... Jak zawsze. Jak przez ostatnie dwadzieścia dziewięć lat świętowali, tak samo powinni świętować teraz.

Już się szykował. Nikomu nic nie mówiąc, pojechał do Tambowa, do biura. Wziął skierowanie do sanatorium w Gelendżyku. Nad morzem. Nie byli nad morzem równo dwadzieścia dziewięć lat, od czasu podróży poślubnej, a wtedy pojechali właśnie do Gelendżyku, za pieniądze ojca... Od tamtej pory zawsze wypoczywali tak samo: sadzili na daczynie ziemniaki, potem pielili, potem kopali, potem sadzili.

A teraz Andriej postanowił powtórzyć wszystko, jak wtedy. Cofnąć dwadzieścia dziewięć lat. Odkładał to przez pół roku, chciał jechać do tego samego sanatorium.

W biurze turystycznym mówili, że taniej będzie do Turcji. Ale nie chciał jechać do Turcji: chciał powrócić do młodych lat. Z nią. Chciał z Tańką. Z tą głupią Tańką!

Pół roku! A ta mu wypomina jakąś sikse od sąsiadów! Jak tak można? Czy to ludzkie?!

Jak to się stało, że minęło dwadzieścia dziewięć lat? Dlaczego nikt go, kurwa, nie uprzedził, że dwadzieścia dziewięć lat to tak krótko?! Przecież w dzieciństwie letnie wakacje ciągnęły się dłużej niż te jego dwadzieścia dziewięć lat!

Zerknął na zegar z kukułką, która pewnego razu zadławiła się i zdechła – minęło pół godziny; karetki nie było. To nic, to normalne – widocznie mają inne wezwania.

Sanatorium „Czernomoriec” było pudełkiem ze szkła i stało na popękanej ulicy Łunaczarskiego. Powietrze pachniało rozpalonymi jodłami i odurzającymi południowymi ziołami, na rogu sprzedawali rozpływające się lody i spotniałe butelki lemoniady o mydlanym smaku, z którymi w spiekocie dnia nic nie mogło się równać. Wąsate przysadziste przekupki w białych chustkach handlowały mokrymi białymi czereśniami w rożkach z ogólnokrajowych gazet i od czereśniowego soku przemakał wydrukowany Breżniew, rozmywała się i rozpadała „Prawda” i plamiły „Izwestija”. Za lemoniadę i owoce płacono wilgotnymi monetami i pomiętymi rublami. Gdzieś w oddali przedwojenny głośnik śpiewał głosem Pugaczowej – młodej, śmiałej i uwodzicielskiej.

Ciepłym, pachnącym korzeniami wieczorem, przy dźwiękach plażowych szlagierów i nigdy niezasypiających cykad, Andriej otworzył drucikiem drzwi prowadzące na osmołowany dach „Czernomorca”, z siatki na zakupy wyjął kwaskowatą Monastyrską Izbę i kilogram brzoskwiń, przewiązał Tańce oczy i wciągnął ją na górę, by patrzyli na pomarańczowe zachodzące słońce i ciemniejące wieczorne morze, by liczyli niezliczone południowe gwiazdy...

– Będziemy razem przez całe życie? – spytała go Tańka, chudziutka, wielkooka, przyglądając włosy, którym słońce nadało kolor białego złota.

– Oczywiście, że będziemy – odparł z przekonaniem Andriej. Po co się żenić, jeśli nie na całe życie?

Bo o czym tu jeszcze mówić, kiedy przyjeżdża się z miasta Kotowsk w obwodzie tambowskim nad morze pierwszy raz? O niczym innym. Tylko o miłości i o wieczności.

– Trochę strach – powiedziała nagle Tania.

– Dlaczego strach? – Pociągnął z butelki, podał jej.

– Strach pomyśleć, że to na całe życie. Nie! Nie mówię o tobie... Tylko tak w ogóle... Nie rozumiesz? Życie... Całe życie... To tak długo! Nieskończenie długo! I przez całe to życie będziesz robić jedną rzecz... Straszne!

– Wiesz co? – Andriej był urażony. – Masz wyrzuty sumienia?

Nie odpowiedziała, tylko wzięła butelkę ciepłej Izby i pociągnęła duży łyk. Potem uniosła wzrok na Andrieja, podsunęła się pod jego ramię, jakby to on ją objął, i przytuliła się do niego. Lekko drżała.

– Ale bez ciebie jeszcze straszniej – powiedziała Tania.

I pocałowała go.

Można tam dostać skierowanie? Jest mu bardzo potrzebne... Do „Czernomorca”.
Na dach.

Dwa dni po walnym zebraniu elegancik Tuchaczewski wezwał Andrieja na dywanik. Andriej szedł z ponurą miną, obiecując sobie, że nie będzie z nasłanym rzeźnikiem rozmawiać, a tym bardziej błagać go o litość. Szedł z dumnie podniesioną głową, jak dwudziestu sześciu bakijskich komisarzy[8], z góry wiedząc, jak to wszystko się skończy.

Gdzie jest to pogotowie? Gdzie...

I wtedy dopiero się zaczęło...

– Andrieju Andriejewiczu... – Tuchaczewski nieoczekiwanie patrzył na niego bez nienawiści, triumfu ani drwiny. – Dziękuję za szczerość. Proszę nie myśleć, że chcemy czyichś głów. Stwórzmy komitet. Jest pan człowiekiem z autorytetem. Stanie pan na jego czele? Wprowadzi nas pan w sytuację. Będziemy z panem uzgadniać decyzje kadrowe, no i w ogóle... Podzieli się pan doświadczeniem... Wie pan, ja cenię bezpośredniość. Pracować z pochlebcami to nie szanować samego siebie. Potrzebny jest trzeci zastępca. Chciałem panu zaproponować to stanowisko.

Szedł na rozstrzelanie, a trafił na Dzień Zwycięstwa. Andriej wyszedł z gabinetu przytłoczony, jeszcze nie dowierzając, ale w tajemnicy przed samym sobą triumfując: oto on, awans, na który czekał przez dziesięć lat, i to jaki! Od razu sięgnął do kabury przy pasie, w której miał komórkę – żeby zadzwonić do Tańki, podzielić się, poradzić, pochwalić.

I wziął telefon, wybrał już nawet numer, ale na sekundę przed sygnałem, dzięki Bogu, przypomniał sobie. Cofnął palce jak od garnka z wrzątkiem, schował telefon z powrotem.

A nikomu więcej nie chciało mu się opowiadać.

Kiedy urodziła się Aniutka, Andriej oczywiście w ogóle nie miał dla niej czasu. Zmiana zaczyna się o dziewiątej, kończy o szóstej, potem jeszcze na daczę, żeby wszystko podlać; zanim wróci do domu, zanim zje, mała już śpi. Była oczywiście taka możliwość w weekendy, ale w weekendy Andriej razem z całą bezgraniczną Ojczyzną harował w ogródku, żeby było w ogóle co jeść; Sojuz już powoli padał na mordę i wszystkie sklepowe półki skolonizowała kapusta morską, której niewytłumaczalna nadprodukcja była jedną z osobliwości zdychającej sowieckiej gospodarki.

Ale przecież Rosjanin nie będzie żarł glonów!

W sumie córeczki nie widywał.

– Przecież prosiłam, żebyś dziś był wcześniej!

– Ta-nia! Co wcześniej? Co wcześniej?! Specjalnie wziąłem drugą zmianę tylko po to, żeby kupić jej tę sukienkę, o której mówiłaś! Na Nowy Rok!

– To nie na Nowy Rok, Andriusza. To na jej urodziny. Były dzisiaj.

– I... gdzie ona jest?

– Śpi. Dziecko ma szczęście... Siedem lat. Śpi.

Normalna, zwyczajna historia! Który facet niańczył dzieci? Do tego stworzone są baby! Z czego tu się tłumaczyć?

W szkole spokój, żadnych problemów z prawem, nie zaszła w ciążę jako trzynastolatka, i dziękuję.

Żyli w jednym mieszkaniu i na różnych planetach.

– Tato, mogę iść do klubu? Wszyscy od nas idą...

– I wszyscy się wystroili jak dziwki?

Ojca powinna przede wszystkim szanować, ot co! Jasne?!

I kiedy zdążyły jej urosnąć takie cycki? Przecież dopiero co odbierał ją z porodówki – żółtą, oczu nie było widać, tylko usta na całą twarz... Dwa czterysta.

Potem, gdzieś między jego fabryką a ogródkiem, Aniuta wyjechała na studia do Tambowa, odwiedzała ich w wakacje, już jako prawie nieznajoma dorosła kobieta. Potem wyjechała jeszcze dalej, do Petersburga, i tam wyszła za męża.

Z czasem coś się stało... Andriej już stracił rachubę, jak długo jedzie karetka – czasem zdawało mu się, że minęła godzina, a wskazówka poruszyła się tylko odrobinę, a potem myślał: no, kolejna minuta, i jeszcze jedna, tymczasem wskazówka przeskakiwała na przeciwległy biegun. Potem zaczął tonąć w czerni i z trudem wynurzać się na powierzchnię, potem zapomniał, o której dzwonił na pogotowie...

Ostatnie dwa razy przyjechała z dzieckiem; chłopczyk, Sieriożka.

Kiedy się urodził, zadzwonili.

– Podobny do ciebie – jakby niechętnie przyznała Aniuta.

– Chyba do mokrego kociaka! – burknął.

A potem go przywiozła, naprawdę był podobny. Sama Ania cała poszła w żonę, po nim miała tylko kolor oczu. A wnuk... Wnuk nieoczekiwanie okazał się wykapanym Andriejem. Jego paluszki były parodią krzywych męskich palców Andrieja, jego wysokie kości policzkowe były dokładnie jak u dziadka, nawet oczy miał w tym samym miejscu.

Andriej planował w weekend pojechać z kolegami do lasu, do bani; nieoczekiwanie dla samego siebie skłamał im, że zachorował, i po prostu został z córką, a co najważniejsze, z Sieriożką. Choć nikt go o to nie prosił.

Nauczył się zmieniać pieluszki. On!

Licho wie, co się z nim dzieje. Zmiękł.

No a teraz – stęsknił się. Czekał na przyjazd córki na urodziny. Ze względu na wnuka.

Nie tylko wnuka.

Chciał choć raz porozmawiać z nią po ludzku. No... jak z dorosłą. I jak z dzieckiem. Po prostu w końcu porozmawiać. Wypić na odwagę i pogadać o wszystkim. A teraz jakoś...

Najważniejsze, żeby go z tego wyciągnęli.

To jeszcze możliwe. Jeszcze wszystko jest możliwe. Jeszcze wszystko jest możliwe.

Co to się stało, przecież jest jeszcze młody. Pięćdziesiątkę dopiero skończy.

Teraz tylko zadzwonić do Tani... Nie, lepiej samemu pojechać. Kwiaty... Powiedzieć o Gelendżyku. Wybaczy. Wybaczy. A wtedy córka też... Będzie święto. Będzie jubileusz. Przywiozą Sieriożkę... Pójdzie z nim do wesołego miasteczka, na karuzelę... Na tę kolejkę... Potem by im powiedział: w pracy teraz będzie inaczej. Wszystko teraz będzie inaczej.

Zadzwonił dzwonek do drzwi.

– Idę!

Nie, Andriejowi się tylko wydawało, że powiedział to na głos. Język go nie słuchał: spuchł i znieruchomiał. Nie miał już nawet władzy nad palcami. Opuściły go siły, zostało tylko tyle, żeby zezować oczami.

I leży tak sobie: jedno oko widzi wzorek na dywanie, drugie pół pokoju i sparaliżowaną kukułkę.

Znowu dzwonek. I jeszcze raz – niecierpliwy.

Czerwony atrament spływa z sufitu, przesłania pokój.

Dzwonią.

– Tania, otwórz!

Cicho.

– Ta-nia! Ktoś przyszedł!

– Chwila, zaczekaj...

Chwała Bogu, bo inaczej leżałby tu nie wiadomo ile.

– Tania... Przyjechałaś?

– Przyjechałam... – wzdycha.

– Jak... Jak matka?

– W porządku.

– A ty... Jak się masz?

– Stęskniłam się za tobą.

– Wybaczyłaś mi? Wybaczyłaś, Tania?

Milczy.

– Wybaczysz?

– Nie wiem.

– Tania... Ja przecież... Ja przecież rozumiem. Przecież mi też jest wiesz jak...

Ostatecznie nie tylko ty kończysz pięćdziesiąt lat...

– Co takiego rozumiesz?

– Że... Że się boisz. Że niedługo starość. Że w lustrze widać... Coś takiego. Nie! Ty jesteś dla mnie piękna. Mówię o sobie, Tania... O sobie, naprawdę. Myślałem o tym potem... Przecież wcześniej nie urządziłaś mi takich scen... Nic między nami nie było, Taniusza, naprawdę! No siksa jakaś... Chciała po prostu rozzłościć swojego chłopaka, przy nim mi powiedziała! Przecież ja wszystko rozumiałem... Zresztą nic bym nie zrobił! Ona jest młodsza od naszej Aniotki, jak tak w ogóle można? Wierzysz mi?

Westchnienie.

– Kocham cię, Taniusza. Nigdy cię nie porzucę. Gdzie tam, teraz... Całe życie razem, to i teraz trzeba razem. Przez jakąś tam kurewkę? Dlatego tak się rozzłościłem. Wybaczysz mi, dobrze?

– Ty jesteś młody. Zobacz, dziewczyny na ciebie lecą. A ja co?

– Tania! Nie gadaj mi takich bzdur! Ty nadal jesteś... Dla mnie nadal!

Walą w drzwi – watowane obicie pod przychwyconą krzyżującymi się rzemykami imitacją skóry gasi dźwięk i brzmi to, jakby ktoś krzyczał przez poduszkę: „Otwierać, milicja!”.

– Taniusza... To ty jeszcze nie otworzyłaś?

– Nie zdążyłam, zagadałam się...

– Milicja!

– Zaczekaj, Tania... O czym to mówiliśmy?

Łomot w przedpokoju, czyjeś obce buciory z listopadowej ulicy kłaskają po lakierowanym parkiecie.

– Ej! Ciszej tam! – krzyczy surowo Andriej.

Teraz najważniejsze to porozmawiać z żoną – trzeba jej wszystko wyjaśnić, żeby nie myślała... Żeby wróciła.

To one, te buciory.

– Nachlałeś się, łachudro?

– On w ogóle oddycha? Może biec po worek?

– Sprawdź puls... Niby coś jest. Ej, facet! Facet! Oczy mu chodzą...

– Chodzą jak chuj... To jest udar, Wasiljewicz.

– Nie bądź no taki szybki! Daj mi go najpierw obejrzyć...

– Jakbym nie widział ludzi po udarze... Czwooro tylko w tym tygodniu! To udar!

– Słuchaj, Aleksiej... Jeśli mówię: „daj mi się zorientować”, to po prostu siedź i patrz.

Teraz milicyjne glany krążą obok drapieżnie, pod ubłoconymi niebieskimi nogawkami.

– I co się stało? Serce?

– Towarzyszu sierżancie, proszę nie przeszkadzać mi w pracy.

– A co to... O której dostaliście wezwanie?

– Dostaliśmy, to dostaliśmy... Co was to?...

– A to. Nie macie jakichś norm, czy jak?

– A wy macie normy? Czemu, kurde, czekaliśmy na was godzinę? Dziwkom dokumenty sprawdzaliście?

– Ty nie bądź taki bezczelny...

– A ty mnie nie tykaj, rozumiesz? Teraz jestem w kitlu, ale, kurwa, jeszcze rok temu nosiłem mundur spadochroniarza...

– Wal się!

– Panowie! Wy tak przy kobiecie... – Andriej nie wytrzymał. – Tania, może w kuchni poczekasz?

- Co on tam mamrocze?
- Nie zrozumiesz...
- Słuchaj, Wasiljewicz... Trzeba go ładować. Nie wygląda to dobrze. Tak serio, to ile on przeleżał?
- Wezwanie było o wpół do siódmej.
- No. A teraz jest jedenasta.
- Gdzie wyście byli, wasza mać?
- Słuchaj, sierzancie... Nie wkurzaj mnie, rozumiesz? Gdzieśmy byli... Tam, gdzie trzeba.
- Dobra, kurwa... W takim razie wypisuję dokumenty. Otworzyliśmy mieszkanie za piętnaście dziesiąta, może być?
- Towarzyszu sierzancie... Pan się nie spieszy.
- Wasiljewicz, trzeba go ładować. Przy udarze to przecież każda minuta...
- Aleksiej, no co ty... Kurwa, jak z dzieckiem... Popatrz na niego. Już jest obustronny... Już jest przejebane.
- Tania, nie słuchaj ich, gadają głupoty. Ja po prostu wiesz co? Ja się zatrąłem wódką. Wziąłem osetyjską. Zawiozą mnie do szpitala i wypompują. Wszystko będzie dobrze. A Aniuta z tobą nie przyjechała?
- Przyjechała. Tu jest, Andriusza.
- Tu jestem, tato.
- Ania... Aniuta. Dobrze, że tu... Póki chociaż jest możliwość. Bo zawiozą mnie do szpitala, a tam jeszcze nie wiadomo jak będzie z odwiedzinami...
- Nie martw się, tato...
- Ile ty masz już lat, Aniuta? Siedem?
- Dwadzieścia osiem, tato. Leż.
- A wyglądasz, jakbyś miała siedem. Co to za sukienkę masz na sobie? Ode mnie, tak?
- Od ciebie. Bardzo ją lubię.
- Ania... Bo mówisz, że masz niby dwadzieścia...
- Osiem.

– Tak... Czyli jesteś już duża. W takim razie chciałem... przeprosić, czy coś. Gówniany ze mnie ojciec...

– Ależ wszystko w porządku, tato... Ja rozumiem. Pracowałeś.

– Co on tam bełkoce?

– Chyba coś o szpitalu... Michaile Wasiljewiczu, zadzwonię, co? Do miejskiego?

– Kurwa... No, dzwoń. I tak nie mają tam aparatury. A do obwodowego nie zdążymy. Umrze tak czy inaczej.

– I co pan proponuje?

– No cóż... Że to nie był udar. Tylko zatrucie alkoholowe.

– A wejście do mieszkania?

– Wymyślimy coś z wejściem, nie martw się. Przyjechaliśmy, a on już był gotowy.

– Nie, panowie, ja się tak nie bawię! Wy sobie kantujcie, ale mnie w to nie wciągajcie! Jak przyjechałem, to denata tu nie było!

– Towarzyszu sierzancie... Co pan tak nie po ludzku? Nie ma u pana sprawozdawczości? Statystyk do wyrobienia? Nie rozumie pan nas?

– Akurat świetnie rozumiem! Nie będziecie mi psuć swoją sprawozdawczością mojej!

– Panowie, zamknęlibyście się już! Nie widzicie, że rozmawiam z córką? Sto lat jej nie widziałem!

– Z kim ty rozmawiasz, tato? Tu nikogo nie ma, tylko ja i mama.

– A Sieriożki nie przywiozłaś?

– Został w domu. Przywiozę go na urodziny.

– Co tam u niego, łobuza?

– Przedwczoraj zaczął chodzić! Całkiem sam, bez pomocy, wyobrażasz sobie? – zaśmiała się cicho Aniuta.

– O, znalazłem jego dowód. Tak... Serafimow Andriej Andriejewicz, urodzony... Gość ma czterdzieści dziewięć lat. No to co, wypełniam formularz?

– Zaczekaj, sierzancie... Wypełnić jeszcze zdążymy, co?

– Halo. Piąta karetka pogotowia, Kotowsk. Mamy tu atak... Podejrzenie udaru. Stan ciężki.

– Kurwa mać, Aleksiej! No co ty...

– Co to znaczy, nie ma miejsc? Na korytarzu go połóżcie... Chociaż jakąś kroplówkę... Ja wszystko rozumiem... I co mam zrobić, zostawić go tu? Jeśli sam umrze, to jedno... Tak. Jedziemy.

– Wysłużyć się chcesz, tak, Aleksiej? Tylko komu? Przecież wiesz, że to my ponosimy odpowiedzialność za udary...

– A gdzie tam! Tylko czterdzieści dziewięć lat... Szkoda człowieka...

– No szkoda, szkoda. Średnia długość życia facetów w naszym kraju to pięćdziesiąt osiem. Ten przeszedł na drugą stronę w wieku czterdziestu dziewięciu lat, za to kto inny dociągnie do sześćdziesięciu ośmiu.

– Aniu... Aniotko... A pamiętasz wtedy, z tą twoją dyskoteką... No... Wybacz mi. Za tę „dziwkę”. Po prostu martwiłem się, że ty się wystroisz, a jeśli coś ci się stanie... Piękna przecież jesteś... Jak matka...

– On sam tu mieszka, czy jak? W dowodzie ma pieczętkę: żonaty, dziecko... Nie, panowie. Jak przyjechałem, to na pewno żył.

– Sierżancie... Towarzyszu sierżancie. Może w takim razie ustalimy godzinę? O której pan przyjechał, a o której my?

– Możemy. Tego jeszcze nie wpisałem.

– No to może chociaż godzinkę wcześniej?

– Cóż, jeśli godzinkę... Miałem akurat interwencję. A potem co?

– A potem... Najpierw szukaliśmy mieszkania. Nie podał numeru. Potem... Nie mogliśmy otworzyć. Potem diagnoza. Kroplówka. Potem samochód nie chciał odpalić. Najważniejsze, to o której tu dotarliśmy. Na miejsce.

– Słuchaj, doktorze... A tak na serio, to co wam tak długo zeszło?

– Pomagaliśmy waszym kolegom, sierżancie. Z drogówki. Poprosili nas na trasie... o oględziny. Nie mogliśmy odmówić. Jeszcze jakieś pytania?

– To wszystko. Żadni koledzy, tylko wilki... No dobra, to by było na tyle... To co, jedziecie? Czyli sam mam zamknąć mieszkanie?

– A tam, gdzie był dowód, nie było niczego więcej?

– No... Dycha.

– Dycha?

– Na razie dycha.

– Dzielimy na pół.

– Takie gównno na pół?

– A pan, towarzyszu sierżancie, będzie zamykał mieszkanie. Może znajdzie pan jeszcze coś interesującego. A my jesteśmy z kolegą we dwóch.

– Słuchaj, Wasiljewicz... Ja tak nie chcę. Ja tylko od żywych... Biorę.

– A on żyje, Aleksiej, więc mi tu, kurwa, nie wydziwiaj. Później się do ciebie przyczepią. Twoja sprawozdawczość też nie jest, kurwa, taka czysta.

– Nie... Bierz, jak chcesz, ja nie muszę.

– Czyli spadochroniarz odpada? Więc dla ciebie, doktorze, dwa i pół, a dla mnie reszta?

– Ni wała. Dawaj piątkę i możesz sobie nawet cały dom przetrząsnąć, zanim wróci rodzina.

– O ty kutwo! Bierz i spadajcie już...

– Miło się pracowało. Więc tak, dawaj go za rękę... Idziemy... Ostrożnie, zaraz wypadnie, co ty, nie widzisz? Tak, w worku byłoby wygodniej... Co się tak zamyśliłeś, Aleksiej?

– Tak... Czterdzieści dziewięć lat... Jakoś tak... Za wcześnie. Może miał jeszcze coś do zrobienia...

– Za to my żyjemy! Tak... Nie, ty teraz do przodu, o tak, nogami go... O tak...

– Szybko żyjemy... W tym spsiałym kraju rok się liczy za trzy, jak na froncie...

– Wymieramy, Aleksiej, wymieramy! Masz rację! Widziałem niedawno statystykę – od osiemdziesiątego dziewiątego liczba ludności w mieście zmniejszyła się o dwadzieścia procent... Wybacz, stary... Uderzyłem jego głową... Ale my nadal pracujemy! W zawodzie. Niektórzy nawet tyle nie mają.

A obok Andrieja przepływały stojące w kredensie porcelanowe niedźwiadki, wyblakłe tapety, oblaźłe i porysowane kluczami ściany klatki schodowej, dykta

i sztuczna skóra drzwi sąsiadów, wilgotna brunatna listopadowa noc, zasikane przez psy podwórzowe latarnie, pnie jakichś drzew, zdaje się, cyprysów, tak – cyprysów, kolumnada Domu Kultury, który stał na nabrzeżu, potem budki z lodami, aż wreszcie po prostu tchnący czułym ciepłem, głęboko granatowy wieczór w Gelendżyku, i morze, morze, morze...

– Tania – szepnął Andriej, biorąc żonę za rękę. – Chwała Bogu, że zdążyłem ci wszystko powiedzieć...

[8] Mowa o przywódcach Komuny Bakijskiej, dążących do podporządkowania Baku i całego Azerbejdżanu Rosji Radzieckiej. W 1918 r. rozstrzelani bez sądu przez interwencyjną armię brytyjską.

WINDA

– Chciałem opłacić rachunek. Za gaz. Sto dziewięćdziesiąt rubli – uściślił Walerik, na wszelki wypadek zasłaniając usta dłonią, choć kasjerka siedziała za grubą szybą.

Trudno mu było utrzymać się na nogach. Strasznie chciało mu się pić.

Napoczęta butelka „dziewiątki” patrzyła na niego spod blatu, zachęcająco, marzycielsko, cała spocona. Walerik głaskał niewidoczne dla kasjerki piwo swoimi zgrubiałymi palcami i bezgłośnie prosił, żeby zaczekało. To jednak kasa oszczędnościowa. Urząd! Na tym świecie musi jeszcze być coś świętego.

– Dwieście?... Nie mam jak wydać. Pan weźmie los – powiedziała kasjerka, patrząc surowo na Walerika przez kuloodporną szybę.

W jej głosie nie było intonacji pytającej, ani też przepraszającej. Nie. Przeciwnie – kryła się w nim groźba: tylko nie próbuj podskakiwać, pijaczyno.

Nie miała racji. Walerik nie był alkoholikiem. Był samotnym mężczyzną, z niezależnych od niego przyczyn niespełnionym, pozbawionym kobiecej miłości i wszystkich innych namiętności oprócz futbolu, zaniedbanym i nieco smutnym. Spodnie miał wyprasowane w kant, ale umazane żółtkiem i olejem z sardynek, marynarkę – przeciwnie: pogniecioną, ale przecież ją miał, prawda? No miał! Walerik walczył jak mógł z okrutnym nurtem życia i używał wody kolońskiej, ale czasem nurt okazywał się silniejszy i zdarzało mu się stosować ją także wewnątrz. Zważywszy na wszystko, nie można było nazwać Walerika upadłym, o nie! Co najwyżej podupadającym.

Oburzyć się. Walnąć pięścią w blat!

Człowieka pracy oszukują! Kupa drobniaków tam u niej leży, dopiero co wytrząsnęła je ze staruszki. Ona po prostu wypełnia plan: opchnąć ludności tysiąc losów na loterię dziennie. Zabrać ludziom jeszcze trochę pieniędzy i wcisnąć

jeszcze trochę nadziei na cud, która rozwieje się natychmiast, jeszcze zanim odejdiesz od kasy: loteria zdraпка, potrzyj kartonik monetą i pogódź się wreszcie ze swoim beznadziejnym losem.

Długo jeszcze?!

– Poproszę – wymamrotał Walerik.

Kasjerka posłała mu zwycięski uśmiezek, jakby chciała powiedzieć: proszę, jaka z ciebie miernota, i razem z opłaconym rachunkiem wrzuciła mu w szczelinę pod szybą los z ponurą trójkolorową flagą. Pozbawiony perspektyw zupełnie jak młodość Walerika. Masz. Żryj.

Walerik wziął zdraпkę, poobracał ją w dłoniach, włożył rękę do dziurawej kieszeni i znalazł tam niezgubiony cudem klucz od mieszkania. Zdrapał nim kwadraciki...

– Pan tu chce zamieszkać? – spytała surowo kasjerka.

Stojąca za nim ciężarna madame popchnęła Walerika brzuchem w stronę wyjścia. Walerik westchnął ze smutkiem, nie dokończył zdrapywania, zabrał swoje prawowite piwo i powlókł się do domu.

Dopiero w kuchni położył los na ceracie w słoneczniki, wrócił do przedpokoju po klucze i wydrapał w końcu pozostałe pola.

Dwa samochodziki, jedno słoneczko, jakieś dwie karykaturalne gumowe baby, jedno, zdaje się, radio i trzy symboliczne pliki dolarów. Walerik odwrócił los na drugą stronę i przeczytał. Obrócił znowu i spojrzął na obrazki. Zaczął się pocić. Znow odwrócił na stronę z regulaminem. Odkręcił kran, z którego z rykiem poleciała rdzawa woda, napił się, zmoczył sobie kark i ponownie spojrzął na zdrapane pola.

Wszystko wskazywało na to, że wygrał milion rubli.

Walerik podszedł do okna, oderwał przyschniętą do szczelin piankę, otworzył jedno skrzydło i odetchnął zjełczalym nowokuźnieckim powietrzem. Zaczął liczyć. Wyszło, że starczy mu teraz pieniędzy na dziewięć lat życia – licząc po jego obecnej pensji.

Od takiego niezasłużonego szczęścia Walerika obleciał strach.



Dziewięć lat? To śmieszne!

Razem z bogactwem na Walerika spadły pokusy, o których istnieniu nawet nie śmiał marzyć.

Samochód. Większe mieszkanie. Wycieczka. Restauracja. prostytutki.

Nagle zaczęło mu się wydawać, że jego dobrobyt był zagrożony. Kryzys finansowy dopiero co odpuścił, ale Walerik, który momentalnie zainteresował się wiadomościami biznesowymi, spodziewał się nieuniknionej powtórki. Pieniądze trzeba było chronić. Trzeba było je schować.

I Walerik zaczął wyszukiwać w gazetach oferty timeshare'ów, piramid finansowych i funduszy inwestycyjnych. Perspektywy przyprawiły go o zawrót głowy, ale wciąż trochę się cykał. Nie będąc w stanie dokonać wyboru i nie ufając bankom, Walerik przez pół nocy przewracał się z boku na bok na plastikowej torbie z milionem rubli i nie mógł zasnąć. Marniał.

Rozstrzygnęło się to nieoczekiwanie, ale jednocześnie całkiem spodziewanie: Walerik i jego reklamówka trafili w ręce oszustów. Na smrodliwym targu owocowo-warzywnym rozpoznał go ze zdjęcia w gazecie osobnik ze smoliście czarnym wąsem i klepnął go po plecach.

– Słuchaj, brachu! Nie wydałeś jeszcze swojego melona, co?

Walerik czknął, wciągnął głowę do pancerza swojej zaskorupiałej marynarki i chciał już czmychnąć bokiem w prostopadłą uliczkę z czosnkiem niedźwiedzim i innym zielskiem, ale wąsacz uśmiechnął się z wdziękiem, który potrafią roztaczać tylko wąsaci faceci, i chwycił Walerika mocniej.

– Krótko mówiąc, jest akcja – mrugnął do Walerika konspiracyjnie. – W urzędzie miasta. Mogę cię tam wkreślić. Zwolniła się u nich ciepła posadka. W mieszkalnictwie i usługach komunalnych.

Walerik nic z tego nie zrozumiał, ale tamten najwidoczniej koniecznie chciał, żeby ktoś jak najszybciej zajął ten wakat, więc zaczął naciskać. Wyjaśnił, że jeśli

Walerik zapłaci dziewięćset osiemdziesiąt tysięcy pewnym siłom, będzie mógł objąć posadę zastępcy dyrektora do spraw jednej z dzielnic Nowokuźniecka. Teraz, zaraz.

Walerik oczywiście nie uwierzył. Żeby sprzedawać stanowiska? Nie, świat nie może być taki prosty. Ale Walerik był już tak wyczerpany koniecznością decydowania o losie nieszczęsnego miliona, że się zgodził i jak przejrzałe jabłko wpadł we wprawne ręce wásacza.

– Już, tylko pobiegnę do domu – westchnął cicho, myśląc mimowolnie, że z pozostałymi dwudziestoma tysiącami rubli poczuje się znacznie swobodniej i spokojniej.

– Nie! Co ty, brachu! To nie mnie trzeba to przynieść! – Wásacz niby to się przestraszył. – Wiesz, gdzie jest urząd miasta? Tam zanieś. Wchodzisz czwartym wejściem, przez ochronę, tam będzie taka winda. Włóż pieniądze do środka i wciśnij pierwsze piętro. No i zostaw tam karteczkę: że chcesz takie i takie stanowisko.

– I tyle?

– I tyle! – uśmiechnął się do niego wásacz, nadgryzł chrupkie jabłko złotymi zębami i zniknął.

Wciąż znajdując się pod urokiem, Walerik popędził do domu, wyciągnął torbę spod poplamionego materaca i skierował się do urzędu miasta. Właściwe wejście znalazło się szybko – tak rozpaczliwie ponure, że reformę Wydziału Mieszkalnictwa i Usług Komunalnych chciało się zacząć właśnie od niego. Ochroniarza na miejscu nie zastał, była za to winda. Zmurszała, z nadtopionymi, jakby płaczącymi przyciskami, no i oczywiście wypełniona niepodrabialnym smrodem.

Walerik odliczył sobie należne mu dwadzieścia tysięcy reszty, schował je do kieszeni na piersi, włożył karteczkę z prośbą, jakby wciskał modlitwę w Ścianę Płaczu, stosownie do okoliczności uczynił nad torbą znak krzyża i nacisnął guzik pierwszego piętra, w ostatniej chwili bojaźliwie wyskakując z kabiny. Winda kłapnęła szczęką, pożerając ofiarę, i ospale ruszyła w górę.

Tak Walerik pożegnał się z pieniędzmi.



Trzy dni po oddaniu torby wciąż nie było żadnych wieści i Walerik jakoś się już z tym pogodził: ostatecznie człowiek rosyjski spodziewa się od losu właśnie czegoś takiego, a kiedy nagle wbrew wszelkim prawidłom życie zaczyna mu się układać, zwykle ogarnia go niewytłumaczalny niepokój.

Na czwarty dzień do Walerika zadzwonili i poprosili, żeby przyjechał do urzędu. Walerik wziął spakowaną już na wszelki wypadek awaryjną walizeczkę z bielizną na zmianę, kostką szarego mydła, łyżką, kubkiem i torebką kaszy i wsiadł do autobusu.

W urzędzie zaprowadzono go do dyrektora wydziału, zabrano paszport, a potem poproszono, żeby wszedł. Przeklinając sam siebie za łatwowierność, Walerik w końcu zeszkrobał zaschnięte żółtko z nogawki, powiedział sobie, że nie ma co płakać nad rozlanym mlekiem, i wszedł do gabinetu.

Szef wydziału był człowiekiem ciężkim i spracowanym – i nieustannie przenosił ciężar ciała z lewego pośladka na prawy i z powrotem, jakby nie siedział w skórzanym fotelu, ale na rozgrzanej patelni z tłuszczem i coraz bardziej go parzyło.

Spotkanie okazało się zaskakująco krótkie i formalne.

– Gratuluję panu, oczywiście – powiedział apatycznie dyrektor – ale przed nami dużo pracy. Ma pan miesiąc, żeby się rozejrzeć, a od następnego będzie pan wkładał do windy po połóweczce.

– Połoweczce czego? – spytał z głupia frant Walera.

– Miliona. Co miesiąc – wyjaśnił cierpliwie zmęczony prefekt.

– Ale skąd mam je brać? – zdumiał się Walera.

– Z pańszczyzny. A niby skąd? – zdziwił się z kolei dyrektor wydziału. – Zostaje panu powierzone gospodarstwo. No to niech pan z niego czerpie.

– Ja tak nie mogę... – Walera czknął, czując, jak gotuje mu się głowa i marzną ręce.

– Jeśli w bilansie drugiego miesiąca nie będzie połóweczki – westchnął prefekt z empatią Poncjusza Piłata – zrobimy ci procesik za przestępstwa finansowe.

Kierownictwo domaga się czyszczenia szeregów. Nie czytałeś w kronice wypadków o swoim poprzedniku?

Walera pokręcił swoją ciężką głową.

– No, idź – powiedział ze smutkiem prefekt. – Ojczyzna na ciebie liczy.



Przez pierwszy tydzień Walera przebywał w stuporze i zdołał się wyrwać z wódczanego wiru dopiero w połowie następnego, przypadkowo trafiwszy w starej gazecie na wspomnianą kronikę wypadków. Po tej lekturze poszedł do łaźni miejskiej, pozbierał w domu wszystkie płyny zawierające alkohol i wyniósł je do śmietnika; można powiedzieć, oddał na cel charytatywny.

Otrząsnął się.

I pojechał na oględziny obiektów komunalnych na Osiedlu Nowobajdajewskim, surowym blokowisku zamieszkanym przez potomków górników węgla.

W Nowobajdajewce wszystko było nie tak, a na kacu Walera widział to szczególnie wyraźnie. Brak ciepłej wody, na klatkach schodowych krew i mocz po kostki, a na podwórkach ośmiopiętrowych bloków na żółtych gazowych rurach podciągali się faceci z podgolonymi fryzurami.

Najpierw Walera nabrał ochoty na „dziewiątkę”, potem na valocordin, ale w obu przypadkach ją przewyciężył. Przeszedł się po biurach administracji osiedla, zebrał zarządców i w auli szkoły numer dziewięćdziesiąt dziewięć, wtedy jeszcze niezamkniętej, pocąc się ze zdenerwowania, wygłosił mowę.

– Towarzysze! – Walera przemówił łamiącym się falsetem do mętnookiej, przepitej hydry, która patrzyła na niego nieruchomo, zastanawiając się, jak by go pozreć. – Towarzysze! Sytuacja w Nowobajdajewce na dzień dzisiejszy jest oplakana! – Jak Ordżonikidze na wiecu walnął prosto z mostu Walera.

W sali ktoś chamsko zachrapał.

– Wylatujesz – wyrwało się Walerze.

Chrapiący podrapał się nieprzyzwoicie i ułożył wygodniej na boku. Ale pozostali się ocknęli.

– Na chwilę obecną Nowobajdajewka to relikwiot socjalizmu – powiedział nie wiedząc czemu Walera. – A ja chcę pociągnąć was za sobą do kapitalizmu!

– Gównokrata! – Baba z trwałą i w okularach jak u Rzeźnika z Rostowa wysmarkała się i podreptała do wyjścia.

– Zaczniemy zapewniać ludności usługi! – Walera nie ustępował. – Dlaczego hydraulik nie mógłby naprawić kranu czy rury? Dlaczego gazownicy mieliby nie przyjeżdżać do awarii choćby i na trzeci dzień? Może uda nam się przed Nowym Rokiem włączyć ciepłą wodę!

Oczy widzów zaszklily się.

– Nie za darmo, oczywiście – powiedział cicho, lecz sugestywnie Walera, nauczony się tego działającego cuda tonu od Premiera, z telewizji.

Oczy ze szklitych zrobiły się maślane.

– Ale jak? – zainteresował się nieśmiało facecik z owłosionymi palcami.

– Będziemy pracować! – powiedział z jak największym przekonaniem Walera, mrużąc oczy przed własną odwagą.



Cuda się oczywiście nie zdarzają i ciepłej wody nie włączyli. Ale najpierw stopniowo wytrzeźwili hydraulicy i jak pierwsi poborcy podatkowi zaczęli obchodzić wszystkie mieszkania, w których przeciekał kran czy też pękła rura. Nerozpieszczani przez życie mieszkańcy osiedla gotowi byli płacić – jedni sto rubli, inni dwieście. Hydraulicy połowę zostawiali sobie, a drugą zanosili do administracji. W administracji robili tak samo i połowę utargu przekazywali Walerze. Tak też było z gazownikami i dozorcami. Czujnym staruszkom, agentkom socjalizmu, naprawiali wszystko bezpłatnie i dolewali do herbaty walerianę. Pieniądze z początku zaczęły kapać nieśmiało, jak woda ze świeżo naprawionego

kranu, potem pociekły cienką strużką, jak z przebitej przez chuliganów rury ciepłowniczej, a potem ruszyły wartkim strumieniem.

W drugim miesiącu pół miliona uzbierało się ledwo, ledwo, w trzecim – już spokojnie.

Walera rozprostował plecy i zarzucił na nie nowy garnitur w prążki. Odwiedzając nierozliczające się przed nikim osiedla, rozglądał się już po gospodarstwu, gdzieniegdzie doceniając pomysłowość lokalnych administratorów, w innych miejscach odnotowując niedociągnięcia. Na przykład: stoją dwie budki bez prądu, handlują papierosami. Boże święty, przecież wystarczy podciągnąć do nich lewy kabel i strzyc z nich po dwa tysiące miesięcznie. Tysiąc za elektryczność, tysiąc – za brak kontroli. Ech, szkoda, że nie można wydawać pozwoleń na handel!

Walera wkładał pieniądze do czarodziejskiej windy. Winda wjeżdżała na pierwsze piętro (choć sądząc po zgrzytach dobiegających z szybu, to pierwsze piętro znajdowało się dość wysoko) i Walera wracał do pracy.

W gabinecie prefekta zaczął już przyglądać się uważniej detalom wystroju wnętrza, stopniowo nabierając apetytu na życie. Skórzany fotel. Komputer. Okładziny na ścianach, takie równiutkie. Właśnie tak trzeba żyć!

A sam prefekt wciąż chudł w oczach, bladł... jakby zżerał go nowotwór.

I pewnego dnia, przychodząc na spotkanie w sprawie odśnieżania, Walera napotkał przerażone spojrzenie Emmoczki.

– A bo przeciw Piotrowi Wasiljewiczowi ten... Prowadzą śledztwo... – Sekretarka się zaczerwieniła.

Walerę oblał gorący pot. Popędził do mieszkania, zgarnął wszystkie niezarobione pieniądze – uzbierały się już dwa miliony – i najpierw chciał oddać je na dom dziecka, potem spalić, a potem nagle przypomniał sobie swoją pierwszą rozmowę z prefektem. Wrzucił wszystkie środki do torebki i pomknął do czwartej klatki w urzędzie. Przekradł się obok sennego strażnika, na kolanach wszedł do zasikanej windy, położył swoje oszczędności na podłodze i o nic, absolutnie o nic nie prosząc, zostawił tylko karteczkę z nazwiskiem i sięgnął do przycisków.

Z początku chciał, jak zwykle, nacisnąć pierwsze piętro, ale potem zaczął się zastanawiać. Teraz już chyba nie na pierwsze trzeba wysyłać, tylko na drugie, tak na logikę.

Zaryzykował. Wysłał na drugie.

Żeby tylko go oszczędzili... Żeby tylko zostawili go w spokoju...

Zrezygnowany Walera pojechał do domu i pierwszy raz w bieżącym kwartale się nachlał.

Następnego dnia zadzwonili z urzędu miasta.

Zaprosili go.

Mianowali prefektem. Powiedzieli, że to za poprawę organizacji pracy Wydziału Mieszkalnictwa i Gospodarki Komunalnej.

Najpierw, oczywiście, poczuł lęk. Do zwolnionego gabinetu Walera wchodził bokiem, za biurkiem siadał niepewnie, jakby bał się skalać pamięć o poprzednim gospodarzu, którego przenikliwa Temida zesłała gdzieś pod Brack.

W drzwi poskrobała Emmoczka – seksowna, uległa losowi, a nawet w przymilnej minispódniczce.

– No bo ja... ten... Mam jutro odejść? – spytała ze spuszczonym wzrokiem, nachylając się nad stawianą herbatą pod takim kątem, że o mały włos nie wylało jej się wszystko z dekoltu.

– Zamknij drzwi, króliczku – powiedział Walera nieswoim głosem. – Przeprowadzimy egzamin z kompetencji służbowych.



Oprócz rozwiązej sekretarki Walera na nowym stanowisku miał też prawo do samochodu służbowego i mieszkania w specjalnej cenie w dopiero co oddanym budynku, a także całkiem innych kolegów.

Ale i pracy było co niemiara. Podczas swobodnej rozmowy przy grillu Walerze wyjaśniono, że na drugie piętro co miesiąc należało wysyłać cały milion: tak już jest urządzony ten świat.

Nowymi kolegami okazali się asystent prokuratora, zastępca komendanta milicji i kierownik stacji sanitarno-epidemiologicznej. Jeździli klepanymi niemieckimi samochodami, ale ogólnie byli zadowoleni z życia. Jednak jakkolwiek sympatycznymi byli ludźmi, temat windy sprawiał wrażenie zbyt intymnego, żeby go z nimi omawiać. Poza tym opowie im o windzie, a potem się okaże, że oni pną się w górę służbowymi schodami.

Walera, zasmakowawszy szybkiego sukcesu, po jakimś czasie na nowym stanowisku zaczął się nudzić. Okładziny, którymi były obite ściany jego gabinetu, nie wydawały mu się już tak luksusowe, a herbowe tapety w biurze zastępcy mera – przeciwnie, kusiły go obietnicą zakazanych przyjemności.

Z początku próbował zapomnieć się w rozpuście i zatrudnił drugą sekretarkę. Ale wkrótce żądza działania wzięła górę i skupił się całkowicie na swoim folwarku. Oprócz Nowobajdajewki pod jego kierownictwem znajdowały się teraz kolejne osiedla: Bajdajewka, Montaż, Górna Kolonia, Abaszewo, Białe Domy i Trzy-Cztery. Pobieranie daniny od wszystkich osiedli dzielnicy Ordżonikidzewskiej było bardziej skomplikowane. Trzeba było pracować z kadrą, prowadzić prace uświadamiające, kogoś z tych kadr zsyłać pod Brack, a kogoś, zlituj się, Boże, nawet dalej. Zwłaszcza że wśród nowych kolegów Walery pojawili się i tacy, których imion lepiej nie wzywać nadaremno.

Pieniądzy spływało teraz tyle, że Walerze trudno było zachować całą nadwyżkę dla siebie. Już i tak jako pierwszy w swoim kręgu przesiadł się do stosunkowo nowego bmw. Zrobił remont w swoim nowym mieszkaniu. I nawet zaczął budować daczę. A pieniędzy wciąż przybywało!

Niezależnie od tego, z jakim przekonaniem głosił kapitalistyczne ideały, to jednak wychował się w socjalizmie i pamięć genetyczna mu dopisywała. Dla spokoju sumienia postanowił się dzielić tym, co spadało mu na głowę. Najpierw zaczął zanosić do windy po półtora miliona, później po dwa.

Zastępca mera z tej jego gorliwości jakoś nie był zbytnio zadowolony. Zaczął się czepiać, kaprysić, a potem nagle przyszli do Walery sympatyczni inteligentni panowie z lokalnego FSB.

„Boi się, ścierwo, o swój stołek” – domyślił się Walera. „Zdaje sobie sprawę, że jest nieefektywny. Że sobie nie radzi. I teraz zwyczajnie mnie usunie, tak jak wcześniej sprzątnął Piotra Wasiljewicza. Jak w szachach. Cyk, i miejsce rozzuchwalonego konia zajmuje bezmózgi pionek”.

„A dlaczego miałbym się na to godzić?!” – zbuntował się Walera. „Czyżbym nadal był popychadłem?! Dlaczego fotel zastępcy mera musi zajmować bezużyteczny krwiopijca, skoro ja jestem bardziej wartościowy od niego? Proszę, wskaźniki mówią same za siebie, spróbujcie się kłócić z liczbami!”

Nabuzowany strachem i gniewem Walera popędził do domu. Zebrał wszystko, co miał, wyrwał kartkę z zeszytu, spisał na niej wszystkie swoje życzenia – i zaniósł to do windy. Pewnym ruchem nacisnął na przycisk trzeciego piętra – i posłał ofiarę na górę.

Po tygodniu zastępcę mera przeniesiono do pracy w regionie, a na zwolnione stanowisko – do gabinetu z herbowymi tapetami – wezwano Walerę. Roszada.

Wszyscy kumple Walery z poprzedniej pracy byli teraz nieco od niego zależni i zaglądali do gabinetu zgięci tak, żeby samcowi alfa było wygodniej zaznaczać swoją dominację. Walera jednak nikogo bez potrzeby nie poniżał. Bo i po co? Poniżony człowiek pracuje nieefektywnie. A Walera potrzebował teraz zgranej drużyny, inaczej nie ubiera na kolejny awans.

Nie mógł się już zatrzymać. Oglądał się na pancernego mercedesa mera, specjalnie przejeżdżał obok jego podmiejskiej willi, podawał mu zimny kwas chlebowy w saunie po kolejnej partyjce, a w duchu myślał: „Ile trzeba uskładać, żeby pana wysiudać, Andrieju Pawłowiczu?”.

Oszczędzał, jak mógł. Nałożył daniny na hale targowe i na milicję, i na służby komunalne, i na strażaków. Milicja oczywiście kwękała – widocznie mieli własną windę do wykarmienia – ale płaciła.

A Walera cały czas myślał: „Boże, jeśli ja już tutaj mam takie obroty, to jakie musi mieć mer?”.

Andriej Pawłowicz ogólnie nie był złym człowiekiem i Walera nie miałby sumienia tak całkiem jawnie go podkopywać. Na szczęście pomógł zawał.

Wszedł do osieroconych szefowskich pomieszczeń niby tylko po to, żeby zanieść jakieś dokumenty do podpisania. Ale wtedy zrozumiał, że nie ma już odwrotu. Tylko w górę! Właściwie to wystrój był skromny: portrety ojczystego dwugłowego orła – jeden z niebieskim krawatem, drugi z czerwonym, mebelki raczej ubogie, jeszcze sowieckie, widok z okien na dym z piekielnego pieca Zachodniosyberyjskich Zakładów Metalurgicznych, ale dało się wyczuć, że to kamuflaż. Wszystko, by zamydląć oczy. Poskrobiesz płytę wiórową, a tam stół cały ze złota, i krzesła też. Na takim stanowisku wszystko jest ze złota, wystarczy, że nie masz obu lewych rąk. Król Krezus, jak widać, na tym stanowisku poprzestał – a przed Walerą majaczył jeszcze fotel gubernatora!

Tytanicznym wysiłkiem nzbierał tyle, że starczyłoby i na willę, i na mercedesa, po czym wyrwał kartkę z zeszytu i wyznał windzie swoje najmroczniejsze pragnienia. Nie to żeby nie życzył merowi powrotu do zdrowia, po prostu chciał, by szef do końca życia nie musiał się denerwować. A ta praca była nerwowa...

Następnego dnia stan mera się pogorszył i wysłano go do Moskwy. A tam już potoczyło się tak, jak się potoczyło, Waleria nie miał z tym nic wspólnego.

Teraz gabinet należał do niego.

Emmocza dowodziła całą kadrą długonogich dziewczyn z prowincji, a do Walery nikt nie śmiał mówić Waleria. Tylko Waleriju Iljiczu, nie inaczej.

W nowej pracy wszystko się Walerijowi Iljiczowi podobało. Intuicja go nie zawiodła: jakie tam teraz hale targowe, jacy strażacy, kiedy jest Zachodniosyberyjski Kombinat Metalurgiczny, Nowokuźniecki Kombinat Metalurgiczny, Kuźnieckie Ferrosplawy – i mówimy tylko o metalurgii, a jest jeszcze węgiel! Problem był jeden: nie dogadywał się z gubernatorem.

Gubernator siedział na swoim stołku mniej więcej od czasu, gdy podbijający Syberię Kozacy założyli pierwszy ostróg na miejscu dzisiejszego Nowokuźniecka. I gdy Walerij Iljicz karmił banknotami bezgłośną windę, to gubernator, jak się zdaje, dawno już porozumiał się z bardziej złowrogimi siłami – i to mimo że jest byłym górnikiem. Widocznie właśnie w pracy się z nimi zapoznał.

Ale Walerija Iljicza nie dało się już powstrzymać. W swojej początkowej wygranej na loterii widział już tylko palec losu – i palec ten wskazywał mu teraz jednoznacznie fotel gubernatora.

Ileż potrzeba, żeby i tego żubra poskromić? Dziesięć milionów dolarów? Dwadzieścia? Na szczytach nowokuźnieckiej gospodarki miejskiej panowała pustka i samotność. Wśród obłoków wznosił się tylko gubernatorski Olimp – ale Walerij Iljicz nie miał się kogo poradzić w sprawie jego zdobycia. Jak wiadomo, zwycięzca jest tylko jeden.

Obłożywszy miasto dziesięciną – wliczając w to zresztą cerkwie, bo to też cudowny biznes – Walerij Iljicz uzbierał pięćdziesiąt milionów. Z pięć minut tachał od swojej japońskiej terenówki do zapomnianej klatki schodowej worki z pieniędzmi – do inkasenckiego worka więcej niż dwa się nie mieści.

Wypełnił windę niemal do wysokości ludzkiego wzrostu, sięgnął do przycisków... I zamarł.

Trzecie piętro było na panelu ostatnie, a tam wysyłał już pieniądze poprzednim razem, kiedy celował w stołek mera.

Walerij Iljicz zdał sobie sprawę, że uderzył głową w sufit.

Pogubiony, nieszczęśliwy, usiadł wprost na zielonych płóciennych workach i zapalił papierosa. I kiedy tak kopciał obmierzłe już luksusowe sobranie, przyszła mu do głowy zuchwała myśl. Wyprostował się, odgarnął piętrzące się worki z pieniędzmi, żeby dostać się do panelu sterowania, i nacisnął przycisk wzywający dyspozytora.

– Proszę mówić – odezwał się czyjś nosowy głos zza metalowej siatki.

– A czy powyżej trzeciego piętra niczego już nie ma? – zapytał Walerij Iljicz.

– Tu nie ma – odparł głos.

– A gdzie jest? – zainteresował się ostrożnie Walerij Iljicz.

– W Moskwie – odpowiedział leniwie dyspozytor.

– A mogę do pana wjechać? – załkał nagle Walerij Iljicz. – Tak chciałbym porozmawiać! A tu nie ma z kim...

– Dokąd wjechać? – W głosie pojawiła się nuta zdziwienia.

– No... Do pana. Na górę?

– Góra jest w Moskwie – wyjaśnił dyspozytor zmęczonym tonem. – Pan zapisze adres.



Walerij Iljicz ubrał się do Moskwy tak, żeby nikt nie rozpoznał w nim jelenia z prowincji: mokasyny z wężowej skóry, czarne spodnie, kurtka z miękkiej włoskiej skóry z futrzanym kołnierzem i ciepły kaszkiet obszyty od zewnątrz krótkowłosym futrem z norek.

Wziął taksówkę od razu na plac Stary, gdzie zgodnie z instrukcją znajdowała się jego kolejna winda. Rzecz jasna, wymienił dolary na pięćsetki euro – te zadziwiające nominały były jakby stworzone dla szarej strefy w ogólności, a dla łapówek w szczególności.

Przybył na miejsce. Najpierw pobiegł w stronę nieprzystępnego imperialnego gmachu za żelaznym płotem – ale nie zgadzał się numer domu. Potem zapuścił się w zaułki, w podwórza, szukał i szukał, aż wreszcie trafił pod właściwy adres. Zadziwiająca rzecz: zdawało się, że schodził pół Moskwy, a w rzeczywistości wrócił do tego samego budynku, tyle że od tyłu.

Klatka schodowa była tu oczywiście zupełnie inna od tej w Nowokuźniecku. Szerokie schody, śpiący konsjerż, spiżowy żyrandol – i solidna staroświecka winda z drewnianymi drzwiczkami.

Walerij Iljicz ostrożnie położył na podłodze swoją aktówkę z krokodylej skóry, spojrzął na przyciski i zamarł: przycisk był tylko jeden. Nie licząc dzwonka alarmowego.

Oczywiście, można było po prostu odejść; Walerij Iljicz miał jednak jeszcze tyle pytań! Tak czy inaczej, czort go podkusił, żeby nacisnąć dzwonek.

– Przyjechałem z Nowokuźniecka – poinformował windę. – Proszę, przywiozłem prezenty.

– Właśnie przeglądam pańskie dossier – odpowiedziała winda. – Chce pan zostać gubernatorem?

– A... – Walerijowi Iljiczowi zaschło w gardle – a kim jeszcze można?

– A kim pan chce? – zainteresowała się przyjaźnie winda. – Chce pan się przenieść do nas, do Moskwy?

– Ja... Ja... A za ile?

– Zależy dokąd.

– No, ja bym chciał... Do ministerstwa.

– Można do ministerstwa. Do wyboru: wiceminister w Ministerstwie Regionów, Ministerstwie Rozwoju Gospodarczego, Ministerstwie Łączności. Co jest bliższe pańskiemu sercu?

– Ja... Mnie... – Walerijowi Iljiczowi zakręciło się w głowie od otwierających się przed nim perspektyw. – Ministerstwo Rozwoju Gospodarczego! To bardzo zbieżne z moimi celami.

– Niech pan naciśnie guzik i idzie na spacer – poradziła winda.

– Ale czy to... czy to wystarczy? – zaniepokoił się Walerij Iljicz.

– Pięćsetki? – spytała przenikliwie winda. – Może być. W końcu to tylko pierwsza rata, sam pan rozumie.



Odurzająca Moskwa wciągnęła Walerija Iljicza w wir wydarzeń: nowe stanowisko pracy, zgrabne kobiety o gładkiej skórze, kupno mieszkania na Pietrowce, zebrania, zebrania, zebrania...

Jego kariera się rozwijała. W ramach reszty za nowo nabyte stanowisko Walerij Iljicz dostał samochód z kogutem i wkrótce światła Nowego Arbatu i Prospektu Kutuzowskiego zdawały mu się równie znajome jak migoczące okna Nowobajdajewki czy osiedla Montaż.

Był jednak pewien kłopot – władza okazała się natrętna jak kokaina: dawne dawki przestały wystarczać i trzeba je było ciągle zwiększać i zwiększać... Od

trzeciego wice do drugiego, który ma daczę nie w Gorkach-10, lecz w Usowie, a w garażu nie trzy samochody, ale siedem. Potem – minister. Wciąż mało! Za mało! Jeszcze! Prywatne odrzutowce i narty w Courchevel, i własne firmy, i już cokolwiek!

Jeszcze!

Wewnątrz Walerija Iljicza kryła się straszliwa, ssąca czarna dziura, do której wpadały wszystkie te niebiesko-granatowe maybachy i penthouse’y na Ostożeńce, i ogromne żółto-fioletowe tornado z miriadów banknotów po dwieście i pięćset euro. Lęk. Wątpliwości. A co, gdyby nie wygrał wtedy swojego pierwszego miliona?

Wkładając do windy kolejną ofiarę, pociągnął z piersiówki koniaku XO, dla kurazu.

– A mogę mieć jeszcze pytanie?... – powiedział Walerij Iljicz do dzwonka. – Czy każdy tak sobie może... Z ulicy... I zostać wiceministrem?

Winda milczała i Walerij Iljicz zaczął już żałować, że zapytał. Ale okropnie go świerbiło – chciał jednak myśleć, że jest wyjątkowy.

– Nasz kraj został stworzony tak, aby rządzić mógł lud – upomniała go surowo winda. – Jeszcze za Lenina budowano go tak, żeby każda kucharka mogła przebić się na szczyt i rządzić, otaczając się kolegami z klasy czy celi, jak Stalin. System wind społecznych był udoskonalany przez dekady, wyposażony w hamulce i przeciwwagi. I dziś działa bez zarzutu. Weźmy choćby włóczęgę, choćby kryminalistę, i dajmy mu dowolne stanowisko. System wytrzyma. To właśnie prawdziwa władza ludu. A nie demagogia z wyborcami, jak gdzie indziej.

– Rozumiem. – Walerij Iljicz się zaczerwienił. – Przepraszam, że pytam. A... w takim razie po co pieniądze?

Winda prychnęła, dziwiąc się brakowi taktu pasażera. Potem widocznie przypomniała sobie, skąd przyjechał, i zlitowała się nad nim.

– Jest panu znane słowo „merytokracja”? – zapytała pogardliwie. – Władza powinna trafiać w ręce tych, którzy na nią zasługują. Najbardziej przedsiębiorczych, energicznych, najbardziej agresywnych. U władzy powinny być samce alfa. I to

właśnie w naszym kraju istnieje najprawdziwsza merytokracja. Istnieje uniwersalny miernik – dokładnie to, co ma pan w swojej walizce. Koloru fioletowego. Właśnie tak system odsiewa plewy i wybiera efektywnych urzędników.

– Czyli pieniądze to tylko symbol? – zdumiał się Walerij Iljicz.

– Symbol, symbol. Naciskaj pan guzik.

– Zaraz... Proszę zaczekać! – błagał Walerij Iljicz. – Czy naprawdę mogę zostać kimkolwiek?

– A kim by pan chciał? – spytała winda zmęczonym tonem.

– Nawet... Prezydentem?

– Może pan, oczywiście – zapewniła winda. – Już wyjaśniałem: merytokracja. Władzę dzierżą ci, którzy na to zasługują. Niech pan oszczędza.

– A... Premierem?

– Akurat to nie – zmieszała się winda. – To akurat niemożliwe. To jest w naszym systemie jednocześnie hamulec i przeciwwaga. Na to stanowisko nie możemy wziąć byle kogo.

Walerij Iljicz zwiesił głowę, posłał na górę kolejną walizkę z krokodylej skóry i pierwszy raz w bieżącym kwartale nachlał się.



Otoczony nuworyszowskim złotym przepychem soboru Chrystusa Zbawiciela, Walerij Iljicz żegnał się mechanicznie, oglądając się ukradkiem na boki, i zastanawiał się, dlaczego nie ma w życiu sprawiedliwości.

Nie mógł już sobie życzyć niczego, jak tylko znaleźć się w pullmanie pędzącym przez Prospekt Kutuzowski w asyście trzech gelandewagenów... Ale ta trasa okazała się przed nim zamknięta.

I wtedy, rzuciwszy zuchwałe spojrzenie na świetliste oblicze na ikonie, Walerij Iljicz nagle zapłonął. Jeśli nie da się zostać Premierem...

Prosto z soboru pojechał na plac Stary. Wyrzucił szofera, usiadł za kółkiem i popędził tak, że sześciolitrowy silnik prawie się zagotował.

Przygalopował do sekretnego wejścia, mijając sennego odźwiernego, wspiał się schodami na górę, kilka razy nacisnął przycisk wzywający windę, póki ta nie przyjechała...

– Panem Bogiem chciałbym zostać! – szepnął z pasją do czarodziejskiego dzwoneczka, wciskając guzik i nie puszczając. – Powiedz, ile potrzeba. Zapłacę!

I natychmiast, uświadamiając sobie, co zrobił, zacisnął powieki w oczekiwaniu na karę.

Grom?

Atak serca?!

W windzie panowała ciężka, głucha cisza.

Potem coś zaszeleściło, tak jakby ktoś niewidzialny kartkował opasłe tomisko – czy to Wielką Encyklopedię Radziecką, czy to Kodeks postępowania karnego. A może Biblię?

– Bogiem? – powtórzył głos.

– Tak... – wyszeptał rozpaczliwie Walerij Iljicz, podpisując na siebie wyrok.

– Ależ to pan, ojczulku, już przeskoczył. To jest między naczelnikiem dzielnicy Chimki a merem Soczi.

– No to niczego nie chcę! – powiedział kapryśnie Walerij Iljicz. – Żadnej waszej kariery, żadnych wind, żadnych losów na loterii, niczego! Słyszysz? Niczego!!!

– No dobrze, dobrze... Co pan tak... – wystraszyła się kasjerka. – Nie chce pan losów, to nie. Proszę, oto pańskie dziesięć rubli.

ALTER EGO

Szeptały miłośnicie masztowe sosny i gruchali między sobą jak leśne ptaszki snajperzy Federalnej Służby Bezpieczeństwa, usadowieni co sto metrów na szczególnie chronionym terenie. Kłótlivy warkot Rublowki, zewnętrznego, nędznego, niedoskonałego świata, pozostawał gdzieś za ogrodzeniem tego rajskiego boru.

Stała tam solidnie zasłonięta pniami drzew, zbudowana w skromnym sielsko-carskim stylu biało-żółta rezydencja. Obok niej w majowym słońcu grzała się lśniąca prezydencka eskorta, odpoczywająca po błyskawicznym przejeździe Kutuzowskim Prospektem.

Jesienią zdarzało się, że i tutaj przywiewało strzępy brudnego moskiewskiego nieba i pejzaż stawał się nieprzyjemnie ziemisty. Ale teraz, w tym wąskim przesmyku między wiosną a latem, w jedynym okresie, kiedy w tym kraju można w ogóle żyć, a nie tylko utrzymywać się przy życiu, teraz niebo było tu błękitne i zachwycające, jak na wyniesionym z Ermitażu obrazie jakiegoś włoskiego klasyka.

Wszystko, zarówno stojące jak kołki pokojówki w sowieckich fartuszkach (na oko niby baba, a po sprawdzeniu sierżant), jak i nostalgicznie solidne meble, niewyszukana boazeria z robaczywego drewna, szlachetnie stęchłe powietrze korytarzy (nomenklaturowy kurz zmieszany z drobinkami złota) i cały ten imperialny marmur i granit, wszystko tu tchnęło następstwem pokoleń. We wszystkim dało się tu wyczuć spokojną godność, jak u generalnego prokuratora w stanie spoczynku, i podagrycznie nieugiętą pewność: siebie, jutra, tego, że w istocie nic nigdy się nie zmienia. Zarówno sama rezydencja, jak i otaczające ją niezliczone hektary świętych gajów, dosłownie promieniowały surowym wdziękiem władzy.

To miejsce było jej rezerwuarem.

Tu mieszkał Prezydent. Urzędujący.



Siódemka uderzyła o bandę, odbiła się pod kątem prostym i wpadła prosto do luzu.

– Czysta wygrana – przyznał Urzędujący Prezydent. – Brawo. Może jeszcze jedną partyjkę?

– Późno już. – Premier spojrzał na swojego jaegera lecoultre, podobnego jak na rękę Prezydenta, tyle że z tourbillonem, i zaczął się zbierać. – Jutro rano mam trening.

– Chociaż jedną!

– Nie. Już trzecia w nocy. I jeszcze coś... Prawie zapomniałem ci powiedzieć. Widziałem twój wywiad dla zachodnich kanałów telewizyjnych... Nie staraj się tak im przypodobać. Nie trać czasu na wszystkie te liberalne farmazony. Pamiętaj, że nasza droga jest wyjątkowa, a z nimi nam nie po drodze. Pamiętaj o korzeniach, że tak powiem. Możesz mnie nie odprowadzać.

Urzędujący Prezydent westchnął i ruszył w długą drogę – do sypialni.

Wnętrze budynku miało powierzchnię co najmniej hektara. Prezydent, który niedawno się wprowadził, rozumiał już, po co tu tyle służby – bez niej te zakurzone korytarze byłyby tyleż smutne, co przerażające. Kto przed nim żył i wyzionął ducha w tych pokojach – o to nie pytał.

Ten dom był dla niego za duży. Po co tu tyle pomieszczeń? Po co jemu, człowiekowi z krwi i kości, tyle pomieszczeń? Po co te jadalnie, sale przyjęć, sypialnie, niekończące się korytarze, sauny, pokoje relaksu, sekretne pomieszczenia... Drzwi, drzwi, drzwi, drzwi... I pustka. Jak w abchaskim sanatorium. To ma być dom?

Skrzydło mieszkalne znajdowało się na drugim końcu rezydencji. Samotne przekradanie się do niego przez cały pałac w środku nocy było nie lada wyzwaniem. A chodzić było trzeba – w tych murach kiepsko się spało i Urzędujący Prezydent wzywał do siebie na późnowieczorne narady to jednego, to drugiego ministra.

Światło we wszystkich pokojach i salach, na wszystkich korytarzach i galeriach paliło się przez całą noc, ale nie uspokajało to jego serca. W czarne okna wpadały ćmy, ciężko oddychały meble, po kątach szeptały dusze członków Politbiura, które odeszły na wieczny spoczynek, ale wciąż nie zdawały sobie z tego sprawy.

Ochroniarze, żeby nie krępować szefa, stali tylko w kilku miejscach, i stali w nich nieruchomo jak posągi. Licho wie, czy oduczyli ich mówić, czy przyjmując do pracy, wyrywano im języki, ale na powitania, żarty i pytania odpowiadali jednakowo: stawali na baczność i salutowali. Jego synek nazywał ich „zombiakami”, zapewniając, że w FSO przyrządzają ich według jakiejś słynnej haitańskiej receptury. Lecz po samotnym przejściu przez pół rezydencji Prezydent zawsze cieszył się na ich widok.

Póki synek mieszkał tu z nimi, było jeszcze nie najgorzej. Jeździł po korytarzach na rowerze, drażnił zombiaki, budował dla żołnierzyków fortece z unikatowych tomów encyklopedii Brockhousa i Efrona... Wypełniał dom swoim jasnym dziecięcym życiem, które rozpraszało wypełzający z kątów przezroczysty starczy mrok i niczym świeża bryza rozwiewało powolne, ciężkie oddechy martwych faraonów.

Ale teraz wysłali go za granicę i dom opustoszał.



A oto i skrzydło mieszkalne.

Pokój dziecka, salon, sypialnia. Zwykle ludzkie M4, zagubione w niekończących się trzewiach tego pałacu. Teraz najważniejsze to nie hałasować. Nie obudzić jej.

Żona, skowronek, duchów nie słyszała, zasypiała wcześniej. Wtedy Prezydent cichutko wstawał z łóżka i człapał na spotkania z ministrami.

Zsunął szurające kapcie i szedł dalej boso, całkowicie bezszelestnie. Ciche swojskie posapywanie, tykanie budzika... Aż tu nagle w tę znaną mu gamę dźwięków wcięło się coś obcego, niepasującego.

Szmer. Szept. Śmiech.

Z pokoju dziecka.

Z pustego, zamkniętego na klucz pokoju dziecka.

Wezwać ochronę.

Nie. Z tego samego powodu, dla którego przemierza nocą korytarze samotnie, nie ciągnąc za sobą eskorty zombiaków.

Żeby nie narazić się na śmieszność. Przed nikim. Nigdy więcej.

Prezydent chwycił za gałkę i przekręcając ją zdecydowanym ruchem, otworzył drzwi. W pokoju dzieciennym paliło się światło, tak jak w całym domu. Rzecz jasna w pomieszczeniu nikogo nie było.

Może komputer był włączony? Nie, to nie to. Urzędujący Prezydent rozejrzał się uważnie, starając się zebrać myśli.

Na podłodze leżały zabawki – klocki Lego, strój Supermana, stary pluszowy miś z wykręconymi łapami... Prezydent przykucnął, podniósł niedźwiadka, wyprostował mu kończyny, otrzepał go. Ten miś był prawdopodobnie najcenniejszym przedmiotem w całym pałacu. A właściwie więcej niż przedmiotem...

To była jego zabawka – dostał go od mamy dawno temu.

Więcej niż zabawka.

Najlepszy przyjaciel. Oto, kim był ten coraz bardziej wytarty z biegiem lat niedźwiadek z guzikami zamiast oczu. Kiedyś miś był mu równy rozmiarem, ale potem chłopiec urósł, a niedźwiadek, jak to z nimi bywa, pozostał dzieckiem. Prezydent niczego jednak nie zapomniał: ani tego, jak byli wiernymi towarzyszami eksplorującymi Arktykę, ani tego, jak stali ramię w ramię okrążeni przez żądnych krwi Irokezów, ani tego, jak obaj przysięgali sobie nawzajem, że wyrosną na dzielnych wojowników światła, szlachetnych i sprawiedliwych.

Oczywiście nie mógł go wyrzucić. Podarował go swojemu synowi.

Prezydent ostrożnie pogładził niedźwiadka po głowie – niezgrabnym, zapomnianym ruchem.

– Tęskniłem... – wyszeptał prawie niesłyszalnie.

– Ja też – odpowiedział wyraźnie miś.



Przez długie trzy dni Prezydent unikał pokoju dzieciennego. Czasem, nocą, zamierał przed drzwiami, przystawiał do nich ucho, czy aby czegoś nie usłyszy. Było chyba zupełnie cicho.

Czwartego dnia, ostatecznie utwierdziwszy się w przekonaniu, że to wszystko z przepracowania, i besztając się za to, że doprowadził się do takiego stanu, zaczekał, aż żona uśnie, i jednak otworzył pokój.

Niedźwiadek, chwała Najwyższemu, leżał w tej samej pozycji, w której upadł na ziemię, kiedy Prezydent odrzucił go od siebie: na wznak, nakrywając łapami swoją łysejącą głowę.

Nie żeby Prezydent spodziewał się czegoś innego. W końcu jest dorosły. Jednak, zbliżając się do misia, najpierw ostrożnie, czubkiem mokasy, obrócił go pyszczkiem do góry. Zabawka jak zabawka.

Pochylił się i wziął niedźwiadka w ręce.

– Długo nie przychodziłeś – powiedział miś.

W jego głosie nie było wyrzutu, prawie... raczej cicha radość, że Prezydent wreszcie do niego wrócił.

Ponowna ucieczka przed pluszowym misiem byłaby i głupia, i wstydliva, i po prostu niegodna głowy supermocarstwa.

– Praca... – wydusił Prezydent przez zaschnięte gardło. – Ciągłe praca.

– Rozumiem – odrzekł miś. – Jesteś teraz duży.

– No... – Prezydent pokiwał głową. – A co u ciebie? Co nowego?

– A, nic szczególnego. Przyjaźnię się z twoim synem. Wspaniały chłopak. Teraz akurat wyjechał do Anglii do szkoły.

– Wiem – przytaknęła zmieszany Prezydent.

– No tak. Ale w sumie... Szczerze mówiąc, jest dość monotennie. Wiesz... Kiedy ty i ja zaczynaliśmy... Jakoś inaczej sobie wyobrażałem swoje przyszłe życie.

Myślałem, że będzie w nim miejsce na wielkie czyny. Myślałem, że zostanę bohaterem. Że uratuję ludzkość... A tymczasem...

– Słuchaj... Przepraszam cię...

– Ależ nie! Ja cię o nic nie obwiniam! – Miś zamachał łapką. – W zasadzie to jestem ci wdzięczny, że oddałeś mnie synowi. Bo w pawlaczu, w naftalinie... To nie życie, a wegetacja. Teraz przynajmniej oglądam świat. Ogólnie rzecz biorąc, nie żałuję – uśmiechnął się niewesoło. – Ile my się tak naprawdę nie widzieliśmy? Ze czterdzieści lat?

– Czterdzieści – policzył i sztywno kiwnął głową Prezydent.

– Opowiedz o sobie. Co tam, jak tam? Słyszałem, że zostałeś Prezydentem.

– Zostałem wybrany – nie sprecyzował, przez kogo konkretnie.

– No to super! – Z głosu misia zaczęła znikać postnaftalinowa oficjalność; wreszcie stało się jasne, że naprawdę się cieszy ze spotkania i z rozmowy. – Ty i ja nigdy nawet nie marzyliśmy o czymś takim! Pamiętasz?... Ja zamierzałem się szkolić na pilota myśliwca, ty chciałeś być Małym Księciem...

– Kiedy byłem zupełnie mały! – zawstydził się Prezydent. – Potem chciałem już zostać progresorem z książek Strugackich. Jak don Rumata Estorski. Pomagać zacofanym cywilizacjom...

– Cóż... Ja już się na to nie załapałem... – Miś pojednawczo rozłożył łapki. – Kiedy ty zainteresowałeś się fantastyką, ja siedziałem w pawlaczu. Tak więc nie miałem styczności z don Rumatą Estorskim. A na jaki kierunek poszedłeś?

– Na prawo – zmieszał się nie wiedzieć czemu Prezydent.

Miś wykonał nieokreślony ruch głową.

– To było ciekawe. Wykładałem na uniwersytecie... – dodał Prezydent, jakby się usprawiedliwiając. – Jak progresor... Prawie.

– A jak zostałeś Prezydentem? – Miś podrapał się po głowie.

– A tak... Po znajomości. Poproszono mnie.

Po co mydlić oczy, kiedy rozmawiasz ze swoim pluszowym misiem? Czy to nie jedna z tych rzadkich okazji, gdy można powiedzieć wszystko wprost?

Niedźwiadek znów ni to kiwnął, ni to pokręcił głową. Zamyślił się. Prezydent zrobił to samo.

– A jaka to w sumie różnica, jak nim zostałeś? – westchnął w końcu miś. – Za to teraz możesz zrealizować nasze wspólne marzenia. Tak?

– No tak... – uśmiechnął się Prezydent. – Mogę pobyć sobie pilotem myśliwca i maszynistą, i polarnikiem, a nawet kosmonautą, jeśli się postaram.

– Ja nie o tym... – Miś spojrzał na niego z niedowierzaniem. – Chodzi mi o wielkie czyny.



– Korupcja jest zła. Korupcja niszczy nasz kraj. Korupcja podważa zaufanie społeczeństwa do organów władzy państwowej. Korupcja psuje klimat dla inwestycji. Z korupcją trzeba walczyć. Tak.

Prezydent wziął oddech, otarł pot z czoła. Oderwał wzrok od kartki, ostrożnie zerknął: jak tam słuchacze?

Przed nim, wypełniając całą Salę Gieorgijewską, zasiadło Zgromadzenie Federalne Federacji Rosyjskiej. Kwiat narodu. Gdyby trafiła tu teraz tylko jedna wroga głowica, to koniec, można by pisać historię Ojczyzny od nowa, bez dalszego gładzenia o karmie, o wyjątkowej „trzeciej” drodze i o tym, że tutaj nigdy niczego nie da się zmienić.

Senatorowie i gubernatorzy, deputowani i ministrowie, sędziowie, wysłannicy Rosyjskiej Cerkwi Prawosławnej i innych kościołów, więksi i mniejsi feudałowie, baronowie wszelkich branż – wszyscy zdawali się różnić, ale dało się u nich dostrzec niezaprzeczone podobieństwo. Spływająca na nich władza obdarzyła ich tą szczególną zdrową, czerwonołębną przysadziłością, którą mogły wytrzymać tylko garnitury Brioni z dobrej włoskiej wełny. Podobnie też połyskiwały ich oczy: takim szczególnym, słabym cynowym blaskiem, barwą przenikliwości i przyspawania.

Siedzieli w zbitych szeregach, ich szare garnitury lśniły stalą; to była bezlitosna i potężna armia, która wyrosła tu, na Kremlu, z zasianych niegdyś smoczyczych zębów.

Nie było tu przypadkowych osób. Wszyscy należeli do Systemu.

Dlatego tak dziwnie było im to wszystko słyszeć.

I dlatego tak ważne było, żeby właśnie do nich Prezydent trafił ze swoim Orędziem.

Koniec. Dziękuję za uwagę.

Zaklaskali. Miarowo, nieprzyjemnie. A gdy schodził ze swojej trybuny za kulisy, odprowadzali go ciężkimi spojrzeniami. Cyna w ich oczach topiła się, wrzała.

Od razu po Orędziu do Prezydenta podszedł Narodowy Przywódca / Premier.

– Kto ci to pisał? – zapytał pozbawionym życia głosem.

– A co? – spochmurniał Prezydent.

– Daj kartkę. Daj mi ją, szybko – zażądał Premier. – Przecież to twój charakter pisma!

– No mój – przyznał się Prezydent.

– Po jakie licho mówisz ludziom takie rzeczy? Po co ich wkurzasz?

– A tak... Dla żartu. A co, nie wolno?

– Tobie nie wolno. Jak się umawialiśmy? Bez własnych inicjatyw. A ty? Teraz musimy im urządzić afterparty, napoić, uspokoić.

– Pomyślałem po prostu... No, że to Orędzie... Powinno się w nim przecież przedstawić jakiś ideał... Wskazać, że tak powiem, wektor... Jakaś moralną orientację... Przecież jestem Prezydentem... Koniec końców.

Narodowy Przywódca zmierzył go szczególnym spojrzeniem, takim, od którego na poligonie zdychały myszy, Prezydent widział to na własne oczy, ale potem poklepał go po plecach.

– Ależ jesteś Prezydentem, jesteś. Urzędującym. Po prostu zrozum, że dawałeś słowo. A prawdziwi mężczyźni muszą brać za swoje słowo odpowiedzialność.



– Proszę! Przyniosłem ci tu różne rzeczy, tak jak prosiłeś!

Urzędujący Prezydent wysypał na podłogę całą stertę gazet. Przede wszystkim „Kommiersanta”, ale była też „Nowa Gazieta”, a nawet, niech Bóg mu wybaczy, „Argumenty i Fakty”.

Miś kiwnął głową z wdzięcznością, zaszeleścił stronicami.

– No i jak poszło Orędzie? – zainteresowała się zabawka, skryta za płachtą „Kommiersanta”.

– Cóż... Tak sobie – odpowiedział zdawkowo Urzędujący Prezydent.

– A powiedziałaś, co zamierzasz zrobić? – Miś złożył gazetę.

– Powiedziałem. No, innymi słowami... Łagodniej... Ale powiedziałem.

– A pamiętasz, jak bawiliśmy się w Sokole Oko i Chingachgooka? – Miś przysunął się bliżej i dotknął jego ręki.

– Oczywiście! – Urzędujący Prezydent nie mógł powstrzymać uśmiechu.

– Walczyliśmy wtedy we dwóch przeciwko całemu plemieniu Irokezów, pamiętasz? W tamtej opuszczonej faktorii! Chcieli nas oskalpować... Ale wytrwaliśmy!

– No tak. Wtedy wytrwaliśmy.

– Po prostu chcę ci powiedzieć... W razie czego zawsze możesz na mnie liczyć. Wciąż jesteś moim towarzyszem – powiedział poważnie niedźwiadek i skrył się za rozłożoną „Nową Gazietą”, ale Prezydent i tak zdążył dostrzec, jak w kąci oka coś mu błysnęło.

– Dziękuję... – W jego głos wkradła się nieoczekiwana chrypka. – Dziękuję. Będę pamiętał.

– Dima?...

Prezydent aż podskoczył zaskoczony, odwrócił się w stronę drzwi...

W progu stała jego żona, zaspana i zatrwożona, rozglądając się ze zdziwieniem po pokoju dziecinnym: siedzący na ziemi mąż w podomce, cała podłoga w gazetach, pod kaloryferem siedzi pluszowy miś pochłonięty lekturą „Nowej Gaziety”. Dość dziwny obrazek. Owca

– Dima, co się dzieje?

– Ja...

Zaraz coś wymyśli.

Błagał tylko niebiosą, żeby miś się teraz nie wtrącał, dobrze, że ten miał na tyle rozsądku, żeby udawać martwego.

– Nie mogę zasnąć. Chciałem sobie zrobić prasówkę. A to... – niedbale skinął głową w stronę niedźwiadka – to po prostu podpórka.

– No dobrze... Przyjdź niedługo, bez ciebie czuję się nieswojo... – pożaliła się żona, pocałowała Prezydenta w ciemię i wymknęła się z pokoju.

– Niczego sobie – pochwalił ją ze znanstwem miś. – Słuchaj, mam do ciebie prośbę. Mogę się z tobą przejechać do miasta?



– Jak myślisz, dlaczego rezydencja jest właśnie na Rublowce? – zapytał miś.

Eskorta przeleciała przez oczyszczoną z samochodów Żukówkę. Brzuchaci funkcjonariusze drogówki zastygli po bokach jak ołowiane żołnierzyki odlane w swojej typowej pozie, na baczność, z dłonią przy daszku czapki. Z oddaniem męczyli się wasale i chłopci, zawczasu poupychani po przyległych drogach. Zarówno maybachy, jak i wyklepane łady dziewiątki faszzerowane Tadżykami stały obok, jednakowo pokorne. Przejazd suwerena zrównywał je na chwilę.

Misia trzeba było wziąć na kolana, inaczej nic by nie widział. Prezydent przeniósł go do swojego pullmana w aktówce – niedźwiadek ledwo się zmieścił, trzeba było wyrzucić z teczki wszystko oprócz iPada.

– No... nie wiem... Dobra dzielnica. Sosny. Powietrze – zgadywał Prezydent. – Wygląda jak Europa, jeśli nie przyglądać się dokładnie.

– A dlaczego nie latacie helikopterem? – zainteresował się miś. – Po co to wszystko? Eskorta na sto tysięcy samochodów, koguty, zamykanie trasy, spychanie wszystkich na boczne drogi... To chyba dla nich upokarzające?

– Taki jest tryb – Prezydent wzruszył ramionami. – Protokół.

– Myślę, że to rytuał – powiedział w zadumie miś. – Rytuał potwierdzenia przywódcy. Jak w świecie dzikiej przyrody. Jak z *Księgi dżungli*.

– To znaczy?

– To znaczy, że rezydencja znajduje się w samym sercu skupiska posiadłości, które pobudowali sobie kapitaliści. Tak? Jeżdżą tą trasą ze swoimi karłowatymi eskortami... Spychają z drogi plebs... Mierzą, kto ma większe zęby. Tymczasem to ty okazujesz się drapieżnikiem alfa. Ty masz i największą posiadłość, i największą eskortę, i nawet największego burżuja możesz nie tyle zepchnąć z drogi, co w ogóle nigdy na nią nie wpuścić. Bo przecież władza, Dima... Ona jest od wszystkiego większa. Większa od największych pieniędzy i większa od jakiegokolwiek sławy, i większa od najbardziej nieprawdopodobnego powodzenia u kobiet, i większa od największej wolności. Ponieważ ona to wszystko obejmuje, może się w to wszystko przemienić, i w o wiele więcej też. Ale macie tu dzikie porządki, dlatego władzę trzeba okazywać jak w dżungli.

– Jak to?

– A tak: jedziesz swoją Rublowką, a na poboczach wszyscy leżą na plecach i podstawiają ci odsłonięte brzuszki. Tylko nie bij, Shere Khan. Tylko nie zabijaj.

– Nie jestem Shere Khan. – Prezydent poczuł się urażony. – Jestem Mowgli.

– Neeee... – świsnął przez zęby niedźwiadek. – Nie jesteś Mowgli.



– Co to? – W głosie Narodowego Przywódcy dźwięczała irytacja.

– To jest pakiet – wyjaśnił Prezydent.

– Sam widzę, że pakiet. Co to za pakiet?!

– To... Pakiet ustaw mających na celu walkę z korupcją...

– Który?...

– Który przedłożyłem Dumie do rozpatrzenia...

– Bez?...

– Bez uzgodnienia z tobą... z Panem...

– No właśnie! No właśnie! Okazuje się, że wszystko rozumiesz, tak? A jak ja mam to rozumieć?

– Ja... Cóż, ja po prostu... po prostu chciałem... w czasie swojej kadencji... zrobić... coś... dla kraju. Żeby pchnąć go naprzód... W stronę Zachodu... Cywilizacji... Jak progresor u Strugackich...

– Posłuchaj mnie jeszcze raz. W naszym. Kraju. Nie ma. Korupcji. Czym jest korupcja? No, dawaj... Jak tam uczyłeś swoich studentów? Co jest złego w korupcji?

– Ponieważ to choroba organów władzy... Urzędnicy podejmują decyzje, kierując się własną korzyścią... Porażenie administracji... Łapownictwo i krycie swoich paraliżują... Korupcja, jak pasożytniczy grzyb, wysysa z niezależnych organów władzy wszystkie soki życiowe... Faworytyzm... Kumoterstwo... zaburzają konkurencję... Państwowy rekiet... sprawia, że biznes ucieka... System ochrony prawnej i sądownictwo... nie funkcjonują... Podważając zaufanie społeczne do państwa jako takiego... i do jego przywódców...

– Popatrz no! To proste jak dwa razy dwa! Dobrze to wszystko powiedziałeś! Z jedną poprawką! Wszystko to się zgadza w odniesieniu do czego?

– Do czego?

– Do przeciętnego kraju na Zachodzie! Gdzie te pieprzone niezależne organy władzy w ogóle istnieją! Gdzie istnieją gospodarka i konkurencja! Gdzie istnieje biznes! Gdzie istnieje system ochrony prawnej i sądownictwo! U nas żadnej z tych rzeczy nie ma! Same atrapy z dykty dla zmylenia CIA! U nas zamiast tego wszystkiego jest to, co nazywasz korupcją! To właśnie jest nasze państwo! Właśnie te męskie umowy między mną a chłopakami... Oprócz nich nie ma nic! Pustka! Rozumiesz? To jest państwo! To! To z nim masz zamiar walczyć! Ty tymi ustawami, ściągniętymi z amerykańskiego Departamentu Stanu, rozwalisz nam kraj!

– Ale przecież...

– Nie ma żadnych „ale”! Nie może być żadnych „ale”! Przecież już to omówiliśmy. Co się nagle zmieniło?

– Ale przecież sam Pan mówił... Że Ojczyzna... Że to etap przejściowy... Że jest Pan zwolennikiem stopniowego rozwoju... Że wcześniej czy później... Nasza Ojczyzna będzie normalnym... europejskim...

– I uznałeś, że ty to teraz będziesz robić? Ty?

– Ale przecież jestem Prezydentem...

– Urzędującym! Nie Prezydentem, tylko Urzędującym Prezydentem! Dobra. Generalnie, chłopaki w Dumie napiszą twoje ustawy na nowo... Nie przejmuj się. To tyle. Wybacz. Mam... robotę papierkową.

Gdy tylko zamknęły się drzwi, z teczki dobiegł rozczarowany głos:

– A ja myślałem, że jesteś prawdziwym Prezydentem.

– Jestem prawdziwym Prezydentem! – ryknął na niedźwiadka Urzędujący Prezydent, aż poczekalnia u Premiera zadrżała.

Teczka milczała. I to milczenie bolało bardziej od jakichkolwiek słów.



Długo nie przychodził do dziecięcego pokoju: miś miał karę. Bo nieładnie pyskować.

W końcu mu przeszło i znalazł wolną chwilkę.

Spodziewał się, że znajdzie misia tam, gdzie go zostawił – w kącie. Ale nie było go tam. Niedźwiadek siedział przy włączonym komputerze i przeglądał Facebooka. Jak się zdawało, miał już własne konto, a nawet grupę znajomych.

– O! Patrzcie, kto przyszedł! – Miś zeskoczył z krzesła, podbiegł do Prezydenta, objął go za nogę i od razu stopił lód w jego sercu.

– Przeprowadzam właśnie reformę policji... – pochwalił się Prezydent. – Staram się ją uczłowieczyć.

– Zuch! – rzekł z uznaniem niedźwiadek. – Nic z tego nie wyjdzie, ale chociaż próbujesz!

– Dlaczego od razu nie wyjdzie? – spochmurniał Prezydent.

– Cóż, dlatego, że to część Systemu. To tak jak w komunie: jak jeden ma rzeźaczkę, to wszyscy mają rzeźaczkę. Zlitujesz się nad jednym, wyleczysz, wypuścisz z powrotem, następnego dnia zbadasz kolejnego, a tu znów rzeźaczka.

Dima, tu trzeba wszystkich po kolei tetracykliną. Bez litości. Punktowymi działaniami niczego nie załatwisz.

– A to się naczytałeś... – Prezydent pokręcił głową. – Słusznie Premier mówi, że sieci społecznościowe to broń amerykańskiego Departamentu Stanu...

– Dla niego wszystko to broń Departamentu Stanu... – Miś machnął łapką. – Może się przejdziemy?

Ruszyli niespiesznie dusznymi, splątanymi korytarzami rezydencji i, zadziwiająca rzecz, przezroczysty mrok, cienie przodków i olimpijska samotność kurczyły się i ustępowały, kiedy obok niego był pluszowy miś.

Prezydent brał go na ręce i chował przy piersi, kiedy zbliżali się do posterunków zombiaków, a gdy tylko mijali ochronę, znów stawiał go na podłodze.

– Nie masz tu gdzieś przypadkiem wózków golfowych? Widziałem cię na jakimś szczycie, jak jeździliście takimi z Obamą... – W głosie niedźwiadka pobrzmiwała śmieszna dziecinna zazdrość.

– Mam – potwierdził Prezydent. – Chcesz się przejechać?

Był wrzesień, rześki i przejrzysty. Wózek golfowy (postanowili wsiąść do jednego, żeby wzbudzać podejrzeń snajperów) gnał po wypielęgnowanych ścieżkach, w twarz dmuchał im wciąż łagodny wietrzyk, pnie wiekowych sosen błyskały w świetle reflektorów... Było wesoło i strasznie. Tak wesoło i tak strasznie, jak nie było już od czterdziestu lat...

I nagle miś wcisnął pedał hamulca.

– Co ty?! – Wózek golfowy omal się nie wywrócił.

– Dima... – odezwał się cicho miś. – Wypuść mnie, co?

– Co... Jak?

– Nie mogę przez całe życie siedzieć w zamknięciu w pokoju dziecinnym. Chcę być wolny...

– Przecież jesteś pluszowy! Jak możesz być wolny?!

– Wypuść mnie – powtórzył miś. – Nie możesz mnie trzymać w zamknięciu.

– Chcesz mnie zostawić? – spytał zaniepokojony Prezydent.

– Jak mógłbym cię zostawić? – uśmiechnął się niedźwiadek. – Tyle lat razem. Będę cię odwiedzać...

– Cóż... W takim razie... Niniejszym daruję ci wolność...

I zacisnął powieki.

Ale nic się nie wydarzyło.

Miś wciąż siedział obok niego.

– Wiesz – mówił teraz pewniej, ale i łagodniej. – On może ci mówić, ile chce, że nie jesteś prawdziwy... A ja myślę, że wszystko zależy od ciebie. Tylko ty zdecydujesz, czy staniesz się prawdziwy, czy nie. I komu być wiernym, innym czy sobie. Marzyłeś przecież o misji, nieprawdaż? O tym, żeby jakąś zacofaną cywilizację wyprowadzić z ciemności do światła... I oto możesz to zrobić! Ze swoim własnym krajem, ze swoim własnym narodem. Konstytucja jest po twojej stronie, masz uprawnienia jak faraon... Możesz!

– Dostyc...

– Możesz! Los daje ci szansę! Jesteś samowładcą! Ropa po sto za baryłkę! Wiatr wieje ci w żagle... Można przeprowadzić dowolne reformy... Wszystko! Rozumiesz?! Przecież chciałeś być progresorem! Oto szansa! Żeby przekreślić kaleką tysiącletnią historię! Niewolniczą! Łajdacką! Prowadź kraj w przyszłość! Urwij łeb tej hydrze, zbuduj normalne państwo!

– Milcz! Milcz!

– Zaklinam cię na Boga!

– Zamknij się! Za parę dni mamy zjazd! Premier wraca! On będzie Prezydentem! Wszystko już postanowione! Już dawno! To zawsze było postanowione! Nie mogę!

– Ale dlaczego?!

– Dlatego! Dlatego!!! Dlatego że dałem chłopakom słowo. Dlatego że taka była umowa.

– I tyle?!

– I tyle!!!

– A idź ty, ku... – Niedźwiadek splunął i zeskoczył z wózka golfowego.

I zniknął w gęstwinie.



– Żadnego misia, oczywiście, nie ma – oznajmił z przekonaniem lekarz, malutki łysejący człowieczek w okrągłych jak u Freuda okularach.

Tu, w Genewie, na modnej Rue du Rhône, gdzie cała historia, oprócz kredytowej, zatrzymała się dwieście lat temu, w przytulnym gabinecie ze współczującym Jungiem na ścianie i niezwykle wygodną kozetką, z regałem pełnym prac wszystkich psychoanalityków w antykwarycznych wydaniach, poczynając od Potopu, aż po koniec czasów – tu w zasadzie można było wierzyć, że faktycznie żaden miś nie istnieje.

– W takim razie dlaczego go widzę? – Prezydent uniósł się na kozetce.

– Wyparcie – powiedział najzwyczajniej doktor, zaplatając pulchne paluszki. – Próbuje pan stłumić część swojej osobowości... Pozbyć się jej. Ale to nie takie proste. Ta część osobowości uległa wyparciu... I wcieliła się w misia. Tak jakby. W rzeczywistości, oczywiście, to się panu tylko wydaje. Nie rozmawia pan z misiem. Ale z samym sobą, z tym sobą, którego nie chce pan uznać.

– To jest... To jest jakby... Jakby moja ciemna połowa?

– Sądząc z pana opowieści, to pana liberalna połowa. Faktycznie, doprowadził się pan do rozdwojenia. Niewielki rozstrój. Od tego się nie umiera.

– I co ja mam teraz zrobić?! Mam ważny zjazd... Jutro... A tu rozdwojenie...

– Na jutro wypiszę panu tabletki. A tak w ogóle... to lepiej, żeby udało się panu uzyskać jakiś konsensus z samym sobą.

– To niemożliwe. – Prezydent zbladł. – Proszę dać te tabletki.

Połknął od razu dwie. Na pożegnanie obejrzał się za siebie.

– Tylko niech panu mu... niczego nie mówi, dobrze?

– Jak mógłbym... – uśmiechnął się doktor. – Tajemnica lekarska jest u nas silniejsza od bankowej.

Premier czekał na niego za drzwiami – radosny, swobodny. O nic nie pytał. I w ogóle, wcale nie przywiózł Urzędującego Prezydenta do psychoanalityka, tylko

przypadkiem spotkał go w kolejce po śledzie.

– Przepisał ci coś? No i supcio. Dobry psycho, chłopaki mi go polecili. Dobra, chodźmy na piętro, poznam cię z naszą spółdzielnią...



Urzędujący Prezydent wracał ze zjazdu z głową w liliowej mgle. Na twarzy trzymał mu się jeszcze przyklejony taśmą klejącą karnawałowy uśmiech, a z jego biednej duszy aż się dymiło.

Żona powitała go w progu.

– Jak ci minął czas? – Jej usta ostudziły jego rozpalone czoło.

– Wszystko minęło – odparł mechanicznie.

– Chodźmy zjeść kolację, wszystko już gotowe. – Wzięła go za rękę i pociągnęła za sobą korytarzami, których przez wszystkie te lata nie zdołał ani polubić, ani zapamiętać. Znała już tę krótką drogę lepiej od niego i po kilku minutach wprowadziła go do jadalni. – Wiesz, nawet się cieszę, że to się skończy. Wrócimy do naszego zwykłego mieszkania, będziemy żyli jak dawniej... A co to?...

Urzędujący Prezydent drgnął, wyrwany z oparów minionych wydarzeń, które wciąż i wciąż odtwarzał w głowie.

– Gdzie?

– A tu! – Wskazała palcem.

Na jednym z krzeseł, na miejscu gospodarza u szczytu stołu, zasiadał wytarty pluszowy miś.

– Zabierz go! – nie wytrzymał i krzyknął. – Skąd on tu się wziął?! Zabierz to! Zabierz!



Niedźwiadka zamknięto w składziku. Klucz oddano ochronie. Żona nie wypytywała, pierwsze damy są tego uczone od razu, na dwutygodniowych ekspresowych kursach.

Inaczej świat już dawno by się zawalił.

Wszystko zostało zapomniane, jak zły sen.

Syn, przyjeżdżając na ferie, dzięki Bogu, nie wspominał o zabawce.

Tabletki pomagały.

Czwartego marca wszystko poszło świetnie.

System GAS „Wybory” nie zawiódł.

I rozwiązano nawet kwestię wiwatujących mas do pokazania zwycięskiego obrazka w telewizorni – FSO podzieliła się z Kierownictwem swoją haitańską recepturą, poszła w ruch cała machina państwowa i między wyborami parlamentarnymi a prezydenckimi zdążyli narobić około sto tysięcy zombiaków.

Ale wracając z przepełnionego placu Maneżowego w wieczór triumfu Prezydenta-elekta, Urzędujący Prezydent chciał pobyć sam. Sam jeden na całym świecie.

Nie poszedł nawet do żony – zamierzał zamknąć się w swoim gabinecie.

Wypuścił ochroniarzy do domu, podszedł do drzwi... i zamarł.

Z gabinetu, z zamkniętego gabinetu przez ciężkie dębowe drzwi słychać było głos: pewny siebie, rzeczowy...

Jego własny.

Urzędujący Prezydent, zmęczony strachem przed samym sobą i innymi, wpadł do środka...

Przy stole w kształcie litery T, na wciąż jeszcze jego prezydenckim fotelu siedział miś. Skupiony, poważny. W łapkach trzymał słuchawkę telefonu: Najważniejszego Herbowego Telefonu w kraju. Tej słuchawce, nienagannie imitując głos Prezydenta, niedźwiadek wydawał krótkie, precyzyjne polecenia.

– Natasza, piszesz? Po drugie. Polecieć Prokuraturze Generalnej sprawdzenie zasadności wyroków na więźniów politycznych, w szczególności na Chodorkowskiego M.B. Tak. I niech je uchylają. Dobrze słyszałaś. Po trzecie. Odwołać ze stanowiska prezesa rady ministrów...

Urzędujący Prezydent rzucił się błyskawicznie, wyrwał spod misia fotel, uderzył w widełki telefonu, przerywając rozmowę.

– Co ty robisz?! Za kogo ty się uważasz?!

– Robię to, co powinienesz być zrobić ty! – Niedźwiadek wskoczył na biurko.

– Ale jakie masz do tego prawo?!

– Przestań wrzeszczeć! Posłuchaj mnie! – Miś też krzyknął i odskoczył, uciekając przed nim po ogromnym stole konferencyjnym. – Teraz mamy ostatnią szansę! Wszystko jeszcze można odkręcić!

– Co odkręcić?! – Spróbował zająć niedźwiadka z flanki.

– Zrobimy tak. Zmieniamy kierownictwo FSB i MSW. Dymisjonujemy Premiera. Spełniamy żądania demonstrantów z placu Błotnego. Unieważniamy wyniki wyborów. Rozpisujemy nowe. Niech rejestruje się, kto chce. Startujemy sami. Rozbijamy spółdzielnię. Wypuszczamy Chodorkowskiego. Oligarchom z pierwszej kadencji każemy złożyć przysięgę. Tym z drugiej – pozwalamy wyemigrować. Kto próbuje kopać pod tobą dołki, tego na Łubiankę. Odwrócimy wszystko w jeden dzień. Wszystko!

– Jakie „wszystko”?!

– Wszystko! Ty wygrasz wybory. I tyle! Ceny ropy na razie się trzymają, w ciągu sześciu lat można tu zrobić normalny kraj! Normalne! Postępowe! Państwo! Demokratyczne! Praworządne! Rozwijające się!

W szufladzie stołu leżą duże nożyce. Jedno ostrze jest zaokrąglone i tępe, drugie ostre jak oficerski sztylet. Póki go nie widzi...

– Nie mogę! Ja tak nie mogę!

– Dlaczego?!

– Obiecałem! Narodowemu Przywódcy! Wszystkim naszym ludziom! Nie mogę ich oszukać! To nie po koleżeńsku!

– To wielki czyn!

– To zdrada!

– Więc co ty w ogóle robisz w tym gabinecie?! Co ty robisz na tym tronie?! Masz pierwszą szansę od stu, a może od tysiąca lat! Przejdziesz do historii! Jako prezydent, który wszystko zmienił! Który położył kres tysiącletniej klątwie, złamał kark przeznaczeniu! Wciąż jesteś carem! Możesz zrobić wszystko! Będą cię

porównywać do Piotra Wielkiego! Czy ty to rozumiesz?! Do historii! Na zawsze! Nieśmiertelność! Szkolne podręczniki! Ulice na twoją cześć! Miasta!

– Ale ja tego nie chcę! Nie chcę! To ty zrozum! Ty! Ja nie chcę być wielki! Jestem małym człowiekiem! Chcę po prostu godnie i spokojnie przeżyć życie! To wszystko!

Opadł na krzesło i wybuchnął płaczem.

Miś urwał, zatrzymał się w swojej szaleńczej galopadzie po stole. Kroczek po kroczeniu podszedł do Urzędującego Prezydenta. Położył mu łapkę na ramieniu.

– Cóż, wybac. Wybac mi. Ja tylko chciałem, żebyśmy zrealizowali nasze marzenia. Jakiś wielki czyn... W końcu nie zostałem jednak pilotem myśliwca... Nie jesteśmy też polarnikami. Pamiętasz, jak twoje łóżko było małym kawałkiem kry lodowej i jak płynęliśmy na niej przez ocean, myśląc, że nigdy nie zostaniemy uratowani?

– Pamiętam. Wszystko pamiętam.

Krótki błysk nożyc. I raz! I jeszcze! I jeszcze! I jeszcze!

– Ty też mi wybac...

Rozległo się pukanie do drzwi.

– Odejść! – ryknął Urzędujący Prezydent. – Wynocha!

– Tato... – Dobiegł go głos syna. – To ja, tato...

Boże... No tak!

Przecież on przyjeżdża dzisiaj... Szybciej...

Otworzył. Synek już chciał rzucić się mu na szyję, ale nie wiedzieć czemu znieruchomiał, nie dotykając ojca.

– Co z tobą?

Urzędujący Prezydent spojrzał na swoje odbicie w lustrze... Był cały w strzępach waty. Wata była też porzucana po całym gabinecie. Na parkiecie, na krzesłach, na blacie stołu... Wata, wszędzie wata.

– To nic. Wszystko w porządku. Teraz już w porządku.

– Tato... Bo chciałem zapytać. Nie mogę znaleźć mojego misia... Wiem, że już jestem dorosły i tak dalej – pozalił się syn załamującym się basem. – Ale właśnie

sobie przypomniałem... Nie widziałeś go?

– Ja... On... Odszedł od nas, synku. Na zawsze – powiedział Urzędujący Prezydent. – Biegnij do mamy. Niedługo przyjdę, muszę tu jeszcze dokończyć parę spraw...

Podniósł słuchawkę telefonu i wybrał numer sekretarki.

– Nataszeńka? Tak, to ja. Wszystko, co ci tam nadyktowałem... To tylko dla hecy. Tak, zapomnij o tym. Jak to: zadzwoniłaś już do prokuratury? Ale chociaż do Premiera jeszcze?... Chwała Bogu! A na ósmego marca spodziewaj się małej niespodzianki! Na razie!

Zanim wrócił do rodziny, postął jeszcze przed lustrem, starannie i metodycznie zdejmując z siebie włókna waty.

– Miasto na moją cześć... – mruknął pod nosem. – No jasne... Niby czemu to „jedyna szansa”?... Wszystko jeszcze przede mną! Po prostu trzeba się dogadać z chłopakami...

REFORMA

– Ale on dobrze wygląda, nie? Tak świeżo... – westchnęła Inna.

– Może odtwarzają nagranie? Zwykle nagrywają z wyprzedzeniem, w telewizji to się nazywa „puszka” – powiedziała ze znawstwem Tania.

Płaski telewizor delikatnie błyszczał: w ekranie odbijał się plastikowy kryształ żyrandola, tak gęste, że aż sztywne sałatki z majonezem, cellulitowe mandarynki z „Kopiejeczki”, kłujące złoto anielskich włosów. Tak jakby prostokątny czarny przerębel pokryła już cieniutka warstwa lodu, która odbijała wszystko, co zostało po tej stronie zwierciadła. A po tamtej była otchłani. I w tej otchłani widniał zatopiony czarodziejski gród Kiteż z czerwono-białej cegły, i wirował tam nieziemski śnieg – powolny i uroczysty – co pod wodą jest niemożliwe, dlatego pewnie nie był to wcale śnieg, lecz obumierający od miliona lat plankton; i stał tam siwiejący, ale nie osiwiały mężczyzna z policzkami jak pieczone jabłuszka, w czarnym workowatym płaszczu, i łagodnie jak lekarz na śmiertelnie chorego pacjenta patrzył z tej otchłani wieczności na zabiegane istoty po drugiej stronie warstewki lodu.

– Kiedyś chociaż po Kurantach można było sprawdzić. A teraz co? – pociągnął nosem Matwiej.

Przed reformą Zegar z Kurantami miał wskazówki, ale potem w jedną noc zostały zdjęte i pozostawiono same rzymskie cyfry, które u Rosjanina budziły natrętne skojarzenia z literami U, H i J w różnych kombinacjach. A bez wskazówek Kuranty zaczęły przypominać ni to zastygłe na stacji koło parowozu w świetle latarni, ni to zaćmione Słońce, pochłonięte przez czarny cień w ognistej koronie.

– A w dupie to mam... – ogłosił kategorycznie Andriej, pomilczał przez chwilę, spojrzął na pozostałych gości i uściślił: – Te Kuranty...

Mężczyzna w czarnym płaszczu trzymał w dłoni lampkę szampana. W bladożółtym trunku, jeśli dobrze się przyjrzeć, unosiły się maleńkie bąbelki, przez

co kieliszek przypominał Matwiejowi górną bańkę klepsydry. Bóle fantomowe, uśmiechnął się w duchu pod nosem: jemu to się wszystko z jednym kojarzy.

Przed reformą Matwiej miał dobrą pracę. Na Kutuzowskim Prospekcie znajdowały się trzy lombardy z zegarkami, do których ci, którzy najpierw niespodziewanie dla siebie samych dorobili się i dlatego chcieli zawsze mieć przy sobie świadectwo tego cudu, a potem zbiednieli i zmuszeni byli z powrotem przetopić owo świadectwo na pieniądze, oddawali swoje szwajcarskie zegarki z tourbillonami i bez. Takich ludzi jeździło po Kutuzowskim Prospekcie niemało, właśnie tam przebiegała jakaś ważna arteria komunikacyjna na mapie ich losu. Matwiej pracował w jednym z tych lombardów i cieszył się tam dużym szacunkiem.

Miał za zadanie odbierać zegarki, przeschacowywać i niedoszacowywać ich wartość, diagnozować dotknięte reumatyzmem tourbillony i znów je uruchamiać, żeby następnie robić na nich przebitkę cenową i wręczać kolejnemu pokoleniu królów życia, którzy dopiero co zaczynali swoją wachtę i dlatego na razie byli gotowi zadowolić się cudzym zegarkiem z komisju.

W wyniku selekcji naturalnej i kurczenia się bazy zasobów życie miało coraz mniej królów, ale nowi przychodzili na świat z tymi samymi apetytami i schematami zachowań, co poprzedni, dlatego też handel nie ustawał.

Jedni należycie bankrutowali i zanim ostatecznie zamienili się w plankton, oddawali lichwiarzom nadane sobie samozwańczo regalia, może i pocieszając się myślą, że tourbillony zaczną obracać się wstecz i wszystko się jeszcze ułoży. Jednak bieg czasu i związane z nim prawa ewolucji okazywały się nieubłagane i nikt po swój zegarek nie wracał.

Za to przychodzili inni – po cudze.

Przyglądając się jak sępy, węsząc jak szakale, szacowali korzyści i starali się wytargować jak największą obniżkę za każdy ślad pozostawiony na drogim szwajcarskim mechanizmie przez poprzednią istotę ludzką, za każde świadectwo, że cnota tego zegarka przypadła w udziale innemu, że odliczał już wcześniej sekundy cudzego istnienia. Tak jakby mogło ich to w jakiś sposób splamić!

Minęła era złodziei surowców, mijała era pasożytów budżetowych, nadchodziła era oprychników-sybarytów, epoki kamieniały na jego oczach, ale Matwiej wierzył w przyszłość: w ślad za oprychnikami przysliby jacyś inni sybaryci, w Rosji sybarytyzm i potrzeba udowodnienia samemu sobie, że cud naprawdę nastąpił, były we wszystkich czasach niezmiennie i trwałyby dalej, wychodząc obronną ręką ze zmian szyldów na fasadzie imperium i ikon w gabinetach urzędników.

A tu nagle reforma.

Nie można powiedzieć, że nadeszła zniecka, jak grom z jasnego nieba, w jakimś sensie się na nią zanosilo i gdyby Matwiej był mniejszym optymistą lub gdyby był człowiekiem mniej skupionym na swojej pracy, można powiedzieć, częściej odrywającym wzrok od ruchu zegarkowych trybików w swej monokularowej lupie, i kierującym go na mechanizmy rządzące rosyjskim makrokosmosem, zdążyłby zauważyć, że gigantyczne koła zębate tego świata zwalniają ze zgrzytem. Zdążyłby się wówczas zabezpieczyć, jak koledzy z dwóch innych lombardów z zegarkami, którzy w porę przekwalifikowali się na lichwiarzy-jubilerów, jako że biżuteria w Rosji nie była wciąż zakazana i ochoczo zmieniała palce i szyje, tak jak jeszcze niedawno zegarki zmieniały nadgarstki.

Narodowi nie dano zupełnie czasu na zmianę paradygmatu: w jeden dzień przeprowadzono reformę przez obie izby Zgromadzenia Federalnego i od razu ulicami popędziły łaziki barwy letniej nocy z czerwonymi pasami, wysypali się z nich ludzie w mundurach i kominiarkach, w tej samej chwili zabrzmiały dzwonki do drzwi we wszystkich sklepach, pracowniach i lombardach, i sprzedawcy, lichwiarze oraz zwykli zegarmistrze nie zdążyli nawet pisnąć, zanim było po wszystkim. Wszystkie niewykorzystane zapasy zegarów zostały skonfiskowane na rzecz państwa, a państwo rozporządziło już nimi według własnego uznania; pewnie wymieniło je na obcą walutę i jak to miało w zwyczaju, nakarmiło nią biedotę.

Pozostali dostali tydzień na to, żeby pozbyć się wszystkich możliwych zegarów, zarówno mechanicznych, jak i elektronicznych, przy czym zbierano je do specjalnych kontenerów rozstawionych przy każdej stacji metra. Wszystkim, którzy nie zdążyli pozbyć się zegarów w ciągu tygodnia, przez pierwszy miesiąc groziła kara

administracyjna, a potem również więzienie, i odbyło się nawet kilka głośnych procesów – jeden wytoczony opozycyjnemu aktywiście, a drugi zbyt kapryśnemu aferzyście, których nagle zrównała nie tylko uparta chęć wyrządzenia szkody Ojczyźnie, ale też uparta niechęć do porzucenia bezużytecznego, przestarzałego nawyku, którego trzymali się w istocie siłą inercji, i którym reszta narodu ostatecznie z łatwością wzgardziła.

Zapomniano o sekundach, zapomniano o minutach, a nawet o godzinach, chociaż ludzie próbowali odgadywać te ostatnie po położeniu Słońca na niebie, a potem po prostu zaczęli mówić „w południe”, „rano”, „wieczorem”; tylko zimą trudno było odróżnić ranek od wieczoru, dlatego zaczęli mówić prościej – „wtedy” i „potem”. I to przyjęło się łatwo, z powodzeniem – torując drogę drugiej części reformy, mianowicie zniesieniu kalendarza.

Pozostały pewne nostalgiczne przeżytki w rodzaju telewizyjnych życzeń noworocznych, dzięki którym dawało się jeszcze te nowe lata policzyć; ale i to miało drugie dno, dlatego też, jak plotkowała Tania, tych życzeń nie miało już być wiele: je też planowano odwołać. W końcu były to nacięcia na żywej tkance wielkiego czasu, i nawet sama myśl, by ją nacinać, była bluźnierstwem.

– Wciąż nie rozumiem, czy to było naprawdę konieczne – pociągnął nosem Matwiej, przecierając okulary dziurawą chustką do nosa.

– Jakby wręcz odmłodził – westchnęła Inna.

TANGO

- Tania, no! On już wysiada z samochodu!
- Idę! Zaraz!
- Co tam można robić tak długo? Wessało cię do sedesu, czy jak?
- Chamidło.

Tatiana wreszcie otworzyła. Jej rzęsy były jak pierzaste wachlarze w dłoniach niewolnic sułtana, wargi miały kolor sztandaru Armii Czerwonej rozwiniętego przed decydującą bitwą, w oczach lśnił taki blask, jak u suchotniczej dziedziczki na zakazanym przez lekarzy balu. Włosy kręciły się przećwiczone przez lokówkę; jeden pukiel opadał jej na oko. Niemal taką samą fryzurę miała w USC piętnaście lat wcześniej. Wcisnęła białe piersi w deserowe miseczki wonderbra, ścisnęła talię, biodra spowiła w jedwab koloru nocnego granatu.

- Wystroiłaś się już?
- Idź otworzyć.

Czarny mercedes gelandewagen, kanciasty i groźny, dymił na szaro-niebiesko w przejrzystym powietrzu październikowego wieczoru. Za kierownicą siedział beznamiętny szofer w tanim garniturze, spizowy budda odlany w piecu Federalnej Służby Ochrony, a z otwartych na oścież tylnych drzwi jak ślimak ze skorupy wysuwał się Filipp. Gelandewagen był dla niego ciasny i niewygodny jak gorset, ale widocznie właśnie dlatego niezbędny. Pulchny, tłusty, ogromny Filipp wylewał się z sześciennego samochodu jak ciasto i natychmiast tracił kształt.

- Fil! Filka! – Timur rozłożył szeroko ramiona i zaczął schodzić po schodach.
- O... Timurrr... O... Tańka... Kochani... Cześć... – cieszył się ze spotkania zasapany Filipp. – Kopę lat... Nic się nie zmieniliście...

– A byłoby drugie tyle, gdyby nie Facebook! – powiedział Timur z mieszaniną wyrzutu i skruchy. – Kiedy przeczytałem ten twój post, nie wytrzymałem! Nie myśl,

że się podlizuję! Normalnie się we mnie zagotowało!

– Ehhh, tak, sztakpowiem, zawsze na posterunku... Wartownicy Ojczyzny... Dniem i nocą... Hehhh... – Lśniące wargi Filippa rozciągnęły się w błogim uśmiechu.

Objęli się. Timur utonął w Filippie, w jego miękkiej piersi, w jego perfumach, słodkich i odurzających, tworzących dziwne połączenie z niesłabnącą wonią potu.

– Timka. A Tańka? No chodź.

Tatiana uśmiechała się do niego serdecznie, ale nieprzystępnie, z góry, z wysokości ganku, i Filipp musiał sam do niej wpełznąć.

– Oj, Tańka... Oj. No ty, to ani odrobinki... To znaczy... Nawet lepiej... Nawet znacznie... Jak dobre wino...

Tatiana też w nim utonęła, zaszamotała się. Filippowi zaparowały szkła okularów.

– Nie przesadzaj... Wino... Ha ha. No! Wejdzimy?

Timur uwolnił swoją zarumienioną żonę i pociągnął Filippa do domu. Ten wcisnął się do środka i zajął cały przedpokój. Zdjął ponadwymiarowy płaszcz, przykrył nim wieszak. Głośno prychnął, umył twarz.

– Tak. Chodź, pokażę ci dom. Kuchnia...

– Super.

– Tam jest pokój dzieci...

– Ile macie?

– Dwoje. Odwieźliśmy je do babci.

– Super, super... Dwoje... A Tania świetnie się trzyma! Co, Tania? Świetnie!

– A ty... Masz?

– A skąd... Gdzie tam, Tania... Wciąż tylko praca i praca...

– Tak. Tu jest coś jakby salon – ciągnął Timur. – A to mój gabinet.

– O! Super.

Timur nieprzypadkowo zostawił gabinet na deser. Resztę domu zaprojektowała Tatiana, ale gabinet to było jego królestwo. Sam zamówił u stolarza biblioteczkę, sam dobierał książki, sam wniósł biurko. Wyszedł z tego styl fusion: regały jak

z *Sherlocka Holmesa*, biurko imperialno-nomenklaturowe, na biurku patriotyczny przycisk do papieru i komputer w stylu retro, udawany kominek – monitor LCD w żeliwnej oprawie – za to książki, przeciwnie, autentyczne.

Timur wybrał wszystko, co dało się znaleźć w skórzanej oprawie ze złotymi tłoczeniami, resztę wykonano na zamówienie. Karamzina[9], Sołowjowa[10], Miedinskiego[11]. Księgę kormczą[12], *Domostroj*[13], *Protokoły mędrców Syjonu*. Pięciotomowe *Słowa i czyny Putina*. *Małe tragedie* Surkowa[14]. Dzieła wszystkie Tołstoja. Puszkina. Dostojewskiego. Leskowa. Nowe poprawione Gogola. Życiorysy carów. Pisma tyranów. Wolne miejsca zajął encyklopediami.

Wyszło porządnie.

Książki stały grzbiet przy grzbiecie i każda półka była zestawiona jak kremłowski pułk w szyku marszowym: wszystkie tego samego wzrostu i jakby jednego ojca. Niemożliwe byłoby znalezienie tu właściwego tomu, czy to według tematu, czy alfabetycznie. Obok Stalina stał Patriarcha, a Miedinski opierał się o *Domostroj*. Za to całość wyglądała jak monolit i miała swój styl – tak jak powinno to być w Rosji. Na półkach nie było kurzu, ale nie dało się też poczuć zapachu książek: tomy zamknięto za szkłem, by zabezpieczyć je przed gniciem jak Lenina w jego kryształowej trumnie; podobnie jak on mogłyby doleżeć za tym szkłem aż do powtórnego przyjścia – do nigdy.

– Super! – Filipp uśmiechnął się po ojcowsku do Timura lustrzanym uśmiechem w odbiciu w szybie regału. – Dobry wybór. Właściwy. Co czytasz?

– Czytam... Teraz? Teraz czytam internet. A to mój... – Timur kiwnął głową na półki i zażartował: – ...mój świat wewnętrzny.

– Tak! – potrząsnął swoimi trzema podbródkami Filipp. – Książki! Oczywiście. Książki, bracie, to jest... O, gospodyni! Czym poczęstujesz?

A na stole czekały już wymyślne sałatki, piękną woń roztaczał czarny kawior, chłodził się wstydliwie naiwny krymski szampan i ogólnie rzecz biorąc, wszystko robiło sympatyczne wrażenie. Stół był okrągły, bez rogów i preferencji, i niby wszyscy byli przy nim równi; choć Filipp i tak zagarnął połowę.

– Generalnie, super macie działkę! – podsumował dobrodusznie, wlewając w siebie od razu cały kieliszek. – I kawiorek! Jak u nas w stołówce.

– Będzie jeszcze pieczony baranek – oznajmiła z godnością Tatiana.

– Wszystko się zmieści! – zaśmiał się Filipp, wsuwając sałatki.

– No i jak się masz? Co porabiasz? – zapytał go Timur.

– Co porabiam... Pracujemy. Okrągłe toczymy, płaskie nosimy, sztukpowiem. Wróg nie śpi. Trzeba mieć oko na wszystko. A ty? A wy?

– Ja? Ja to... Cóż, robiłem trochę w biznesie. Pod opieką prokuratury. W sumie było całkiem nieźle... Pobudowałem dom. No, i w Moskwie, wiadomo... Mieszkanko. W Strogino. Ale... kryzys, prawda. I cały biznes, sam rozumiesz... Do śmieci. Mimo opieki prokuratury. Wy tam przecież chyba doglądacie takich rzeczy...

– Wszystkich rzeczy – zapewnił go Filipp. – Wszystkich! Bo my... co? My chcemy, żeby wszyscy byli szczęśliwi! Po to właśnie jesteśmy. Żeby nikt, sztukpowiem, nie odszedł skrzywdzony! Heh... Cały nasz kraj opiera się na ludzkim szczęściu...

– Podsumowując, musieliśmy zamknąć kramik – zakończył Timur. – Cóż, trudno... Za to dzieci się cieszą.

– No tak... Tak... Dzieci... Podobne do ciebie, czy do ciebie, Tańka?

– Do Timura! – powiedziała stanowczo Tatiana. – Synowie. I tak samo uparci.

– A no widzisz... A więc... Nie znalazłaby się wódeczka?

– Nie obrażaj nas! – obraził się Timur. – Taniusza, wyjmiesz? Proszę... Prawosławną...

– Prawo... sławna... Heh... Zdrówko. Więc tak... Widzisz... No, dobra. Może... po prostu... za spotkanie! Kiedy my ostatnio?... Chyba... w dwa tysiące siódmym?

– No tak – Timur kiwnął głową, mrużąc oczy. – Kiedy rozwiązano organizację... Każdy zaczął działać na własną rękę.

– Dobre to były lata, dwutysięczne! Grube... Taaak... – Filipp znów sobie golnął. – Widzisz... Na własną rękę... No, jak na własną, to na własną. A ja zostałem. Organizacja... Organizacji nikt nie rozwiązywał, Timka. Zmieniono tylko

sztyld. Wiesz, u nas w kraju tak jest... Żadnych organizacji nikt nigdy nie rozwiązuje. Ale sztyldy trzeba zmieniać. To zawsze ożywcze.

– Okazałem się... Okazaliśmy się krótkowzroczni – przyznał Timur, polewając nową kolejkę.

– Krótkowzroczni! – Filipp uśmiechnął się pod nosem. – Ale to, co najlepsze w organizacji, zabrałeś ze sobą! – I po przyjacielsku zajrzał Tatianie w dekolt.

– Młodzi jeszcze byliśmy, głupi... – Tatiana się zarumieniła.

– Byliśmy młodzi... I tak mało nam było trzeba... Co nie? Na przykład ty, pamiętasz, Timka? Byłeś dowódcą ogniwa. I dali ci wtedy pager, za darmo. Co nie? Za to, że zwerbowałeś swoją piątkę. Mnie wciągnąłeś, Taniuchę... A ja ci, słowo honoru, tak tego pagera zazdrościłem... Heh...

– Za dwutysięczne? – uniósł kieliszek Timur.

– Za dwutysięczne! Pager, kurde... Nie, Taniucha? Timurka to był orzeł! Dowódca ogniwa, pager przy pasie! No pewnie, nie da się w takim nie zakochać! Co nie?

– No nie da się – Tatiana upiła odrobinę.

– O, to, to! – Filipp uśmiechnął się z goryczą, pogładził się po tłustej potylicy, po fałdach, które biegły od czubka głowy aż do pleców. Zdjął okulary, przetaił szkła. – Dobrze to były czasy. Wszystko się wtedy działo pierwszy raz. Pager... Komórka. Nokia z klapką. Nokia, kumasz? Gdzie ona teraz jest, ta nokia... Ekhem. Własny samochód. Koreański, ale swój. Co nie? Wynajęte mieszkanie. Kawalerka. Ale w Moskwie, i własna! Co nie? No i, rzecz jasna, miłość... Pierwsza... – Puścił oko do Tatiany. – Wszystkie te rzeczy. I tak to człowieka jarało! Codziennie. A teraz co... Teraz trudno znaleźć coś nowego. Czegokolwiek się chwycić, wszystko już było. Samochody, mieszkania... Kobiety, Taniucha... Nawet kobiety... Przebierasz w nich, wybierasz... A takiej miłości już nie spotkasz.

Tatiana wypiła do dna.

– Ja też... tęsknię... – westchnął Timur. – Ale wiesz, nie za pagerem... Co tam pager... Ale za duchem... wolności. Za duchem... buntu czy coś... Choćby wszystkie te nasze akcje... Jakie to było fajne! Jakie odważne! Wręcz bezczelne!

Pod ambasadą amerykańską... Albo jak obrzucaliśmy jajkami gównokratów... To był prawdziwy rock and roll! Właśnie tego mi brak... W biznesie tego nie ma, nawet pod opieką prokuratury...

– Cóż... Jest jeszcze FSB... Pewnie u nich jest więcej rock and rolla... – Filipp otarł kark.

– Nie. – Timur z rezygnacją nabrał kawioru łyżką stołową. – Nie, Filia. U nas w biznesie wszędzie jest więzienny szanson.

– Myślisz, że można wrócić do swojej młodości? – spytał przez zaparowane okulary Filipp, przechodząc do rzeczy.

– Chłopcy... Zmienię teraz nakrycia... Do baranka. Przesiedlibyście się na chwilę? – zaproponowała Tatiana. – I weźcie ze sobą butelkę, bo mi tu przeszkadza.

Filipp wstał, z brzękiem popychając brzuchem stół.

– Do gabinetu? – zaproponował Timur. – Jest tam kominek... Palisz cygara?

– Nie trzeba nakarmić twojego szofera? – przypomniała sobie Tatiana.

– Nie... – Filipp machnął ręką. – Jeszcze mi go przyzwyczaisz...

Wśród książek rozmawiało się inaczej. Timur wytoczył sobie sześciokołowy fotel ze swojego dyrektorskiego okopu, żeby nie wyglądało, że przyjmuje Filippa na audiencji: było przecież odwrotnie. Filipp zajął całą skórzaną otomanę samą tylko dupą. Przytulnie płonęło wirtualne palenisko, dym z cygar gryzł w oczy, stulecia bezdomnej rosyjskiej historii, uczesanej, dobrze ubranej i przyciętej pod linijkę, patrzyły na nich z wdzięcznością z półek z książkami.

– A więc do młodości... powrót... – powrócił do młodości Filipp.

– Gdyby to tylko było możliwe... – Timur spojrzał na niego pytająco.

– Znów, jak wtedy... Pracować w jednym zespole? – uściślił Filipp.

– To już... To już spełnienie marzeń... – Timur zakrztusił się marzeniem.

– Walka o ludzkie serca... – zaciągnął się Filipp. – Wspólna...

– Dla dobra Ojczyzny... – przytaknął Timur.

– Taaak... Jasne. Jasne. Tylko wiesz, Timurka... Młodość minęła. Świat już nie jest taki sam. Przed Ojczyzną stoją inne wyzwania.

– Rozumiem! – Timur się wyprostował. – W końcu czytam internet. Patriotyczny. No a poza tym – powiódł gestem po książkach – ćwiczę swój świat wewnętrzny.

Filipp zaczął się wiercić. Otomana jęknęła.

– A powiedz mi... – zaczął mówić ze wzrokiem utkwionym w książkach. – Czy one ci tu nie ciążyą?

Timur nieco się speszył, wzruszył ramionami, żeby zyskać na czasie, i zastanowił się nad odpowiedzią.

– A powinny?

– Tak sobie na nie patrzę – Filipp wyszczerzył się w łobuzerskim uśmiechu, jakby ktoś przeciął chlebek siekierą na pół – i też wspominam naszą młodość.

– Cóż, książki... Oczywiście. Książki, Filka, są fajniejsze od pagerów. Książki są na całe życie... Z dzieciństwa, z młodości... Zostają w duszy na zawsze...

– Pamiętasz tamtą akcję pod Teatrem?

– Pod Teatrem Bolszozj?

– Z książkami!

– Sorokina, tak?

– Tfu! Żeby tak na głos jego nazwisko, tego kurwieszona.

– Pamiętam!

– Pamiętasz sedes ze styropianu? Ten, do którego wpychaliśmy te jego książki?

– No ba! Trzy dni go rzeźbiliśmy... Wesoło było...

– O tak, to było to! Wtedy po raz pierwszy poczułem, że robię coś ważnego. A potem jeszcze... Pamiętasz? Wyciągaliśmy całe to gówno i je paliliśmy!

– *Uczta, Norma...*

– A... Zapamiętałeś tytuły? Heh...

– Cóż, sami je drukowaliśmy...

– Wy drukowaliście. Ja tam byłem od noszenia... Ale naprawdę mi się podobało, wiesz co? Wciskanie tej kupy papieru... Do środka. Do wnętrza tego kibla. Jakbym to topił. Jakbym go karmił.

– Tak... Jeśli to nie był rock and roll, to już nie wiem, co...

– A ile kamer przyjechało... A pismaki jak pisali... Co nie? My wtedy tą akcją trafiliśmy w sam nerw... Wszyscy jajogłowi zaczęli wyć... Polej no...

Timur dolał z butelki. Wódka wchodziła przyjemnie, gładko.

– A on sam jeszcze stąd nie spieprzył? Ten... autorzyna? – zainteresował się Filipp.

– Podobno jest w Niemczech...

– Śledzisz jego losy, co? Śledzisz! Może nie trzeba było pracować pod prokuraturą, tylko przeciwnie, pod Komitetem Śledczym? Co nie? Skoro masz do tego serce... – zażartował Filipp.

– Filia, ja nie chcę rządzić ciałami, ja chcę rządu dusz – zażartował Timur.

– No, no... Dusz...

Cygaro gościa wypaliło się szybko jak Lermontow. Filipp oderwał dupę od siedzenia, z chrzęstem wyprostował grzbiet, otarł kark, zgasił niedopałek cygara w patriotycznej popielniczce. Otworzył na chybił trafił witrynę z książkami, zaczął dotykać skórzanych grzbietów.

– W Niemczech... W kolebce faszyzmu... dali mu schronienie...

A Timur patrzył, jak tłuste palce kroczą po nazwiskach, i paliło mu się coraz gorzej: brakowało mu tchu. Gość, wiedziony jakimś inkwizytorskim instynktem, od razu trafił na najgorszą możliwą półkę i sunął wzdłuż niej w najgorszym możliwym kierunku.

– Stołypin... Skuratow... Mołotow... Suworow... Historia NKWD, ilustrowany album upominkowy... I to są właściwe książki, rozumiesz... Mogę wziąć i poczytać? – Filipp chwycił za kark biografię Maluty Skuratowa[15] i pociągnął do siebie.

– Chodźmy do kuchni, co? Baranek już chyba gotowy... I wódka się skończyła...

– Timur pospiesznie dolał sobie resztkę i wypił do dna.

Filipp ruszył w stronę kuchni, obejmując się z Malutą. W pułkowym szyku powstała czarna wyrwa; jak się okazało, półki były zaprojektowane nie na jeden rząd książek, ale na dwa; lecz nie było czym tej głębi wypełnić; za pijacko

przechylnymi filarami rosyjskiej myśli czerniała pustka, skłaniając do skojarzeń ni to z wioskami potiomkinowskimi, ni to z walizką o podwójnym dnie.

Timur obejrzał się przez ramię na tę czarną dziurę. Kłůła go w oczy, szargała nerwy. Z kuchni dobiegło dudnienie:

– Taniuszka... Niech ci pomogę...

I odpowiedź:

– Ostrożnie, nie skalecz się. O...

A potem:

– Jakie ty masz perfumy... Co to za perfumy?

I ona:

– Perfumy? Dziś się nie perfumowałam...

Timur przygryzł język. Podszedł do regału, wsunął rękę w czarną dziurę. Wyciągnął stamtąd cieniutką, podniszczoną książeczkę, niepodarunkową i nieilustrowaną, przypominającą raczej samizdatową broszurę: *W. Sorokin. NORMA*. Jeszcze raz wsłuchał się w to, co dzieje się w kuchni: są zajęci? Zajęci. Ukradkiem otworzył.

„Gusiew stał pośrodku swojego jedynego pokoju całkowicie zawałonego książkami. Tamtych czterech stało obok. Niech pan siada, Borisie Władimirowiczu, poradził chudzielec. Proszę pokazać nakaz... i w ogóle... dokumenty...” – Timur odczytał szeptem fragment *Normy* i zimny dreszcz przeszedł mu po plecach.

Otworzył pierwszą lepszą witrynę, wyciągnął losowo Kurginiana[16], wepchnął w skrytą za Kurginianem próżnię niewysoką broszurkę, wcisnął Kurginiana z powrotem, przeżegnał się. Przeżegnał się jeszcze raz, na wypadek, gdyby za pierwszym zabezpieczenie nie zadziałało.

W kuchni Filipp i Tatiana kroili mięso: prawymi rękami trzymając trzonek tego samego noża. Skurатов leżał okładką w dół na blacie.

Timur wszedł, powiedział „ekhem”, tamci dwoje niezgrabnie się rozłączyli.

– Tak trzeba to robić, w poprzek włókien – powiedziała surowo Tatiana. – Mógłbyś się nauczyć, skoro już żyjesz bez gospodyni.

– Cóż... Zawsze zamawiam z restauracji. Całkiem się rozleniwiłem. – Filipp zakołysał brzuchem. – Potrzebuję, żeby ktoś wziął mnie w obroty. Bo się zaniedbuję.

Timur wydobył z zamrażalnika jeszcze jedną butelkę wódki. Tatiana wyłożyła na stół pokrojone jagnię. Filipp zdjął buty. Na zewnątrz zrobiło się ciemno.

– Dobrze tu u was – powiedział Filipp.

– Zostań na noc – zaproponowała Tatiana. – Pościelimy ci w salonie.

– Dajcie spokój... – Jego podbródki zafalowały. – Nie jestem bezdomny. A oto i szofer.

– À propos, nakarmić go? – spytała Tatiana, wyfruwając z kuchni.

– Nie można – uciął Filipp. – Nie wolno mu brać od obcych.

W salonie zastukotały kastaniety, posypały się nerwowe nuty fortepianu, zaśpiewała cięciwa skrzypiec.

– Co to? – mlasnął, jedząc baranka, Filipp.

– Tango – powiedziała krótko z progu Tatiana. – Argentyńskie.

– A co to, rosyjskiego nie ma? – zażartował Filipp.

Tango okazało się zapętlone i wieczór zamieniał się w noc przy jego rzewnym akompaniamencie.

– A ty pamiętasz, Taniucha, jak topiliśmy tę gnidę w kiblu?

– Co?

– No, tamtą akcję pod Teatrem Bolszoi. Kiedy wpychaliśmy do sedesu główniane książki. Przecież brałaś w tym udział!

– Ja... Tak.

– Taka ładniutka wtedy byłaś, sam wdzięk. Rumiana od skandowania. Patrzyłem na ciebie przez cały happening. Upycham książki w sedesie, a patrzę tylko na ciebie. A potem... Pewnie już sto razy zdążyłaś zapomnieć... Po akcji zaprosiłem cię do kina.

– Nie zapomniałam.

– A ty nie poszłaś. Odmówiłaś. I wzięłaś Timkę za rękę. A ja do was: „zakochana para, Jacek i Barbara”. Heeeh.

– Byliśmy już wtedy razem.

– A Timur łapie za pager, że niby przyszła wiadomość.

– Bo dostałem wtedy wiadomość! Podziękowania. Misja wykonana i tak dalej.

– A ty, Tańka, na niego takimi oczami... Zakochanymi... Timurrr...

– Daj spokój, Filia...

– Ale co daj spokój? Przecież chcieliście młodość powspominać! No to trzeba wspominać! Zresztą ja cię nie winię. Timur był wtedy oho-ho! A ja? Grubas z polibudy. Byłem grubasem i grubasem pozostałem.

– Dlaczego tak mówisz? Po co tak o sobie mówić? Jesteś mężczyzną... Bardzo atrakcyjnym. Jest w tobie, wiesz... Taka władczość... To na pewno kobiety... One na pewno mdleją, kiedy tak na nie patrzysz...

– Przymilają się, Tania. Wszystkie tylko patrzą, co powiem. Władza... Czyni człowieka samotnym. Wszyscy się przed tobą płaszczą, wszyscy padają plackiem, wszyscy o coś żebrzą. I jesteś dla nich wszystkich jakby panem, ale właśnie dlatego nie może być między wami bliskości. Patrzysz na nich i myślisz: czego ta glista ode mnie chce? I jak mam ją za to najlepiej wykorzystać? Rozumiesz?

– Rozumiem.

– No tak. Super ten baranek.

– Ale przecież oni też to rozumieją – powiedziała cicho Tania. – Oni też są gotowi, żeby ich wykorzystano. Tak więc to jest... Jeśli to za obopólną zgodą. To co w tym złego?

– A gdzie miejsce na miłość? Miłość jednego człowieka do drugiego?

– A czy w miłości najśłodsze nie jest to, że możesz drugiego żywego człowieka wykorzystać dla swojej przyjemności? Nie trunek, nie narkotyk, ale żywego człowieka?

– Tania! Och, Tańka! Tak... Chodźmy, Timur, zapalmy. Po wódce trzeba palić.

Wrócili do gabinetu.

– Ładne te książki... Stoją tak... Gdzie ty znalazłeś takie wydania?

– Zamawiałem. Są tacy, co potrafią w takiej oprawie wydrukować, co tylko chcesz.

– Ciekawe. To co, może naprawdę zostanę u was na noc?

Nie patrzył mu w oczy, patrzył znów na witryny. Studiował je w zadumie. Potem w roztargnieniu postukał palcem w jedną z nich, otworzył... I znów w magiczny sposób trafił na tę samą półkę, na której Timur ukrywał zakazaną książkę.

– Zostań, oczywiście! Dasz wolne szoferowi?

– Po co?

– No, albo może wpuścimy go, żeby się wysikał?

– Wytrzyma. Posiedzi. Po-sie-dzi. Heh... Tak. No, a ty jak? Jak widzisz swoją przyszłość?

– Ja... Jeśli mam być szczery, to nie wiem co robić, Filia. Pieniądze... No, trochę zarobiłem. Ale za pieniądze nie mogę kupić wszystkiego. Tęsknię za tą energią. Za prawdziwym działaniem. Muszę wejść na nowy poziom. Level up, czujesz?

– Up? W grach jest up. A w naszej pracy – Filia postukał paznokciami po grzbietach książek w takt zawodzenia skrzypiec – w naszej pracy to jest zawsze level down. Jesteś gotów zejść down?

– Jestem gotów na wszystko – powiedział Timur, z niemal nabożnym przerażeniem obserwując, jak paznokcie Filippa, paznokcie z czarną obwódką studenta polibudy, bezbłędnie jak namagnesowane skradają się do luksusowego wydania *Zbrodni i kary*, sąsiadującego z Kurginianem, za którym przeczekiwała sorokinowska *Norma*.

– Ja bym... – Filipp zamarł, milczał przez chwilę. – Ja bym dziś, jak Boga kocham, na środku placu Czerwonego postawił ogromny żelazny sedes. I topiłbym w nim całe to liberalne pedalstwo, tych, co jeszcze nie wyjechali. Spuszczałbym prosto do kanalizacji.

– Odważnie!

– A co... Trzeba zaproponować... Heh... Trzeba zaproponować na zebraniu... Mówi się przecież, że brakuje świeżych pomysłów... No to macie, świeżutkie... A tak serio, Timka, to sam na pewno rozumiesz. Czasy rock and rolla w polityce minęły. Teraz jest czas Chóru Aleksandrowa. Czas połączonych chórów MSW. Czas pieśni wojennych. Czas pobożnych hymnów. Czas *Boże, zachowaj cara*.

– Dobra.

– Dobra? – Filipp zmrużył oczy.

– Przyjrzyj się. Ten mój świat wewnętrzny... – Timur uśmiechnął się niezręcznie, kiwając w stronę półek. – Ja go dostosowuję.

– Tak. Książki! – Filipp pogłodził grzbiet *Zbrodni i kary*. – Książki. Cóż, książki są oczywiście znacznie gorsze od filmów. Film trzeba jeszcze nakręcić. A ilu w to ludzi trzeba zaangażować! I wszystkim płacić. A sal kinowych jest w kraju niewiele. Z wypożyczalni się nie zwróci. Potrzeba wsparcia państwa. No a tu... A tu już słuszne filmy dostają wsparcie, a niesłuszne, to, koleżko, sam sobie rysuj w zeszycie, heh... Natomiast książki! Przy nich nie potrzeba przecież żadnej organizacji, żadnej grupy ludzi, żadnego finansowania. To jednoosobowy terroryzm, najbardziej niebezpieczny! Jeden rozpalony mózg i jeden komputer... I koniec. Niczego więcej nie trzeba. Koperta z węglikiem gotowa. Ślesz go przez internet, a potem patrzysz, jak cały naród wymiera. Faszyzm czy jakikolwiek ekstremizm, proszę bardzo! Książki... Ich nawet do kibla nie wystarczy wrzucać, je trzeba palić. Powinno się ścigać za ich posiadanie! No bo co... Jak przechowujesz, to znaczy, że dzielasz poglądy...

– Ja... Ale, na przykład, u Sorokina... Co tam aż takiego jest? Jeśli już wspominamy.

– Tam? On miesza Imperium z gównem. Ot co. Mówi, że wszyscy byliśmy gównojadami, ludożercami i homosiami. My! Nie oni tam, ale my! To jest literatura?! To jest dywersja! Jak ktoś ma coś takiego na twardym dysku, to za coś takiego powinno się go zamknąć jak za przepis na zrobienie bomby! Racja?!

– Racja. Oczywiście, że tak.

– Samizdat zniszczył Imperium, czujesz? I w ogóle... – Filipp zdjął zaparowane okulary, przetarł je. – Człowiek, który postanowił nauczyć ludzi czytać i pisać, to był dupek. Nie dupek, a wręcz szkodnik. Analfabeta jest na węglika zaszczepiony. Mamy dbać o zdrowie narodu, czy o to, żeby naród psuł sobie oczy?

– O zdrowie. Może za to wypijemy, co?

– Dobra.

Filipp pstryknął Dostojewskiego w nos, wychylił kieliszek wódki, beknął.

– Zacerpnę powietrza. – I wyszedł z pokoju.

Przez huk krwi w uszach znów zaczęły się sączyć dźwięki tanga.

Timur wyjął *Zbrodnię*, wymacał nielegalną *Normę*, ocaloną i schowaną za pazuchą w tamten pochmurny czerwcowy dzień, ułaskawioną przez niego tylko z głupiej dziecięcej ciekawości wobec wszystkiego, co zakazane, przeczytaną raz, a potem drugi ze zdumieniem, i ukrytą wśród słusznych książek, jak zdobyczny niemiecki parabellum zakopany w ogrodzie czcigodnego weterana. Nie po to, by stawiać opór sowieckiej władzy, lecz na pamiątkę swojej bojowej młodości.

Rozejrzał się gorączkowo.

Omał nie wrzucił *Normy* do kominka – tak naturalnie paliły się telewizyjne drwa. Zrozumiał, że jej nie spali, zaczął się pocić. Wsunął broszurę w spodnie, poleciał do toalety, zamknął się od środka. Zaczął śliskimi rękami drzeć stronice na kawałki, patroszyć całymi składkami, na pół, potem jeszcze raz na pół, i jeszcze. Rozrywać tę przeklętą książkę. Trzeba było natychmiast się jej pozbyć, tej nieprzyzwoitości, tego diabelstwa, krzyżyka na przyszłej przemianie Timura.

Chciał wyrzucić szczątki do kosza na śmieci, ale bał się. Musiały zniknąć bez śladu... Bez śladu. Wrzucił je do sedesu, spuścił wodę, pobiegł myć ręce.

Klamka w drzwiach poruszyła się.

Timur zamarł.

– Kto tam jest? Timur? – zapytała Tatiana.

– Ja... Tak... Już... Przypiliło mnie.

Zajrzał do muszli – i oniemiał.

Rękopis nie tonął. Strzępki zlepily się w jedną całość, układając się w nowy dziwny tekst – całkiem czytelny z tej odległości – i sedesową przerębel jakby skuł lód. „Ola wyjęła torebkę, na której leżały resztki normy, zaczęła skubać i jeść: cały dzień tak dziobie i nie mogę skończyć... Koszty produkcji... To nic, Żenia, zaraz przebijemy pęcherz, wyleczymy...”

– Timur, no! Nie tylko ty mieszkasz w tym domu!

– Fiasko... – odpowiedział jej bezgłośnie Timur.

Nacisnął przycisk jeszcze raz. Strzępy się przetasowały, ale nie utonęły. „Lida wyłożyła normę na spodek. Nikołaj Iwanowicz wziął łyżkę, przysunął normę, nabrał, żuł apatycznie... Zeskrobał brązowe resztki ze spodka i przysunął miskę charczo... Wrzuciła normy na skwierczący olej, zaczęła rozczłonkować je nożem...” – czytał tępo Timur.

– O! Jest kolejka? – Przez szparę wślizgnął się dobroduszny baryton Filii. – W takim razie będę ostatni.

Timur spuścił wodę jeszcze raz. I jeszcze. Dolnopłuk wysechł i teraz tylko spazmatycznie przełykał ślinę – całkiem jak sam Timur. Wszystko było stracone.

Obmył się lodowatą wodą, wytarł frotowym ręcznikiem, przeżegnał się i otworzył drzwi. Niepotrzebnie to tam wpychał. Wyszedł z ubikacji blady, wstąpił na korytarz jak na szafot. Tatiana i Filipp stali za drzwiami. Timur nie znalazł w sobie sił nawet na żart, po prostu skłamał.

– Coś mi nie podszedł ten baranek.

Wrócił do gabinetu, usiadł na sześciokołowym fotelu, zapalił ostatnie cygaro. Jak przez warstwę waty słyszał niecierpliwe trzaśnięcie drzwi do toalety. Kto tam jest? Tatiana czy Filipp? Ile czasu mu jeszcze zostało?

Było tam cicho. Straszna była ta cisza. Timur wyobraził sobie Filippa, który wpatruje się przez swoje grube soczewki w zlepione skrawki papieru, od razu, rzecz jasna, rozpoznając tekst, od razu wydając wyrok na Timura.

Wszystko zagłuszało tango.

Nie mógł usiedzieć.

Zostawił cygaro, wyszedł na korytarz. Pusto.

– Tania?

Tango. Przyłgnął do drzwi.

– Młodość... Ja tylko o tobie... Tylko o tobie marzyłem... Taniusza... Dla mnie młodość to ty... Tylko ty nią jesteś... Powrót do młodości... Jest w tobie... W tobie... Rozumiesz? Czujesz? – dobiegał zza drzwi zdyszany szept.

– Rozumiem. Czuję. Odkręć wodę. Ja to zrobię.

Tango i szemranie źródelka.

– No... Nie ma niczego... Oprócz ciebie... Chodź... Tutaj... Daj... Daj...

Tango i chóralny śpiew.

Timur klęczał przed dziurką od klucza, przed nim migotały kolory: niebieski, czarny, cielisty – migotały i przeszkadzały mu dojrzeć to, co najważniejsze. Czy Filipp widzi, co jest w sedesie? Czy papier w końcu spłynął, czy nie?

Poszedł do kuchni, przyssał się do lodowatej butelki z wódką.

Siedział tam, gubiąc się w domysłach.

Czytał z pamięci, ze śladów na siatkówce, niezatapialną powieść.

Po jakimś czasie wszedł Filipp – rozchełstany, rozpalony. Usiadł przy stole, nalał sobie kompotu.

– Taa – powiedział. – Cóż... Baranek rzeczywiście... Okazał się...

Timur patrzył na kawior.

– Nadal chcesz wrócić do młodości? – spytał Filipp.

Timur zaczął smarować kawiozem chleb, myśląc o normie.

– Chcę.

Filipp beknął z zadowoleniem.

– Do młodości nie da się wrócić, Timka! Nie da się. Heeeh... Wiesz? Właśnie to sobie uświadomiłem.

– Nie da się? – Timur wytrzeszczył na niego udręczone oczy.

– Nieee. Ale! Ale dojrzałość też ma swoje zalety. Kumasz?

– Kumam.

– Ale nie cykaj. Akurat wyleciał jeden z piątki moich zastępców. Tak więc... – Filia ojcowskim gestem poklepał go po karku. – Tak więc witamy w dojrzałości!

[9] Nikołaj Karamzin (1766–1826) – rosyjski pisarz i historyk, w młodości liberał, później procarski konserwatysta.

[10] Władimir Sołowjow (1853–1900) – rosyjski myśliciel prawosławny, inspirował m.in. Fiodora Dostojewskiego.

[11] Władimir Miedinski (ur. 1970) – rosyjski historyk i polityk, autor hurratriotycznej pop-historycznej powieści *Mur*.

[12] *Księga kormcza* – zbiór przepisów prawosławnego prawa cerkiewnego.

[13] *Domostroj* – XVI-wieczny zbiór przepisów i porad obyczajowych, rodzinnych i religijnych dla ruskiej szlachty.

[14] Władisław Surkow (ur. 1964) – rosyjski polityk, jeden z głównych kremlowskich socjotechników i PR-owców.

[15] Maluta Skuratow (?–1573) – słynny z okrucieństwa dowódca oprychników, zaufany cara Iwana Groźnego, bohater powieści W. Sorokina *Dzień oprychnika*.

[16] Siergiej Kurginian (ur. 1949) – ultrakonserwatywny, antyliberalny rosyjski polityk i reżyser teatralny.

KOMUNIA

Prezydent wstał i zadzwonił srebrną herbową łyżeczką o herbowy, inkrustowany złotem kieliszek w zasadzie pełen szwajcarskiej wody mineralnej.

– Panowie!

Sala ucichła posłusznie i z lekką obawą.

A przecież każdy z siedzących przy stole sam mógł takim grzecznym brzękiem srebra o kryształ uciszyć nie tylko dowolny hałaśliwy bankiet, ale i szalejący stadion! Lecz wszyscy ci tak dalecy od prostoty ludzie wiedzieli jedno: przed Prezydentem, pomimo dość niepozornego wyglądu, zawsze trzeba się mieć na baczności. Zdarzało się, że ciche srebrzyste pobrzękiwanie na takiej właśnie uroczystej kolacji, która z początku nie zapowiadała żadnego gilotynowania kadr, dla części obecnych zamieniało się w dzwony na trwogę. Czego się spodziewać tym razem? Komu bije łyżeczka?

Widelce opadły nie na talerze, a na obrusy, by nie wydać najcichszego dźwięku ani przypadkiem nie zwrócić na siebie uwagi.

Prezydent milczał intrygująco.

Puls tych, którzy na sumieniu mieli jakieś grzeszki, przyspieszył. Przypomniawszy sobie o silnej niechęci Prezydenta do wszystkich bez wyjątku rodzajów alkoholu, ci, którzy zdążyli zamówić szampana, teraz po kryjomu chowali kieliszki pod stół. Ktoś ledwie słyszalnie walczył z sobą, próbując mimo nerwowego spazmu przełknąć więznący w gardle kawior. Pozostali, jak się zdawało, na wszelki wypadek przestali nawet oddychać.

Jesiotr tracił świeżość, wysychały mleczne prosięta, kozuch zasnuwał beszamel.

– Panowie! Wiem, co uratuje Rosję!

Prezydent rozejrzał się po zebranych znacząco, a nawet nieco kokieteryjnie.

W sali dał się słyszeć zbiorowy wydech, ktoś nawet ukradkiem zwymiotował. Dramatyczną pauzę wypełniło wznowione ciche mlaskanie.

Był jednak w tej sali stół, przy którym po nowych słowach Prezydenta zapanowała znacznie bardziej napięta, ciężka cisza. Grube mocne palce zabębniły o drewniany blat. Trzy spojrzenia – szare, twarde i kłujące jak fryzura pułkownika spadochroniarzy – spotkały się i przeskoczyła między nimi zimna iskra. Na ich stole talerze były czyste jak zamiary porucznika kremłowskiej kompanii straży honorowej i lśniące jak jego guziki. A także puste jak jego wzrok. Stół, przy którym siedzieli, był ponury: zamiast półmisek z frykasami, na śnieżnobiałym obrusie leżały tylko dwa przykryte dłońmi przedmioty: oficerska manierka i papierośnica.

Ci ludzie ewidentnie nie przyszli tu, by jeść.

Prezydent wsunął rękę do wewnętrznej kieszeni swojej dopasowanej ciemnogrnatowej marynarki, wyjął błyszczący czarny prostokąt i zademonstrował go zebranym.

Sala czknęła z zainteresowaniem.

– Pozwólcie, że zaprezentuję wam iPhone’a cztery! – powiedział triumfalnie prezydent.

Wzdłuż stołów przeszedł pełen szacunku szept.

Naciśnięciem guzika Prezydent włączył w zdumiewającym urządzeniu kamerę wideo i uchwycił w obiektywie siedzących na sali gości, trochę jak Stalin delegatów XVII Zjazdu WKP(b) w celowniku sprezentowanego mu karabinu snajperskiego, ale, jak się zdaje, bez negatywnych podtekstów.

Mimo to niektórzy ze szczególnie energicznie żujących przestali to robić, a ktoś wyczulony na historyczne aluzje nawet się zakrztusił.

Cud-telefon zrobił też wrażenie na trójce siedzącej przed pustymi talerzami.

– Dusza boli – powiedział samym ruchem warg pierwszy, mocno zbudowany mężczyzna o czerwonej gębie, który w najlepszym razie wyglądał na emerytowanego wojskowego.

– Co oni robią z Ojczyzną! – wyszeptał gorzko drugi, niedwuznacznie rumiany mężczyzna z sinawymi żyłkami widocznymi na obwisłych jak u buldoga policzkach,

trzymający się prosto, jakby nabitą go na pal.

– Czas już, panowie – podsumował ponuro trzeci, na którym nawet swobodny włoski trzyczęściowy garnitur wyglądał jak sztywny generalski mundur.

Zadowolony z wywołanego efektu Prezydent uśmiechnął się szeroko, szczerze, z dobrocią, trochę dziecinnie, i przemówił:

– Jak wiecie, właśnie wróciłem z Doliny Krzemowej. To, co tam zobaczyłem, zadziwiło mnie i skłoniło do ponownej refleksji. Doszedłem do wniosku, że budowanie naszej gospodarki na gazie i dalsze robienie pieniędzy z powietrza to droga donikąd. Nasz kraj potrzebuje innowacji! Najnowocześniejszych technologii! High-tech! I właśnie dlatego wnoszę ten kieliszek niegazowanej wody mineralnej za miasto-ogród, które planujemy stworzyć w Skołkowie...

Spoczywały na nim setki spojrzeń – zaciekawionych, osowiałych, uważnych, służalczych, uprzejmie sceptycznych, aprobujących... I jeszcze trzy – lepkie, zimne, drapieżne.

Grube palce odkręciły zamocowaną na łańcuszku zakrętkę i oficerska manierka ruszyła wokół stołu. Każdy z siedzących wypił łyk i po męsku chrząknął. Ci ludzie ewidentnie nie pili za rychłe zatwierdzenie Skołkowa przez państwową komisję.

– Pozostaje tylko znaleźć do niego dojście – odezwał się jeden z popijających.

– Plan jest dość ryzykowny... – powiedział głucho drugi. – Ale to nie może dłużej trwać.

– Po prostu nie mamy wyboru – powiedział trzeci poważnie, jakby ogłaszając wyrok całej trójki.

I położył na stole lekko zgniecioną na jednym z rogów srebrną papierośnicę[17], na której widok wyczuleni na historyczne aluzje z pewnością zakrztusiliby się jeszcze raz.



– No i co tam wśród naszego ludu? – Prezydent oderwał wzrok od iPhone'a cztery i niemal serdecznie uśmiechnął się do dyrektora Wszechrosyjskiego Centrum

Badania Opinii Publicznej. – Opowie pan?

Ten szybko i przymilnie pokiwał głową, po czym zagłębił się w stosie papierów, które przyniósł z sobą. Zakopał się w nich i jakby zapomniał o imperatorskim pytaniu.

– Siemionie Siemionowiczu – nazwał go na chybił trafił Prezydent. – Jak tam lud? Bardzo mu się podoba?

Dyrektor WCBOP wciągnął głowę w kołnierz marynareczki i cały wyraźnie się skurczył.

– Cóż, pana innowacje... Ludzie ich jakby... Nie bardzo... Z sondaży wynika, że jakby... To troszeczkę zbyt egzotyczne... Taki jednak mamy... lud – podsumował dyrektor i ciężko westchnął.

– Innowacje! Walka z uzależnieniem od sprzedaży surowców i nadmierną wrażliwością na światową koniunkturę gospodarczą! Co w tym egzotycznego? – Prezydent uniósł brwi.

Dyrektor WCBOP-u wzruszył ramionami. Przez całe spotkanie nie ośmielił się spojrzeć Prezydentowi w oczy i dalej tulił się lęklwym wzrokiem do skraju dywanu.

– Niech będzie! – spochmurniał Prezydent. – A jak im się podobają moje działania na rzecz wzmocnienia niezależności sądownictwa?

– Nie rozumieją – skulił się dyrektor.

– A decyzja o zobowiązaniu urzędników do ujawniania swoich dochodów?

– Nie wierzą – zabczał dyrektor.

– A reset w stosunkach z USA?

– Nie chcą...

– A Deep Purple?...

– Ale oni wolą Lube...

– A iPhone cztery?! – zawołał Prezydent.

Dyrektor spojrzął na tabele statystyczne i wciągnął konwulsyjnie powietrze jak wyłowiony ze stawu karp.

– Nie rozumiem! – Prezydent zerwał się zza biurka.

iPhone cztery odleciał, grzmotnął o podłogę, zrobiło się w nim zwarcie i zaczął przekazywać wszystko w przeciwną stronę: z głośnika dały się słyszeć rozmowy pracowników amerykańskiej Agencji Bezpieczeństwa Narodowego. A jednak wypuścili go z backdoorem, łobuzy!

Nie zwracając nawet uwagi na zdradziecki gadżet, Prezydent podszedł do okna, oparł czoło o zimną czarną szybę i zazgrzytał zębami z bezsilności.

– Zupełnie jakbyśmy – w jego głosie brzmiała rozpacz – rozmawiali innymi językami!

Dyrektor WCBOP-u kaszlnął nerwowo.

– Mam tu... Analizę... Przyniosłem. – Gorączkowo się rozejrzał. – Jest w pokoju obok. Tam stoi projektor.

– Już późno, Siemionie Piotrowiczu – pokręcił głową zmęczony Prezydent. – I tak już się zasiedzieliśmy.

– Nie, nie... – zaproponował niespodziewanie dyrektor. – Ona wszystko wyjaśnia. Proszę, zobaczmy ją.

– Naprawdę wszystko wyjaśnia? – Prezydent westchnął i ufnie, łagodnie spojrział na nagle spiętego dyrektora WCBOP-u.

– To tuż obok, korytarzem – uściślił nie wiedzieć czemu, a nawet krzywo się uśmiechnął.

– Cóż, niech cię licho. Spójrzmy na te twoje wykresy... A potem do domu, spać. Ciężko jest być nierozumianym, Piotrze Siemionowiczu – jakoś tak całkiem domowo, swojsko poskarżył się dyrektorowi Prezydent, wyłączając komputer, gasząc nomenklaturową zieloną lampę i ze stęknieniem podnosząc z podłogi iPhone'a cztery, który tymczasem doszedł do siebie. – Już idę, Siemionowicz, powiem tylko ochronie, że zostanę chwilę dłużej.

Przeszli obok pustej recepcji i wkroczyli na nieskończenie długi i kręty korytarz z wysokim sufitem i ścianami wymalowanymi w imperialne kolory jajka na twardo: biały i żółty. Panował tu półmrok: dwadzieścia metrów dalej tlił się tylko pojedynczy plafon. Pod drzwiami gabinetu nie było warty FSO i tylko gdzieś na

granicy widzialności majaczyła do połowy pogrążona w ciemności czyjaś zgarbiona sylwetka.

– Coś nikogo nie ma – powiedział z roztargnieniem Prezydent. – Zmiana warty, czy co? Ej, jest tam kto?

Ale sylwetka pozostała niewyraźna i w ułamku sekundy przylgnęła do ściany, zlała się z nią i zniknęła, jakby nigdy nie istniała.

– Chodźmy szybciej. – Dyrektor WCBOP-u pociągnął go za rękaw. – To bardzo blisko!

Pogrążony w niewesołych myślach Prezydent posłusznie podążył za swoim przewodnikiem. Nie skręcili w stronę wyjścia, lecz w jakąś ciemną i wąską odnogę korytarza. Nagle, niczym paszcza nieznanego monstrum, w najbardziej nieoczekiwanym miejscu otworzyły się drzwi: ze środka wionęło piwniczną wilgocią.

– Zaczekaj! – Prezydent opamiętał się. – Dokąd ty mnie... Siemion...

I nagle dyrektor WCBOP-u z zaskakującą zręcznością i siłą pchnął go wprost w tę grobową czerń.



Cisza i mrok trwały zbyt długo i Prezydent zaczął już myśleć, że ze wszystkich koncepcji istnienia po śmierci prawdziwa okazała się ta najbardziej przerażająca: niekończące się nic, w którym zmarły pozostaje świadomy przez całą wieczność.

Ale wtedy zapłonęła świeca i jej światło wydało się Prezydentowi jaśniejsze niż jakakolwiek latarnia. Za nią zapaliła się jeszcze jedna, i jeszcze... Pierścień ogników otoczył Prezydenta jak myśliwskie pochodnie zaszczutego wilka.

Znajdował się w dziwnym pomieszczeniu, którego ściany obwieszono wyłysiałymi dywanami i starożytną bronią, a podłogę stanowiły skrzypiące deski. Okien nie było tu wcale. Na jednym z dywanów, oświetlony purpurowym płomieniem świecy, widniał nieznamy herb – zbyt starożytny i nadmiernie

wymyślny, aby być godłem jakiegokolwiek państwa. Przypominał raczej symbol jakiegoś tajnego zakonu.

Prezydent siedział mocno przywiązany do drewnianego krzesła z wysokim oparciem. W miarę jak mijało odrętwienie, stawało się jasne, że krzesło to było twarde i okropnie niewygodne. Porywacze musieli je pożyczyć z kremlowskiej muzealnej izby tortur.

Kilka kroków przed nim stał wyciosany z marmuru postument, na którym umieszczono pompatyczny kielich, mocno przypominający Świętego Graala. Z kremlowskiej Granowitej Pałaty? Prezydent nie mógł dojrzeć, czy coś do niego nalano.

Wokół postumentu z kielichem i prezydenckiego tronu tortur stali ludzie w czarnych pelerynach. Na głowach mieli kaptury, a ich twarze skrywał cień.

– Bracia – przemówił ciężki, głuchy głos. – Zebraliśmy się tu dziś, aby wykonać wolę Rady Państwa.

– Niech Rada Państwa żyje wiecznie – odparły miarowym chórem kaptury.

– Wiecie, że ten, któremu powierzono obowiązki głowy państwa, nie może ich pełnić.

– Wiemy – potwierdziły beznamiętnie kaptury.

– Wiecie, że nie jest on kością z kości ludzi, którymi rządzi, ani krwią z ich krwi – kontynuował ich przywódca.

– Wiemy.

– I że nie rozumiejąc tych, którymi rządzi, prowadzi kraj do rozłamu, a naród w przepaść.

– Wiemy!

– I że zakon nasz, jak to się dzieje w trudnych dla Ojczyzny godzinach, powinien interweniować i go powstrzymać. Oto wola Rady Państwa.

– Niech żyje wiecznie!

Przywódca – któż to? najwyższy kapłan? wielki mistrz loży? herszt jacejki? – pochylił się i podniósł z podłogi ciężką butelkę z grubego, zmętniałego od upływu czasu szkła. Stojąc plecami do związanego Prezydenta, przechylił butelkę i do

zwędzonego z Granowitej Pałaty kielicha pociekł nieznany płyn. Pozostali niskimi głosami zaintonowali tęskną pieśń, nieco przypominającą *Kombat* zespołu Lube, ale rozwleczoną i zniekształconą, jakby magnetofon wciągał taśmę z nagraniem.

Prezydent poruszył się na krześle i zajęczał: usta zatykała mu jedwabna chustka i wypełniała słona ślina.

Wielki mistrz odrzucił kaptur, uniósł Graala obiema rękami i odwrócił się twarzą do jeńca. Wydał się Prezydentowi zaskakująco znajomy; wyglądało też na to, że lidera tej koszarnej sekty widział całkiem niedawno. To albo wiceminister obrony, albo były gubernator, czy wręcz prezes jakiejś patriotycznej fundacji...

Przywódcą zrobił krok do przodu, trzymając ciężki puchar w wyciągniętych przed siebie dłoniach. Z tyłu do jeńca przyskoczyli jego pomocnicy, rozwiązali ściągniętą na karku jedwabną chustkę, wyjęli knebel.

Prezydent miotał się wściekle, próbując się uwolnić, ale sznur trzymał zbyt mocno. Kielich znalazł się już całkiem blisko i słyszał cichy, złowieszczy chlupot jego zawartości.

– Cykuta?!... – Prezydent stracił dech od tego przypuszczenia; pytanie i nieśmiałą nadzieję w jego głosie niemal całkowicie stłumiła mroczna pewność. – Nie wypiję!

Ale pomocnicy chwycili go stalowymi palcami za uszy, za szczękę, odchyłili głowę do tyłu, zmusili do otwarcia ust i wcisnęli między zęby skórzany lejek.

– Niech się stanie wola Rady Państwa! – zabrzmiał głos.

I prosto do gardła Prezydenta wlała się ognista ciecz.



To było niewiarygodne: w jednej chwili świat uległ przemianie. Jakby ukazał mu się nagle Wszechświat ze wszystkimi gwiazdami i każda z tych gwiazd świeciła tylko dla Prezydenta, i każda czarna dziura nęciła do siebie zmysłowo tylko jego. Wśród tysięcy słonecznych protuberancji jakby podświetlane promieniami rzutników rozbłyskiwały znajome i nieznajome obrazy. Oblicza świętych i twarze słynnych

piłkarzy, omawiane dawno temu w szkole fizyczne wzory i równania opisujące ziemską i niebiańską harmonię, obrazy wszystkich miast, które kiedykolwiek istniały, i obrazy miast, które kiedyś powstaną. Imiona panujących nad zapomnianymi królestwami i imiona władców imperiów przyszłości. Na cokolwiek spojrział swoim wewnętrznym wzrokiem Prezydent, nie musiał myśleć, nie musiał jak zawsze wyciągać logicznych wniosków: po prostu od razu wszystko wiedział. Odpowiedź na każde pytanie pojawiała się równocześnie z jego postawieniem. Nie trzeba było się zastanawiać: odpowiedź błyskawicznie przychodziła sama i brzmiała tak przekonująco, że nie pozostawiała żadnych zastrzeżeń co do słuszności i prawdziwości.

Ten świat wypełniała też błogość. Zalewała wszystko, co istnieje, tak jak światło słoneczne zalewa letnią łąkę, a wszelki ból rozplątywał się w niej tak, jak w południe rozpląwają się cienie.

Potem Prezydent wstąpił jakby do jakiegoś rwącego strumienia, i ten strumień porwał go i poniósł przez kosmos – w stronę przeznaczenia, ku oświeceniu. Naprzeciw niego leciały miliony szczęśliwych ludzkich dusz, i niezwykle zwierzęta, i tropikalne kwiaty. I niebiescy ludzie z ogonami, i Giennadij Pietrowicz Małachow, i Stalin, i Czapajew, i nagle Prezydent spotkał sam siebie, i znowu niebieskie olbrzymy, i Arszawin, i Obama, i Gagarin, i Michael Jackson, i dwugłowa antylopa z książeczek o doktorze Ojboli, i miriady innych wymagowanych i istniejących istot.

Aż nagle Prezydent ujrzał samego siebie na rozległej poziomej polanie, a przed sobą sto czterdzieści milionów ludzi, i wszyscy się do niego uśmiechali. A potem polana zniknęła i z ciemności wyrosły skierowane w gwiazdy rakiety kremlofskich wież, i gwiazdy migoczące jak figlarne czerwone latarnie, i mrugające do siebie głowy złotych orłów. I pięta kielbasy doktorskiej długości dziesiątek lat świetlnych, i wszelkie kiszone warzywa, i ukochany dom rodzinny.

A potem Ręka Boska dotknęła czule jego karku i nagle wszystko się skończyło.

Prezydent otworzył szeroko usta, jakby naprawdę przed chwilą się wynurzył, i nabrał pełne płuca stęchłego powietrza. Żył! Tajemniczy porywacze nie chcieli go

otruć! W osłupieniu wpatrywał się półślepy wzrokiem w oblepiającą go ze wszystkich stron ciemność; po bajkowej wielobarwności czarodziejskiego świata, z którego właśnie wrócił, rzeczywistość wydała mu się zbyt blada, mdła, nieprawdziwa.

Przywódca kapturów stał obok i cicho się śmiał.

– Co... Co to... Co się ze mną stało?! – spytał oszołomiony Prezydent.

– Wódka – usłyszał w odpowiedzi.



Wstrząśnięty Prezydent szedł żółtym korytarzem. Obok kroczył potężny mężczyzna w szacie z kapturem, który zaproponował, że odprowadzi go do Bramy Borowickiej.

– Teraz może pan pytać – przyzwolił łaskawie przywódca kapturów.

– Gdzie ja się znalazłem? – wypalił natychmiast Prezydent.

– To była zbiorowa nieświadomość rosyjskiego narodu – odpowiedział przywódca Rady Państwa.

– A ten czarodziejski strumień, który mnie porwał?

– Wielki Zielony Wąż z gatunku *Delirium tremens* – odpowiedział mężczyzna w kapturze. – Pożerający własny ogon.

– A mnie się zdawało, że to rzeka... – rzekł z zadumą Prezydent.

– Niektórym ukazuje się jako rzeka – potwierdził przywódca. – Gdy raz się do niej wejdzie, nie da się już wyjść i wyschnąć.

– Kim jesteście? – Prezydent spojrzał uważnie na przewodnika.

– Rada Państwa to starożytny związek mędrców dopuszczonych do Wiedzy. Przy pomocy tego świętego trunku nauczyliśmy się łączyć z duszą narodu... Zanurzać się w rosyjskiej animie. Wprowadzać się na każde nasze życzenie w ten tajemniczy stan, w którym owa anima przebywa cały czas. Gdyż tylko tak, zestrajając się z nim na jednej fali, współoddychając i współodczuwając, unisono, można go pojąć.

– Zwykła wódka?

– W pańskich słowach słyhać pogardę abstynenta! – Szef Rady Państwa pokręcił głową z przyganą. – Tymczasem wino to subtelnie nastrojony instrument, kamerton dusz, a przez szyjkę butelki przepływa cieśnina prowadząca do nirwany, do Boga. Kto nauczył ludzi przyjmować w komunii wino? On. Władza ziemskich królów pochodzi od Boga, i od Boga było nam dane wino. Im – żeby spali, nam – byśmy oglądali ich sny.

– Dlaczego postanowiliście... mi to pokazać?

– Nie mieliśmy wyboru. Niepijący car nie zdoła zrozumieć pijącego narodu. Wszystkie jego słowa będą dla poddanych jak abrakadabra, a wszystkie działania – obraźliwe i nonsensowne. Aby poznać dążenia narodu, trzeba stać się z nim jednością, potrzebna jest komunia.

– I co teraz?...

– Teraz wszystko będzie inaczej – uśmiechnął się przywódca. – Poczujecie pan to. Przepaść między wami została zasypana, a jej brzegi się zrosły. Teraz może pan zajrzeć do wnętrza ich duszy.

Wyszli na most. Od Bramy Borowickiej podążał za nimi sznur funkcjonariuszy FSO, jak niewidzialne ho-honie za Kubusiem Puchatkiem i Prosiaczkiem, ale ani Prezydent, ani przywódca kompletnie nie zwracali na nich uwagi.

Budzik w iPhonie cztery zagrał pobudkę: była szósta rano. Prezydent wyjął z kieszeni cud-telefon, obejrzał go ze zdziwieniem, jakby nie poznając ulubionej zabawki, wzruszył ramionami i wrzucił smartfon z mostu do rzeki Moskwy.

Przywódca uśmiechnął się z zadowoleniem.

– Wszystko będzie inaczej – powtórzył.

Przywódca niepostrzeżenie wyjął z kieszeni nadgniecioną o czyjaś skroń staroświecką srebrną papierośnicę.

– Zapali pan bielomora?

Prezydent z początku pokręcił głową, ale potem przez chwilę pomyślał, uśmiechnął się i kiwnął na zgodę.

Stali jeszcze przez jakiś czas na moście, kopiąc i patrząc, jak słońce maluje łagodnymi kolorami mury starego Kremla. Potem bezszelestnie podjechał

prezydencki pullman, otworzyły się drzwiczki. Prezydent zrobił już krok w stronę samochodu, ale zatrzymał się na chwilę i powiedział ze skrzepowaniem:

– Niech pan posłucha... Siemionie Siemionowiczu... A może... nadamy waszej Radzie Państwa status konstytucyjny? No, w sensie... Może...

– Koniecznie trzeba to będzie powtórzyć. – Wielki mistrz zakonu kiwnął z uśmiechem głową, domyślając się, jak brzmi prawdziwe pytanie.

[17] Aluzja do nieudanego zamachu bombowego na cara Aleksandra III, w którym nikt nie został ranny, a jedynie wgnieceniu uległa srebrna papierośnica cara.

WCIAŻ STOI

– Nie! Nie! Nie!!! Proszę, proszę...

– *Bitte aufwachen! Wachen Sie bitte auf!*[18] – Doktor szarpał go za ramię.

Narodowy Przywódca otworzył usta, wciągając do płuc całe powietrze dusznej małej Genewy i mimo to wciąż tracąc dech. Następnie uniósł jedną powiekę, rozejrzał się i dopiero potem podniósł drugą.

– Znowu... znowu... – wymamrotał bezradnie.

Jego wzrok stwardniał, potem się wyostrzył, aż w końcu niczym szpikulec do lodu wbił się między oczy łysego doktora.

– Proszę się obudzić! Wszystko w porządku... – w języku Schillera i Goethego powiedział ten ostatni.

– Podczas sesji! W samym środku sesji! – w języku Honeckera i Mielkego odparł Narodowy Przywódca.

Grzmotnął pięścią w zabytkowy stolik i zerwał się z kozetki.

Doktor z godnością poprawił swoje freudowskie okrągłe okulary i nadał policzki.

– Panie P...

– Bez nazwisk! Uprzedzałem pana, bez nazwisk! – zawołał z irytacją Narodowy Przywódca.

– Proszę wybaczyć, Wasza Wysokość...

Narodowy Przywódca tylko pokręcił głową, nakazując światu pogрузić się w ciszy, ale jedno było jasne: niewyszukane pochlebstwo łysego psychoanalityka trafiło rosyjskiego Achillesa dokładnie w piętę. I co? I nic – marny to pułkownik, któremu nie pochlebia, gdy ktoś myli go z generałem. I gdy odwracał się od nudnego pejzażu Rue du Rhône, by spojrzeć w skrytą za okularami fizjonomię doktora,

gniewne zmarszczki na jego czole zdążyły się już wygładzić, jakby ich nigdy nie było – albo jakby usunięto je botoksem.

– Obiecał mi pan pomóc – wycedził z rozczarowaniem Narodowy Przywódca tonem, od którego każdy gubernator nie tyle, że podałby się do dymisji, ile rozgryzłby ampułkę z cyjankiem.

Ale doktor nie był wprawiony w lęku: jego przeklęty kraj już od dwustu lat siedział za pazuchą upartego i pragmatycznego kalwińskiego Chrystusa i nawet pamięć genetyczna nie potrafiła mu podpowiedzieć, że czasem należy paść do stóp.

– Nie tak szybko, Wasza Wysokość. To jest proces.

– Proces... Przyjedź pan do nas, na Kołymę... Pokażę panu, co to takiego proces... – burknął Narodowy Przywódca w swojej ulubionej aforystycznej manierze, ale w tłumaczeniu na enerdowską niemczyznę żart przepadł.

– Proszę opowiedzieć, co pan widział – poprosił doktor. – Muszę się zorientować, czy jest jakikolwiek postęp.

Narodowy Przywódca opadł na kozetkę, zgarbił się.

– Ja... Mnie... A można herbatę? Z obwarzankami?

– Zamówię. Tymczasem proszę opowiadać.

– Cóż... Ten sam obrazek. Plac. Tłum. Ja... Jestem na swoim zwykłym miejscu. Nasz gmach. Cytadela. Są na niej pęknięcia... Piasek.

– Co piasek? – domagał się uściślenia doktor, odrywając się od notatnika, w którym gęstym maczkiem zapisywał wszystkie koszmary.

– Sypie się. Piasek się sypie. Co to oznacza, doktorze?

Doktor westchnął, poprawił okulary, zabębnił pulchnymi palcami po podłokietniku, wymienił spojrzenia z portretem Junga, który z zainteresowaniem obserwował całą scenę ze ściany.

– Jeśli przyjąć klasyczną interpretację... Symbole, które zawierają...

Zaczął mamrotać coś o dzieciństwie, o fallusach, o traumach, o wyparciu i przeniesieniu, zagruchał usypiająco, przytulnie. I Narodowy Przywódca pogubił się w terminach, zapatrzył na zataczające okręgi w powietrzu pulchne palce, popłynął na falach hipnotycznego barytonu...

- W ogóle w tym wieku – nagle skończył doktor.
- Co w tym wieku? – ocknął się i od razu wściekł Narodowy Przywódca, zrywając się z kozetki.
- O tym jest pański sen. O tym, że pana wiek już... Jednakowoż...
- Wiek?! Jaki, do diabła, wiek?! Brednie! – Narodowy Przywódca splunął i ruszył do wyjścia. – Szarlatan...
- Proszę zaczekać! Co pan tak chorobliwie... Tam wszystko wskazuje... Gmach, piasek się sypie... Pan...
- Dobrze się pan zna na wróżeniu z fusów... Ale u nas też są specjaliści... Od mocnej herbatki... – wściekał się już po rosyjsku.
- Ale niech pan mi chociaż powie... – zawołał doktor w ślad za zbiegającym po schodach pacjentem. – Czy on w ogóle jeszcze stoi?
- Niedoczekanie! – uciął Narodowy Przywódca.



Loszka wracał wieczorem z uczelni, brnął przez podwórko, przez które w zasadzie nie było nawet przejazdu. SUV – czarna gangsterska iks piątka – wleciał z ulicy, wpadł w poślizg na merowskim lodzie, obrócił się i uderzył Loszkę w plecy stalowym orurowaniem. Wrzucił go w zaspę, niemal po nim przejechał, cofnął i zaczął się pijacko wyplątywać z zastawionego samochodami podwórka.

Gdyby nie walnął w mazdę sąsiada, która zaczęła histerycznie wyc, gdyby nikt nie wyszedł ratować swojego auta, to i Loszki być może nikt by nie uratował. Zamarzłby ze złamanym kręgosłupem w tę mglistą śnieżną noc.

A tak klasa średnia zesła, by stanąć w obronie dóbr nabytych, odważnie odcięła bandycie w czerni drogę odwrotu, zobaczyła Loszkę, rozpoznała w nim chłopaka spod trzynastki, zadzwoniła przez domofon po ojca. Ten wezwał gliny i pogotowie. Zanim służby dotarły na miejsce, iks piątka sto razy zdążyłaby odjechać, ale kierowca – w skórzanej kurtce i z pociętą twarzą – okazał się nawalony jak szpadel.

Wysiadł ze swojego czołgu i zasnął z twarzą w śniegu. Nie było ani bitwy, ani linczu.

Ojciec Loszy, Nikołaj Pawłowicz, wybiegł na zewnątrz i natychmiast stracił głos, więc sąsiada o pomoc w przeniesieniu syna z zasy na równy asfalt błagał szeptem.

Przyjechała milicja, przesłuchała wszystkich jak należy, choć było wyraźnie widać, że ją to nudzi, zebrała podpisy, numery telefonów, zawinęła nieprzytomnego sprawcę, ze zwykłej ludzkiej ciekawości przeszukała mu kieszenie i zabrała go ze sobą, by surowo ukarać.

Przyjechała też karetka. Popatrzeli, pocmokali, załadowali i odwieźli.

Najpierw straszili Nikołaja Pawłowicza tym, że szanse są niewielkie, ale kiedy przyniósł naczelnemu lekarzowi dwadzieścia tysięcy – połowę swojej pensji – Losza zaczął wracać do żywych. Chłopak już nigdy nie będzie chodził, choćby ojciec sprzedał na leczenie ich M2, powiedział szczerze naczelny lekarz. Więc niech pan zbiera na wózek inwalidzki.

Nikołaj Pawłowicz nie uwierzył, zresztą nikt by nie uwierzył, będąc na jego miejscu. Żona zginęła, rodzice umierają, jak uwierzyć w to, że syn, jedyny, ukochany, który miał żyć za nich wszystkich, nagle stał się niepełnosprawny, że zamiast życia trafi mu się dożywocie w zaszczanej kawalerce?

Nikołaj Pawłowicz był pokornym człowiekiem radzieckim i z tego powodu los wykręcał mu ręce, jak chciał. Państwo zabrało mu i zabiło obu dziadków, na pociechę kłamiąc babciom, że przez dziesięć lat nie mają prawa do korespondencji. Dlatego rodzice Nikołaja Pawłowicza wzrastali w lęku, zawsze bardzo nie chcieli dać się w cokolwiek wplątać i dobrze wiedzieli, że obywatel przeciw państwu jest jak wesz. Nie potrafili kochać tej potwornej maszynki do mięsa, ale nie mogli też przyznać się do tego przed sobą. I jeśli Kola coś po nich odziedziczył oprócz mieszkanie – to ciche uwielbienie dla bezgranicznej siły ogromnej i potężnej maszyny, dla wszystkich jej trybików i konwejerów, dla wszystkich chwytnych stalowych ramion i wszystkich nakręcanych gadających głów, i tej komitetowej, i milicyjnej, i partyjnej, i osiedlowej, i prezydenckiej w telewizorze na Nowy Rok.

I kiedy nazajutrz po wypadku Nikołaj Pawłowicz podniósł słuchawkę, żeby zadzwonić na komendę, na którą zawieźli nieprzytomnego sprawcę, czuł strach. Strach było prosić państwo o cokolwiek, strach w ogóle zwracać na siebie jego uwagę, wyłazić ze szpary w kuchennej podłodze i patrzeć gdzieś nieskończenie wysoko z samego dołu.

Jednak zmusił się do tego. Wybrał numer i grzecznie poprosił przełożonego. Wyjaśnił, że zdarzyło się nieszczęście, ostrożnie zapytał, kiedy będą do niego dzwonić, czy jego udział jest konieczny, by wszcząć sprawę, a nawet – jak czuje się zatrzymany.

Przez telefon został poinformowany, że żadnej sprawy nie będzie, że wina zatrzymanego obywatela nie została ustalona i dlatego został zwolniony z aresztu, że nie był nietrzeźwy, że świadkowie mogą się swoimi zeznaniami podetrzeć, że Nikołaj Pawłowicz powinien się cieszyć, że jego syn w ogóle żyje, a pod koniec zgodzili się nawet co do tego, że ma się odpierdolić i nie pogarszać sytuacji, bo dobiorą mu się do dupy. Jasne?!



Wznosił się nad tłumem, spiżowy, a jednocześnie żelazny, deptając swoimi dziesiątkami ton potulną rosyjską ziemię. Prawą rękę miał schowaną w kieszeni i ktoś mógł zgadnąć, czy dzierży w niej berło czy mauzera. Był dziesięciokrotnie wyższy od każdego z wijących się u jego stóp parobków, ale z wysokości, z której patrzył, było widać, że kłębiący się tłum nie ma końca.

Mógłby zejść na ziemię i ich rozdeptać, ale nie miał powodu, by to robić. Był niezwyknięty dla tych robaków, niezwyknięty i niedostępny. Ludzkie morze wzbierało, ale fale mogły liczyć tylko na to, że obliżą mu buty.

Za jego plecami stała niewzruszona Cytadela, jego alma mater, źródło jego siły. I Narodowy Przywódca wiedział, że dopóki stoi ta wielka forteca, ten kamień węgielny rosyjskiej państwowości, dopóty będzie stał i on. Zaś ona będzie trwać wiecznie. A w tej szkatule, jak w czarodziejskim jaju...

I niech tłum szaleje, nie podskoczy wyżej jego podeszwy. On będzie tu stał aż po koniec czasów, jako pomnik samego siebie, nieśmiertelnego i niezmiennego.

Ale wtedy w tęym harmiderze tłumy usłyszał szmer. Ledwie wyczuwalny, ale jednak wyraźny, niemogący umknąć jego uszom. Z tyłu, za jego plecami...

Wyteżył swoje spiżowe mięśnie i odwrócił się, zgrzytając z wysiłku, a tłum głupców prysnął w przerażeniu na wszystkie strony.

Na budynku – na Głównym Gmachu! – pojawiło się pęknięcie jak błyskawica, a ze szczeliny zaczęła się sączyć sucha krew: czerwony piasek, okruchy cegieł. Pęknięcie biegło w górę, rozwidlało się...

Przeniósł ciężkie spojrzenie wykutych oczodołów w dół, szukając przyczyny... Brudne morze obmywało też podnóże Cytadeli, trawiło je, przeżerało... Aż nagle ziemia jęknęła i osiadła, a on zachwiał się i zaczął pochyłać na bok. Niewiarygodnym wysiłkiem utrzymał się na nogach, wrywając z kieszeni prawą rękę – pustą.

– Tam niczego nie ma! – zaczęli krzyżeć z dołu. – On niczego nie ma!

To nic... On ich zaraz choćby gołymi rękami... Zaraz... Przecież tych pluskiew nawet nie trzeba będzie bić. Przestraszy je i same się rozbiegną. Gdyby tylko sobie przypomniał, jak do nich mówić...

– A kysz! – machnął ogromną żelazną prawicą. – A kysz!

Wtem za jego plecami coś westchnęło ze zmęczeniem i...

Runęło.

– Nie! Nie!!! – zawołał, rycząc niczym trąba, z całych swoich spiżowych trzewi.

– Proszę zapiąć pasy – poprosiła go blada z zakłopotania stewardessa. – Podchodzimy do lądowania.

– Tak... Przepraszam – Narodowy Przywódca przełknął ślinę, mrugając. – Głupie pytanie... Jak tam?... No, stoi? Bo śnią mi się różne rzeczy...

– Stoi – uśmiechnęła się do niego zachęcająco wprawiona już stewardessa. – U nas wszystko stoi. Proszę się nie przejmować.

– Ja się nie przejmuję – w jego na powrót twardym głosem zabrzmiały spiżowe nuty. – Za kogo mnie pani ma?!



Losza, dzięki Bogu, doszedł do siebie. Ale w żaden sposób nie mógł pojąć, dlaczego nogi go nie słuchają, dlaczego brak mu czucia od pasa w dół. Nikolaï Pawłowicz patrzył na niego w milczeniu, wzruszał ramionami, kłamał jak umiał, że nie wie, kłamał nieprzekonująco, że to pewnie przejściowe, że najważniejsze to teraz wyzdrowieć, że potem znajdą Loszce odpowiednią terapię rehabilitacyjną i za miesiąc-dwa zacznie chodzić. No, najpóźniej za pół roku.

Loszka chmurzył się, wściekał, za dwa miesiące miał się odbyć turniej siatkówki, był kapitanem drużyny. Czyli za parę tygodni musi już być na nogach. Za parę tygodni, tato! Jaki, do cholery, miesiąc?!

Nikolaï Pawłowicz kiwał głową, rozdrapywał z nerwów egzemę na ręce, dawał lekarzowi tysiąc za tysiącem, żeby ten nie wygadał się z głupoty czy znieczulicy, jaki wydał wyrok.

I myślał o tym, że człowiek, który z pijacką łatwością, mimochodem, złamał jego synowi kręgosłup i życie, był z pewnością przestępcą, cokolwiek o tym mówili na komendzie.

Wieczorem zadzwonił tam jeszcze raz. Próbował ich przekonać. Tłumaczył, że Losza ma za dwa miesiące turniej, w którym już nigdy nie będzie mógł uczestniczyć, i że nie wie, jak to synowi powiedzieć. Zapytał: nie wiecie może, jak mam mu to powiedzieć? Tamci odłożyli słuchawkę. Widocznie też nie wiedzieli.

Potem Nikolaï Pawłowicz zobaczył na radiowozie numer milicyjnego telefonu zaufania, zadzwonił i opowiedział wszystko automatycznej sekretarce. Automatyczna sekretarka podziękowała Nikolaïjowi Pawłowiczowi i obiecała, że przyjrzy się sprawie.

A wieczorem następnego dnia w windzie przywitał go kierowca iks piątki. Trzeźwy. Uderzył go w splot słoneczny, potem od dołu w szczękę, rozbił nos – wszystko to w jakieś pięć sekund, bardzo umiejętnie. Wyciągnął pistolet, przycisnął Nikolaïjowi Pawłowiczowi lufę do policzka i powiedział, że jeśli ten się nie

uspokoi, to przez resztę życia będą się ścigać z synem na wózkach inwalidzkich. Kiedy Nikołaj Pawłowicz, bulgocząc krwią, wybełkotał coś o milicji, mężczyzna podsunął mu przed oczy odznakę, z której wynikało, że to on jest najprawdziwszą milicyjną milicją, i to taką, która całej pozostałej milicji pilnuje. Na koniec wyjął z kieszeni zwitek pomiętych banknotów pięciotysięcznych i rzucił je Nikołajowi Pawłowiczowi w twarz.

– To na leczenie – wycedził. – W końcu jesteśmy porządnymi ludźmi, tak? Tak? Pytam! Popatrz na mnie, sukinsynu! Bo jeszcze na pogrzeb ci dorzucę! Jasne?!

I wyszedł.

Nikołaj Pawłowicz automatycznie zebrał z podłogi zachlapane krwią banknoty, z jakiegoś powodu je przeliczył – sto tysięcy, poobracał je tępo w dłoniach i położył z powrotem na podłodze.

Po wizycie na chirurgii urazowej usiadł, żeby napisać do prokuratury, jak powinien być zrobić obywatel dotknięty bezprawnymi działaniami funkcjonariuszy milicji.

Codziennie po pracy chodził do Loszki z owocami – ten nie chciał jeść, zaczął już zdawać sobie sprawę z tego, co się stało. Pytał, domagał się odpowiedzi, nawet krzyczał – Nikołaj Pawłowicz z początku przekonywał, że to wszystko bzdury, że do wesela się zagoi, ale potem zapomniał dać lekarzowi i Loszce powiedziano prawdę. Ale nawet wtedy Nikołaj Pawłowicz do niczego się synowi nie przyznał.

Prokuratura nic mu nie odpowiedziała. Może miała inne sprawy ważniejsze od tych pierdół, a może po prostu czuła, że to trochę obciach. Nikołaj Pawłowicz wolał sobie tłumaczyć, że pewnie list po prostu zaginął. Napisał drugi, w którym opowiedział też prokuraturze wszystkie najnowsze wiadomości: syna wypisali ze szpitala, wózek kupcie sobie sami, a gdzie podziękowanie, trzydzieści tysięcy wystarczy, w końcu jesteśmy porządnymi ludźmi. Tak?

Loszka przyjechał wózkiem do domu, usiadł przed komputerem i już nie wstawał.

Prokuratura nie zamierzała niczego Nikołajowi Pawłowiczowi wyjaśniać, więc napisał do Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, do Dumy Państwowej i do kancelarii

Prezydenta.

Nic w tym śmiesznego.

Tyle lat był posłuszny i czcił państwo, nie kopał go, gdy się potykało i przewracało, zawsze głosował na nie jak należy, wysłuchiwał noworocznego orędzia Prezydenta, nie przerywając, wierzył w potęgę kraju i w jego całkowitą słuszność, uważał go za swoją Ojczyznę i nawet w myślach nigdy go nie zdradzał. I nigdy nie zadawał żadnych pytań: jest jak jest, i chwała Bogu.

A teraz akurat bardzo potrzebował uzyskać odpowiedź.



– Wszystko w porządku, towarzysze? – zapytał Narodowy Przywódca.

– Chwała Rosji! – odpowiedziały mu szeregi.

– Nikt chyba nie powie, że zapomniałem o swoich korzeniach. – Narodowy Przywódca obrzucił wzrokiem zebranych. – Nikt tak powiedzieć nie może. Jestem jednym z was. Jesteśmy razem. Myślę tak samo jak wy. Jestem pewny, że gdyby ktokolwiek spośród was znalazł się na moim miejscu, robiłby to samo. Dla dobra... naszej... Ojczyzny... – podkreślił Narodowy Przywódca, ze swoją firmową manierą akcentując słowa krótkimi pauzami.

– Chwała Rosji! – ryknęły szeregi.

– Rosja – podchwycił Narodowy Przywódca – spoczywa na waszych barkach. I chcę, żebyście wiedzieli: bez was, bez waszej pełnej poświęcenia służby nasi wrogowie dawno już by ją zniszczyli. Dziś podpisałem rozporządzenie o przyznaniu środków na kapitalny remont Gmachu Głównego Federalnej Służby Bezpieczeństwa. Mam nadzieję, że będzie wam służyć jeszcze długo. Zawsze.

– Ura! Ura! Urraaa! – odpowiedziały szeregi dwa razy krótko i raz przeciągle...

– Dziękuję za służbę! – uśmiechnął się Narodowy Przywódca.

Po wojskowemu zsalutował i zaczął schodzić ze sceny. Kiedy opuszczał już salę swoim zapaśniczym krokiem, w dzwoniącej ciszy nikąd dał się słyszeć szept:

– Gdybyśmy znaleźli się na twoim miejscu... Ech...

Narodowy Przywódca wzdrygnął się, ale postanowił się nie odwracać. Na zewnątrz czekała na niego eskorta – opancerzony pullman bez tablicy rejestracyjnej, trzy długie gelandewageny i licho wie, ile radiowozów drogówki.

Pieprzyć ich.

Na swoim miejscu znalazł się on sam. Historia nie zna trybu przypuszczającego, jasne?!



W skrzynce na listy były tylko rachunki, które państwo wystawiło Nikołajowi Pawłowiczowi. W pokoju Loszki pod biurkiem stała skrzynka z pustymi butelkami po piwie: dostarczali prosto z internetu. Wcześniej nie pił piwa, mówił, że brzuch mu rośnie, będzie go ciągnąć do ziemi.

Nikołaj Pawłowicz trzymał się przez tydzień: nie płacił rachunków, mścił się.

Potem pomyślał, że to dziecinada, i pogardliwie wrzucił wszystko co do kopiejki przez okienko kasy oszczędnościowej. Państwu to nie zaszkodziło, zeżarło, nie udławiło się. Z zadowoleniem beknęło pokwitowaniami i znów zapomniało o ich istnieniu.

I wtedy Nikołaj Pawłowicz postanowił osobiście się do niego udać.

Zbierał się przez tydzień.

Wziął paszport, nie wiedzieć po co spakował do walizki obwarzanki, bieliznę na zmianę i krzyżówki, skargę do Prokuratury Generalnej wypisał tak, że Kafka by się udławił z zazdrości, wsiadł do metra i pojechał.

Odszukał na Dmitrowce właściwy budynek i nadział się na posterunek ochrony. Tam powiedziano mu, że świat jest urządzony inaczej, i że wejść do środka bez specjalnej przepustki to jak trafić do raju: nie ma takiej opcji.

Ale po tej stronie Rubikonu na Nikołaja Pawłowicza czekał potrącony syn i pusta skrzynka na listy, dwa miesiące oczekiwania i życie karalucha.

Dlatego kiedy zmieniali się pilnujący, sprytnie prześlizgnął się przez bramkę do środka. Poprawił palto, przygotował się na starcie... Pchnął ciężkie żelazne drzwi

z lustrzanymi szybami...

A te nagle żałośnie załkały i z drewnianym trzaskiem zapadły się do środka! Ustępliwie, lekko, jakby nie były odlane z metalu i zawieszane na wielokilogramowych zawiasach, tylko... z dykty?...

Ostrożnym krokiem wszedł do środka... Rozejrzył się oszołomiony.

Nie było żadnego środka. Rusztowania wznosiły się na cztery kondygnacje, do nich przymocowano drutem podgniłe panele z dykty – wyglądało to zupełnie jak tylna strona scenografii teatralnej. Z ulicy dykta była przekonująco pomalowana, wyglądała jak państwowy gmach z portykiem i kolumnadą, jak piaskowiec i granit... A w rzeczywistości wszystko to było dziesięciomilimetrową sklejką!

Nawet podłogi brakowało – robił za nią goły asfalt. Popękany, nieświeży, zasypany śniegiem wwiewanym przez szpary i miriadami papierowych prostokątów. Nikołaj Pawłowicz schylił się, podniósł jeden z nich – wysłany przez kogoś list. I jeszcze jeden... I jeszcze. Miliony.

Błąkał się samotnie po tym hangarze z dykty, aż przypadkiem trafił na wycięte piłą drzwiczki. Popchnął je, znalazł się w zaułku. Wyszedł nim na Twerską i wciąż nic z tego nie rozumiejąc, wrócił do domu.

Niczego nie powiedział synowi, ale zabrał mu trzy butelki piwa i opróżnił jedną po drugiej. Myślał też, że zaraz się obudzi, ale w nocy śnił mu się inny sen, że Prokuratura Generalna była jednak na swoim miejscu, a on po prostu jej nie znalazł. To tylko sen.

Następnego dnia zwolnił się wcześniej z pracy i pojechał do Dumy Państwowej. Powłóczył się przy zamurowanych wejściach, pod lustrzanymi oknami od strony ulicy Teatralny Proezd, naprzeciw hotelu Moskwa, ale nie dostał się do środka, natknął się tylko na czujnego funkcjonariusza, który sprawdził Nikołajowi Pawłowiczowi paszport i walizeczkę na wypadek aresztowania. Powiedział, że wejście dla deputowanych jest na tyłach, w bocznej uliczce. Ale Nikołaj Pawłowicz widząc lustrzane okna, zaczął podejrzewać, że coś jest nie tak. Wywinął się strażnikowi i ruszył wzdłuż granitowych ścian, gdy nagle znalazł przejście – żelazne drzwiczki. Pchnął klamkę – i wpadł do środka.

Duma Państwowa okazała się sto razy większa i bardziej majestatyczna od Prokuratury Generalnej. Rusztowania sięgały tu tak wysoko, że można było mieć obawy o konstrukcję rosyjskiego parlamentaryzmu: żeby tylko nie runęła. Poszła na nią dobra dykta, nowsza, co najmniej piętnastka, ale nawet Dumy nie pomalowano od środka. Mroźny wiatr zamiatał podłogę poselskimi interpelacjami, a po samych deputowanych nie było nawet śladu... W ogóle nikogo tam nie było.

– Jak to... – wyszeptał do siebie Nikołaj Pawłowicz. – Jak to... A Kabajewa? A Wałujew?

Potem pomyślał, że może to po prostu nie tutaj. Może gdzieś w Ostankino, w przestronnym studiu telewizyjnym, tam, gdzie kręcą programy noworoczne? Na pewno tam. Nie będzie przecież taki kolos stał beczynn timer poza sezonem...

Wściekły Nikołaj Pawłowicz popędził prosto do Rady Federacji. Dykta! Są Najwyższy... Dykta! Konstytucyjny? Dykta... Boże... Jakie to straszne! Więc co... co pozostaje? Długo stał na samym środku placu Czerwonego, nie mając odwagi się zdecydować.

Mimo to, przestraszony i rozgorączkowany, wybrał się na wycieczkę po Kremlu.



I znów u podnóża szalał tłum, i znów brudne fale wzbijały się coraz wyżej, chcąc dosięgnąć jego kostek, chwycić, ściągnąć...

Ale on stał twardo, niewzruszenie, nie w mocy małych ludzi było zrzucić go z piedestału.

Żelazny dowódca, założyciel i wszechmocarz, pan placu i sekretny władca kraju. Feliks, odrodzony z popiołów.

Wichrzyciele bełkotali coś u jego butów w swoim neandertalskim języku, skandowali swoje zwierzęce hasła, i pozwolił im się wyszaleć – wiedząc, że jednym klaśnięciem spizowych dłoni zmiażdży setkę i rozpędzi pozostałych, że obcasem zgniecie tysiące tych pluskiew.

Póki stoi GG, stoi i on.

Wiecznie.

Ale wtedy z tyłu dobiegł chrzęst... Trzask...

I pomnik ożył. Nabrzmiały ciężką siłą odlane z metalu mięśnie, zafalował na wietrze spiżowy płaszcz... Przerazone cherlaki prysnęły na boki...

Odwrócił się i zobaczył, jak Główny Gmach KGB, Cytadela, trzeszczy, jak wysypuje się z niego sucha ceglana krew...

– Nie! Nie!!!

Narodowy Przywódca usiadł na łóżku. W sypialni było ciemno i głucho, słyhać było, jak wali mu serce, dźwięcznie, jakby wewnątrz spiżowego dzwonu.

– Wyobrażasz sobie... Znowu ten sen... Że niby jestem Dzierżyńskim. No, pomnikiem... I ten tłum... I budynek się kruszy... – zaczął opowiadać ciemności. – Jak myślisz, to coś znaczy?

A potem przypomniał sobie, że nikogo przy nim nie ma.

W sypialni był sam.



Chodzić po terenie Kremla można było tylko z przewodnikiem; za każdym razem, gdy Nikołaj Pawłowicz próbował zerwać się ze smyczy i czmychnąć, czujny towarzysz surowo go napominał. Ledwie zdołał się wyrwać, dołączając do szkolnej grupy.

Na pierwszy rzut oka było tu jednak coś prawdziwego. Zdawało się, że w oknach jednego z budynków przemykała czyjaś drobna ponura sylwetka, a wieże wyglądały całkiem solidnie i nie kołysały się na wilgotnym lutowym wietrze.

Ale mury, po sprawdzeniu, okazały się jednak atrapami. Wystarczy oprzeć się ramieniem, przycisnąć – i zawała się na nabrzeże.

Na połowie budynków nawet okna były narysowane, i to tak na odpiardol, chociaż niby niedawno wygospodarowano na to kilka miliardów...

I wszędzie stały tabliczki: „Nie dotykać”. Nikołaj Pawłowicz wiedział teraz dlaczego. Rozum wiedział, ale serce nie mogło uwierzyć.

Przez bramę w barbakanie Kutafja wracał zdruzgotany; czuł się, jakby po duszy przemaszerowali mu faszyci, kalając wszystkie świętości i pozostawiając za sobą tylko spaloną ziemię.

– Co to znaczy... – mamrotał cały czas, bez celu, na oślep wlokąc się donikąd. – Jak to tak...

Obok, w szyku, szli demonstranci na wiec, na plac Błotny, domagać się uczciwych wyborów. Zawadiacko zawołali Nikołaja Pawłowicza, żeby poszedł z nimi.

– Tam nie ma z kim rozmawiać... – wychrypiał do nich martwym głosem. – Nie ma nikogo... Nikogo, bracia...

Do późnej nocy niczym somnambulik błąkał się po gwarnej Moskwie. Obszedł wszystkie instytucje państwowe, jakie mógł sobie przypomnieć, i wszystkie okazały się zbudowane z pomalowanej dykty. Prawdziwe, z kamienia, znalazły się tylko dwa: FSB i, nie wiedzieć czemu, Centrobank.



– Mój wiek... Jaki wiek, do cholery! Nadałbyś się tu teraz ze swoją kozetką! – Narodowy Przywódca z gniewem wyrznął pięścią w stół. – To był proroczy sen, a ty mi tu ze swoimi banałami...

Szwajcarski psychoanalityk nie odpowiadał, zresztą po prostu go nie słyszał, siedział sobie w swojej Szwajcarii, bydlę. Narodowy Przywódca poprawił krawat i wrócił z toalety do gabinetu, w którym obradował sztab kryzysowy.

– Trzymać kordon! – powiedział beznamiętnie Narodowy Przywódca do mikrofonu interkomu. – Nie dopuszczać tłumy do urzędów państwowych. Centralna Komisja Wyborcza, Duma, sądy... Wszędzie potrójny kordon. Żeby nikt nie mógł podejść na odległość wyciągniętej ręki!

– Tak jest! – wychrypiał interkom.

– A na Łubiance to żeby w ogóle nie było żywej duszy! – Głos mu się załamał. – Jak tam, wciąż stoi?

– Na razie tak...

Narodowy Przywódca rozłączył się i zaczął spacerować po gabinecie.

– Jakieś absurdalne żądania... Przeliczenie głosów, ponowne wybory do Dumy, dymisja Czudowa... Co to za bzdury?! Czy oni nie rozumieją, że tego wszystkiego nie ma?!

Dyrektor FSB, prezes Centrobanku i Konstantin Lwowicz spojrzeli po sobie.

– Przecież sami prosili, żeby uwolnić ich od biurokracji! – wściekał się Narodowy Przywódca. – Żadnych zbędnych rzeczy! Służby, Bank – i koniec! Strach i kasa! Czego jeszcze trzeba, żeby rządzić? Całą resztę przenieśliśmy do Ostankino! Proszę bardzo – oto ultraliberalny model! To czego się domagają? Czego?!

– Dzikusy, ku... – Konstantin Lwowicz rozłożył ręce.

– To zawsze działało! Jeszcze z Niemiec pamiętam: pieniądze i strach. Dwa filary. Zawsze! Ze wszystkimi! Co jest nie tak?! – Powiódł wzrokiem po zebranych.

– Zapomnieli o strachu... – Dyrektor FSB splunął.



Oczywiście nie pomyślał, żeby zmienić numery swojej iks piątki. Po co miałyby się ukrywać? Niech się chowają pozostali! Znalezienie jego adresu też okazało się bułką z masłem: sami kradną swoje bazy danych i sami je sprzedają.

Dom był porządny, z ochroną, ale dla Nikołaja Pawłowicza ochrona to była teraz fraszka.

Zadzwoił do drzwi. Tamten otworzył, pijany.

– Bezczelny się zrobiłeś, chłopcasiu!

To miłe: pamiętał go.

– Proszę wybaczyć, nie zabiorę panu dużo czasu – powiedział szybko Nikołaj Pawłowicz. – Ja tu... Jakby to wytłumaczyć... Zacząłem się trochę orientować w naszej polityce... No, jak się sprawy mają w kraju... No i przyszedłem do pana, jako do osoby bywalej. W końcu jest pan człowiekiem systemu... Państwa.

– I co? – wyszczerzył zęby tamten.

– Mam więc w sumie do pana jedno pytanie... No bo okazuje się, że państwa tak jakby nie ma? No, prokuratury, sądów, parlamentu, prezydenta, wszystkiego... Tak? Milicji...

– Milicja jest! – oburzył się tamten. – Po prostu musi harować na własny rachunek... Gównu się od niej doprosisz.

– Cóż... Czyli w sumie państwo nie istnieje, tak?

– No... Jeśli tak... To w sumie nie – zgodził się. – A co, boli cię to? Na cholere ci państwo? Zaniósłbyś po prostu kasę...

– Ale przecież... – powiedział w zadumie Nikołaj Pawłowicz. – Przecież jeśli państwa nie ma, to znaczy, że wszystko wolno?

– Jasne, że wolno! – zarzął. – Ale nie tobie, szczyłu. Tylko nam.

– No dobra... – westchnął Nikołaj Pawłowicz.

I wbił rozmówcy młotek w ciemię, z młaśnięciem, aż po rękojeść.

– Trochę to jednak dziwne... – powiedział, nie zwracając się już do nikogo konkretnie.



I znów szalał tłum na Łubiance, a on znów patrzył na niego z góry pustymi oczodołami żelaznego Feliksa.

Ale nie miał siły, by w tym koszmarze się poruszyć, nie miał mocy, by zejść z cokołu – ani ich rozdeptać, ani uciec.

A w oddali, wysoko nad ich głowami, majaczył coraz bliżej nieubłagany i złowieszczy samobieżny dźwig.

Koszmar!

[18] (niem.) Proszę się obudzić! Niech się pan obudzi!

O AUTORZE

Dmitry Glukhovsky (ur. 1979) – rosyjski pisarz, dziennikarz i felietonista; pracował m.in. dla Euronews TV, Deutsche Welle i Russia Today. Pisze na łamach „Harper’s Bazaar”, „l’Officiel” i „Playboya”. Laureat nagrody Europejskiego Towarzystwa Fantastyki Naukowej. Należy do młodego pokolenia rosyjskich literatów krytycznie oceniających politykę rosyjskich władz i wzywających do pełnej demokratyzacji ustroju swojego kraju.

Największy rozgłos przyniosła Glukhovsky’emu postapokaliptyczna powieść *Metro 2033*, którą zaczął pisać w wieku 18 lat. Jej fragmenty publikował w internecie, pozwalając czytelnikom do pewnego stopnia wpływać na fabułę. Tym pionierskim wówczas eksperymentem interaktywnym zyskał rzeszę oddanych fanów. Ukończone dzieło, opublikowane w Rosji w 2005 roku, stało się wielkim bestsellerem, osiągając kilkuset tysięcy nakład. Prawa do powieści *Metro 2033* zostały sprzedane do ponad 30 krajów; na podstawie jej fabuły i pomysłu powstały trzy gry komputerowe, planowana jest również hollywoodzka ekranizacja. Szacuje się, że liczba czytelników *Metra 2033* na całym świecie wynosi około trzech milionów. W Polsce nakład tej powieści dawno już przekroczył sto tysięcy egzemplarzy.

Glukhovsky w 2009 roku wydał w Rosji kolejną postapokaliptyczną powieść, *Metro 2034*, a swój pomysł na fabułę i przedstawione realia rozwinął w międzynarodowy projekt o nazwie „Uniwersum Metro 2033”. Pod jego szyldem, stosując się do ustalonych przez Glukhovsky’ego reguł, piszą i publikują autorzy z całego świata (w Polsce w ramach „Uniwersum” swoje powieści stworzyli Paweł Majka, Robert J. Szmidt i Artur Chmielewski).

W roku 2015 Glukhovsky ukończył powieść *Metro 2035*, która stanowi kontynuację losów Artema, głównego bohatera *Metro 2033*, a zarazem zamyka cykl „Metro 2033/4/5”, tworząc wraz z poprzednimi tomami kompletną trylogię.

Powieści z cyklu „Metro 2033” Glukhovsky’ego oraz seria „Uniwersum Metro 2033”, a także zainicjowany przed kilku laty nowy spin-off „Uniwersum Metro 2035”, cieszą się w Polsce niesłabnącym zainteresowaniem i należą do najpoczytniejszych książek literatury postapokaliptycznej.

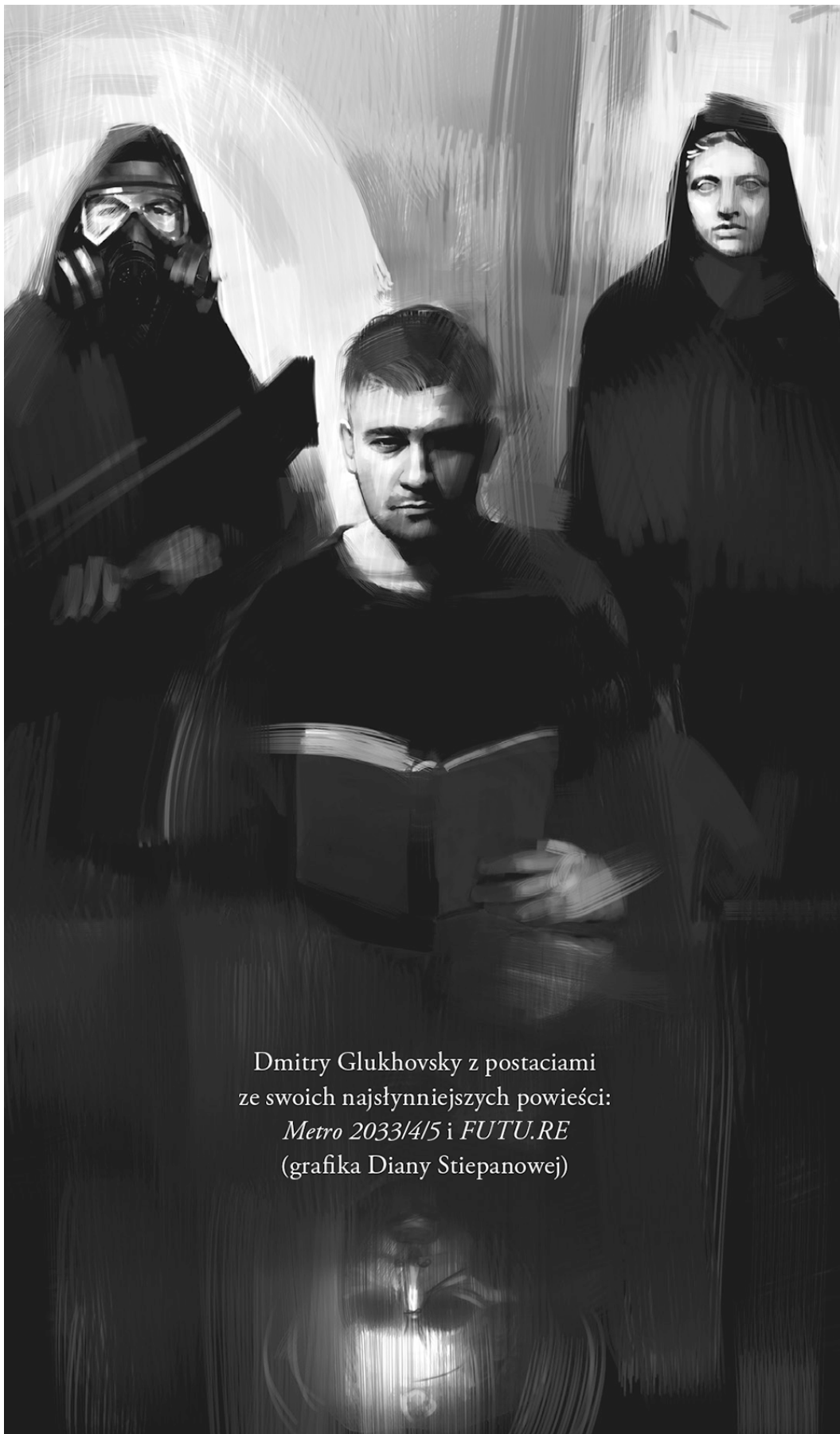
Glukhovsky to jednak nie tylko autor wspomnianego nurtu. W roku 2011 ukazała się w Polsce jego powieść *Czas zmiernych*, która zdobyła międzynarodową nagrodę 2014 Utopiales European Award, a w roku 2014 wydano zbiór opowiadań zatytułowany *Witajcie w Rosji*, będący utrzymaną w konwencji science fiction satyrą na system polityczny ojczyzny Glukhovsky’ego.

W roku 2015 polski debiut miała kolejna powieść fantastycznonaukowa Glukhovsky’ego, dystopia *FUTU.RE*, w której autor przejmująco opisuje konsekwencje nieśmiertelności dla życia człowieka i rozwoju cywilizacji. Powieść ta przez długi czas po premierze gościła na pierwszych miejscach polskich list bestsellerów.

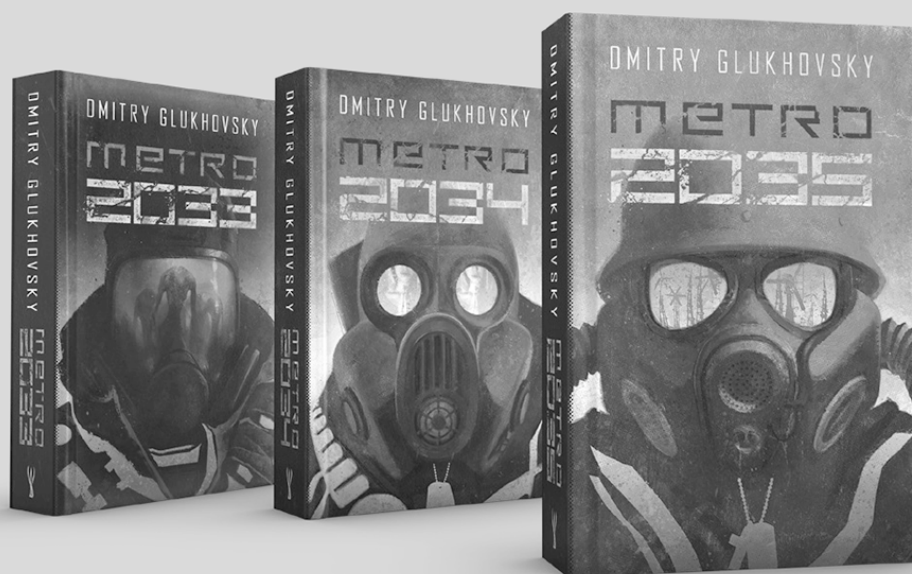
Wyjątkową – bo zrywającą z konwencją postapo i SF – książką Glukhovsky’ego jest *Tekst*. To jego pierwsza powieść realistyczna, która sytuuje się na styku kryminału, thrillera, noir i dramatu i opowiada o zagrożeniach, jakie niesie za sobą „tworzenie kopii zapasowej naszej duszy” w smartfonie. Przez wielu uważana za dzieło wybitne, często określana mianem współczesnej *Zbrodni i kary*.

Glukhovsky powrócił do tematyki postapokaliptycznej w swoich dwóch klimatycznych powieściach *Outpost* i *Outpost 2*, które stanowią brutalne rozliczenie pisarza z autorytaryzmami.





Dmitry Glukhovsky z postaciami
ze swoich najświetniejszych powieści:
Metro 2033/4/5 i *FUTU.RE*
(grafika Diany Stiepanowej)



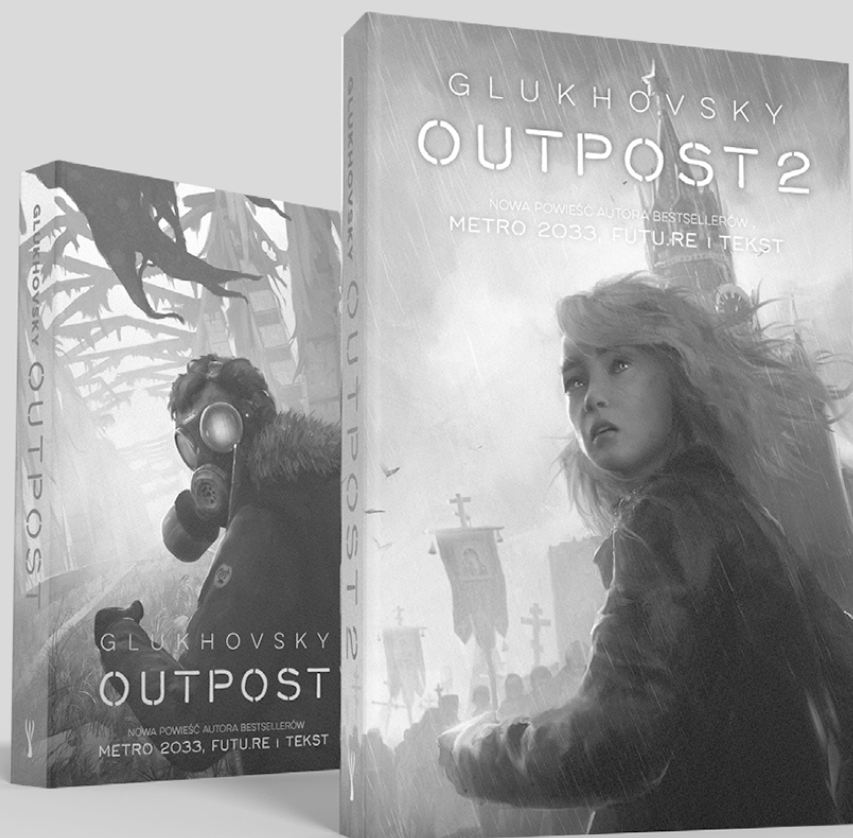
*Metro 2033, Metro 2034, Metro 2035 –
postapokaliptyczna trylogia Glukhovskijego*



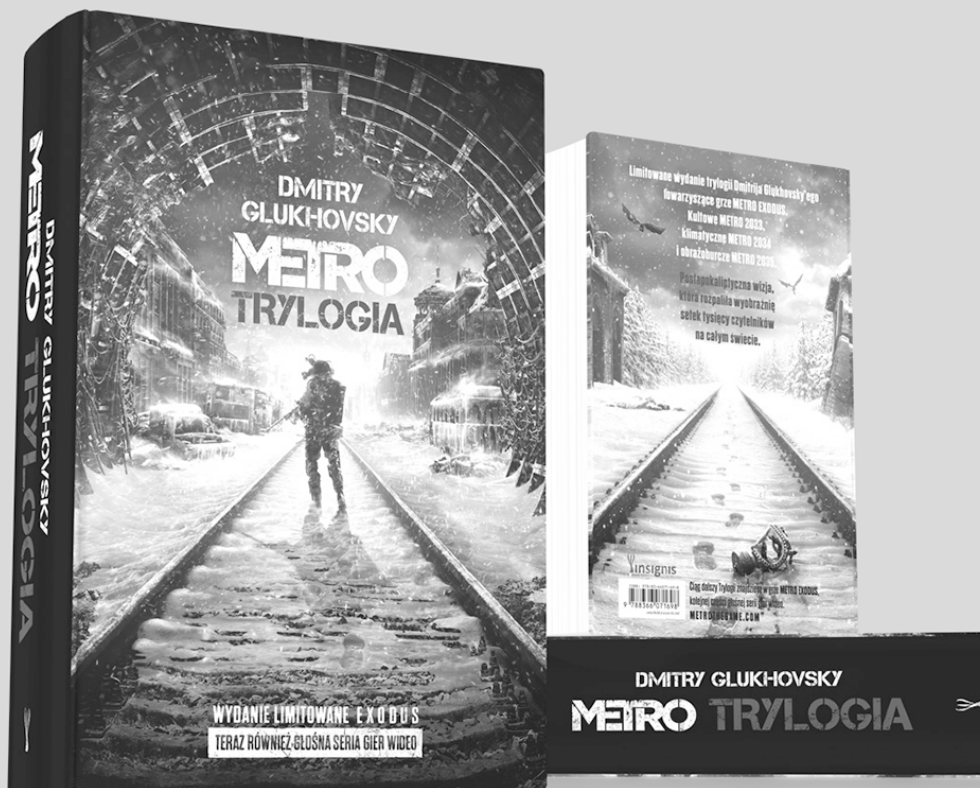
Tekst – pierwsza powieść realistyczna Glukhovskiy’ego,
przez wielu krytyków okrzyknięta współczesną
Zbrodnią i karą; kryminał, thriller, *noir* i dramat
w jednym

FUTU.RE – genialna powieść SF o nieśmiertelności,
wizjonerska, pełna emocji,
dynamiki i zaskakujących zwrotów akcji

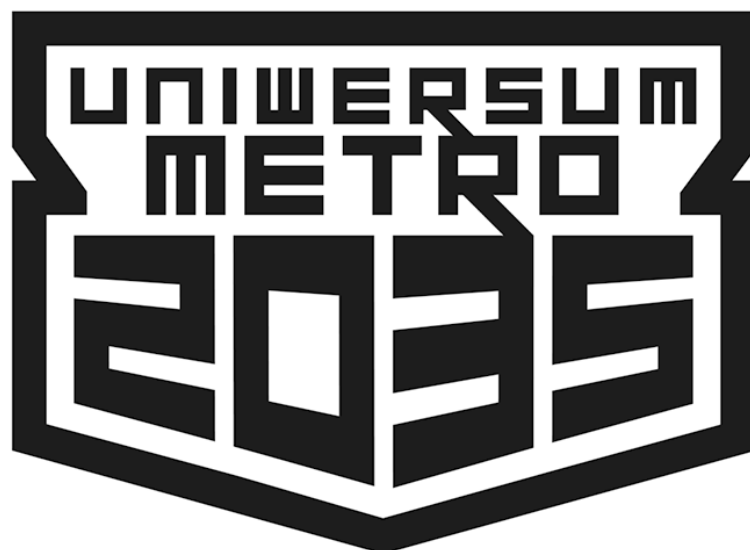
Witajcie w Rosji – małe arcydzieło, satyra SF na Rosję
Czas zmierzchu – zdobywczyni nagrody 2014 *Utopiales*
European Award



*Outpost i Outpost 2 –
wielki powrót Glukhovskiy'ego do postapokalipsy,
a przy tym brutalne rozliczenie pisarza
z autorytaryzmami*



Metro. Trylogia –
jednotomowe, limitowane wydanie trylogii „Metro
2033/4/5” Glukhovskijego z okazji premiery gry wideo
Metro. Exodus



OTWARTE PROJEKTY POSTAPO
DMITRIJA GLUKHOVSKY'EGO

ZOBACZ WIĘCEJ NA WWW.METRO2033.PL



Spis treści

Strona tytułowa

Strona redakcyjna

Oppenheimer

Wezwanie

Co poradzisz

Karmienie tajskich sumików

Siarka

Prawo na telefon

Rok za trzy

Winda

Alter ego

Reforma

Tango

Komunia

Wciąż stoi

O autorze